

# PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego  
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Rok II • Nr 1 (4)

2016

J. Andrzejczak  
A. Bańkowska  
Z. Beszczyńska  
K. Beśka  
J. Binkowski  
T. Bołdak-Janowska  
K. Boruń-Jagodzińska  
E. Cichła-Czarniawska  
R. Częstochowski  
M. Djuričković  
C. Dobies  
P. Dunin-Wąsowicz  
W.M. Gaiński  
D. Gałęcka-Krajewska  
S. Gibaszek  
R. Grzybowska  
W. Holewiński  
M. Jagiełło  
A.H. Janowska  
F. Jaszuński  
M. Jentys-Borełowska  
ks. J.A. Kobierski  
G. Kurylewicz  
W. Kaliszewski  
E. Kasjanowicz  
J.J. Lipski  
A.T. Kijowski  
T. Konwicki  
A. Lizakowski  
G. Łatuszyński  
J. Marciniak  
M. Ławrynowicz  
L. Marjańska  
S. Matusz  
P. Müldner-Nieckowski  
A. Nasiłowska  
T. Nowak  
J. Odrowąż-Pieniążek  
M. Olbromski  
W. Oramus  
J. Pankiewicz  
K. Piechowicz  
M.K. Piekarska  
A. Piwkowska  
K. Przerwa-Tetmajer  
K. Rodowska  
K. Rudziński  
K.S. Schreyer  
D. Siwicka  
I. Smolka  
J. Snopek  
A. Sobol-Jurczykowski  
A. Stabro  
S. Sterna-Wachowiak  
K. Sutarski  
A. Syska  
L. Szaruga  
A. Szymańska  
J. Śleszyński  
G. Walczak  
J. Wasylkowski  
P. Wojciechowski  
Z. Zbikowski



*Janusz Odrowąż-Pieniążek*



Stowarzyszenie  
Pisarzy Polskich  
**Oddział Warszawa**

<http://sppwarszawa.pl>

**POD  
GLĄD**

**Kwartalnik literacki**

ISSN 2392-2753

Rok II Nr 1 (4) 2016

**Adres Redakcji**

<http://podglad.com.pl>

e-mail: [redakcja@podglad.com.pl](mailto:redakcja@podglad.com.pl)

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

**Redaktor naczelna**

Małgorzata Karolina Piekarska

Prezes OW SPP

**Zastępca redaktora naczelnego**

Piotr Müldner-Nieckowski

(*poezja, dramat*)

**Sekretarz redakcji**

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

**Kolegium**

Grzegorz Łatuszyński (*esej, krytyka*)

Maciej Parowski (*proza, esej*)

Małgorzata Strękowska-Zaremba (*proza*)

**Wydawca**

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

**Korekta** Małgorzata Strękowska-Zaremba

**Skład** Piotr Müldner-Nieckowski

**Druk** Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, ul. Duża 1, [www.c-p.com.pl](http://www.c-p.com.pl)

## Z ŻYCIA OW SPP

**Małgorzata Karolina Piekarska**

Witamy i żegnamy . . . . . 3

**Trzej Magowie . . . . . 5**

**Katarzyna Boruń-Jagodzińska**

Koleđa . . . . . 5

**Gabriela Kurylewicz**

Epifania . . . . . 6

**Krzysztof Saturnin Schreyer**

Magia . . . . . 7

**Agnieszka Syska**

nad ołtarzem zapach światła . . . . 9

**Leszek Szaruga**

(*co się stało*) . . . . . 10

**Adriana Szymańska**

Przed Świętem Trzech Króli . . . 11

**Jerzy Śleszyński**

Trzej królowie . . . . . 11

**Piotr Wojciechowski**

Koleđa tańczy, (*Roku Pańskiego*) . 13

**Zbigniew Zbikowski**

Mnie potrójnemu . . . . . 15

**Krzysztof S. Schreyer**

Milka (Bogumiła Dziekan) . . . . 16

**Waldemar M. Gaiński**

W piątą rocznicę śmierci. . . . . 20

**Michał Jagiełło (1941-2016) . . . 27**

**Anna Piwkowska**

Gdzie odchodzą mężczyźni . . . 28

**Jan Józef Lipski (1926-1991) . . 30**

**Tablica ku czci Tadeusza**

**Konwickiego. . . . . 34**

**Sergiusz Sterna-Wachowiak**

Pożegnanie Janusza Odrowąż-

-Pieniążka . . . . . 36

**Dorota Siwicka**

Pożegnanie Janusza Odrowąż-

-Pieniążka . . . . . 39

**Mariusz Olbromski**

Jeszcze wczoraj . . . . . 41

cd. na następnej stronie

**NOWI CZŁONKOWIE OW SPP**

Danuta Gałęcka-Krajewska . . . . .	42
Paweł Dunin-Wąsowicz . . . . .	43

**O OBORACH**

<b>Andrzej Tadeusz Kijowski</b> Grająca krata . . . . .	44
<b>Anita Halina Janowska</b> Wariacje jesienne . . . . .	49

**Z ARCHIWÓW LITERATURY**

**Michał Jagiełło**

Kazimierz Przerwa-Tetmajer: echa tatrzańskie . . . . .	55
---	----

**DLA DZIECI – MŁODZIEŻY**

<b>Cezary Dobies</b> Królik i słowik . . . . .	59
<b>Zofia Beszczyńska</b> wiersze o sowach . . . . .	60
Królowa Ptaków . . . . .	62

**DRAMAT**

<b>Ryszard Czesłochowski</b> Exodus . . . . .	66
--	----

**KRYTYKA**

<b>Sylvia Gibaszek</b> Kilka refleksji na temat poezji Krystyny Rodowskiej . . . . .	74
<b>Piotr Müldner-Nieckowski</b> Janusz Odrowąż-Pieniążek: Błagam, tylko nie profesor . . . . .	79
<b>Wacław Holewiński</b> Jednak Profesor . . . . .	81
<b>Wojciech Kaliszewski</b> Niemiłknące milczenie (E. Cichła-Czarniawska) . . . . .	84
<b>Janusz A. Kobierski</b> Polska w okienkach poety (S. Matusz) . . . . .	87

**Adam Lizakowski**

Langston Hughes . . . . .	91
---------------------------	----

**Dr Milutin Djuričković**

Liryczny wehikuł czasu (G. Łatuszyński) . . . . .	99
--	----

**Marek Ławrynowicz**

Książka o Ludmile Marjańskiej . . . . .	101
--	-----

**Maria Jentys-Borełowska**

„Ach, tylko być . . .” (L. Marjańska) . . . . .	102
--	-----

**POEZJA**

**Janusz Andrzejczak**

Daj znać, Przepraszanie zeszytów, Poeta odkryty . . . . .	112
--	-----

**Jerzy Binkowski**

Do Marii, Świt w drodze do niebieskiego gaju . . . . .	115
---	-----

**Tamara Bołdak-Janowska**

BYCIE I LU! . . . . .	118
-----------------------	-----

**Cezary Dobies**

Modlitwa o człowieka, Owca . . . . .	122
--------------------------------------	-----

**Danuta Gałęcka-Krajewska**

Pytania do autora . . . . .	123
-----------------------------	-----

**Eugeniusz Kasjanowicz**

Z pamiętnika Anne Sexton, ***, *** . . . . .	125
---	-----

**ks. Janusz Adam Kobierski**

Godzina w Kaplicy Sykstyńskiej, Rzym . . . . .	128
---	-----

**Gabriela Kurylewicz**

Inaczej nie umiem . . . . .	130
-----------------------------	-----

**Jerzy Marciniak**

Piosenka dla tych co milczą, Dwie Siostry i Tłumacz . . . . .	131
--	-----

**cd. na ostatniej stronie numeru**

Na okładce wykorzystano obraz Katarzyny Boruń-Jagodzińskiej i portret Janusza Odrowąż-Pieniążka w fotografii Piotra Müldnera-Nieckowskiego.

## Witamy i żegnamy

To już czwarty numer *Podglądu*. Czwórka uchodzi za liczbę doskonałą. Mamy cztery strony świata, czterech Ewangelistów, a symetryczne pomieszczenia mają cztery kąty, w których wiele można ukryć, ale i przechować. Tymi czterema kątami w *Podglądzie* są cztery strony okładkowe, między którymi mieści się treść. Jaka?

Ten numer jest specyficzny. Nie tylko sporo w nim różnorodnych tekstów literackich, sporo nowych autorów, ale wyjątkowo rozbudowany jest tu dział „Z życia OW SPP”. Witamy w nim nowych członków – Danutę Galecką i Pawła Dunina-Wąsowicza. Ale i żegnamy się. Żegnamy się z Oborami. Jednak przede wszystkim żegnamy naszych Kolegów Janusza Odrowąż-Pieniążka i Michała Jagiełłę, który zmarł w czasie przygotowywania niniejszego numeru.

Niedługo minie rok, gdy z panem Januszem byłam w delegacji OW SPP na pogrzebie innego naszego kolegi ze Stowarzyszenia – Władysława Bartoszewskiego. Spędziliśmy wtedy ładnych parę godzin na rozmowach o Polsce, Polakach, literaturze, Mickiewiczu, Warszawie i genealogii rodzin, ale przede wszystkim na rozmowach o zmarłym.

Janusz Odrowąż-Pieniążek, poproszony wówczas przeze mnie o tekst o Władysławie Bartoszewskim, dość szybko przysłał go na ręce redakcji. Dlatego bardzo chciałam, byśmy i my odplacili mu takim koleżeństwem, z jakim on żegnał swojego długoletniego przyjaciela.

Gdy na cmentarzu oboje stałimy, czekając, aż trumna z Władysławem Bartoszewskim zostanie spuszczone do grobu, wsłuchiwałam się w odgłosy ptaków, kraczących i ćwierkających, jakby nie działo się to, co się działo. Ułożył mi się wtedy wiersz:

*Gdy umiera człowiek przyzwoity,  
Robią mu pogrzeb z udziałem swity,  
Niosą ordery na poduchach.  
Tłum ludzi szłochu bliskich nie słucha.*

*Przemawiają dyplomaci, ministrowie,  
A mnie jedno wtedy chodzi po głowie,  
Że ptaki tak zwyczajnie ćwierkają,  
Jakby się zupełnie nic nie stało.*

Powiedziałam Januszowi Odrowąż-Pieniążkowi o tych ptakach. Podzieliłam się myślami, mało odkrywczymi zresztą, że odchodzą ludzie, a przyroda tego nie zauważa. Nadal trwa. Było to już w literaturze. To Barbara Niechcic w *Nocach i dniach* Marii Dąbrowskiej mówiła, że „bez nas czy z nami, noce i dnie tak samo się toczą”. Powiedział wtedy, że obawia się, iż on będzie następny. Czy ktoś to zauważy? Nie jestem poetką. Przytoczony wyżej wiersz pewnego dnia wylądował w koszu. Ale pomyślałam, że *Podgląd* jest też takim kwartalnikiem, który (jak kiedyś *Młody Technik*, mający dział „pomysły genialne, zwariowane i takie sobie”) gromadzi czasem obok wielkiej literatury teksty, które są mniej dziełami sztuki, a bardziej czymś w rodzaju zapisów myśli i uczuć. Nie umiem napisać wiersza o Januszu Odrowąż-Pieniążku czy Michale Jagielle, zresztą gdybym to zrobiła, musiałabym zmierzyć się z Mariuszem Olbromskim albo Anną Piwkowską. A jak mierzyć się z poetami? Wyjątkowo nie umiem też napisać pożegnania. Stąd moje liczne prośby do członków Oddziału o teksty o naszych zmarłych Kolegach. O Michale Jagielle zamieszczamy notatkę z ostatniej chwili, ale będziemy o nim pisać w jednym z najbliższych numerów.

Dziękuję wszystkim autorom, że możemy tworzyć nasze pismo.  
I czytelnikom, że chcą je czytać.

*Małgorzata Karolina Piekarska*



*Pióro.* Ilustracja wykonana metodą kalkografii przez *Dorotę Suwalską*, która prowadzi warsztaty dla dzieci i młodzieży m.in. z zakresu tej techniki malowania. Więcej o warsztatach: <http://www.kalkografia.suwalska.info>.

## TRZEJ MAGOWIE

W tradycji Oddziału Warszawskiego SPP utrwalają się konkursy literackie związane z wielkimi świętami, które wspólnie obchodzimy w Domu Literatury przy Krakowskim Przedmieściu. Tym razem przedstawiamy interesujący plon spotkania oplatkowego, które się odbyło w przeddzień Epifanii, Objawienia Pańskiego zwanego Świętem Trzech Króli.

### Katarzyna Boruń-Jagodzińska

#### Kolęda

Mędrcy czy monarchowie? Uczni czy magicy?  
Twarze żółte i czarne, trzech ich – ktoś tak policzył.  
Czwarty ponoć nie zdążył, albo szedł dłuższą drogą,  
kiedy dotarł – żłób pusty, już nie zastał nikogo.

W piśmie gwiazd odczytują wyroki swoich bogów,  
tu oświeceni gwiazdą przystanęli na progu.  
Komu się mają klaniać, nie ma triumfalnej bramy,  
pachnie nawóz i siano, a nie drogie balsamy,  
taki szmat drogi przeszli, w zimnie, w piasku i nocą,  
przyszli – kogo znaleźli i dlaczego i po co?  
Na wielbłądach, bogaci, syci, dobrze ubrani,  
a tu żłób, człowiek tyci, w szmatki pozawijany.  
Wzruszyli ramionami – anioł nas wiódł czy lichy?  
Widać ważna persona, chociaż kwili tak cicho.  
Ten bachorek nieznaną przyciągnął nas przemocą?  
I gwiazdy jakby zbladły, już wcale się nie zlocą.  
Czy mędrszy, potężniejszy od nas jest ten okruszek,  
że nas tu posprowadzał choć nie wyrósł z pieluszek?

Czy byli mądrzy, czy tylko uczeni?  
Czy znali gwiazdy, czy tylko wykresy?  
Czy pragnęli zablysnąć, sięgając do kiesy?  
Czy wiedzieli, że teraz wszystko się odmieni?

## Gabriela Kurylewicz

### Epifania

Zaśnieżone wzgórza, zwarte  
lodem łąki, strome przejścia,  
bukowe wężozy – lecz K, M i B  
dotarli po królewsku, w czas.

Jeśli to byli trzej monarchowie,  
dzieciątko Jezus, budząc się  
na tym świecie, zobaczyło  
wyrachowanych polityków.

Jednak jeśli to magowie byli,  
Zbawiciel, leżąc w stajence  
w asyście ciszy i zwierząt,  
usłyszał poetów.

Magia to poznawanie praw  
fizycznych i duchowych,  
poznawanie i przedłużanie  
muzyką słów –

Melodią, rytmem, harmonią  
i mądrością.  
Starożytni poeci  
w dzieciątku rozpoznali Boga

A zdziwionych pasterzy,  
zwierzęta i Matkę ujęła  
niezwykłość chrześcijaństwa.

*5 I 2016*



Rys. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

## Krzysztof Saturnin Schreyer

### Magia

Na wierzchołku choinki wielka gwiazda świeci,  
wokół siedzą dorośli i bawią się dzieci.  
Na szybach kwiaty mrozu, za oknem zawieją.  
Zaiskrzył zimny ogień – różdżka czarodzieja...  
i na ścianie pokoju, jak w domowym kinie  
rodzi się baśń niezwykła i opowieść plynie  
o magu co przez leśne wędrował bezdroża,  
o drugim co z wiatrami zmagął się na morzach,  
o trzecim co na saniach z północnego kraju  
wyruszył na południe, gdzie śniegu nie znają.  
Wszyscy patrzą na gwiazdę ze złotym ogonem.  
Oczy mają błyszczące, czoła pomarszczone,  
głowy pełne mądrości. Stąd cała wyprawa,  
bo znając gwiazdne szlaki, wiedzą, że to sprawa

[niezwykła



niezwykła i wyjaśnić koniecznie ją trzeba –  
owa gwiazda sunąca po bezkresie nieba.  
Któż to zgadnie, głos jaki i jakie natchnienie  
kazało im rozpoznać Boże Narodzenie?  
Albo jak się spotkali, gdzie obóz rozbili  
zanim do Betlejem szczęśliwie przybyli?  
Na magicznym ekranie widzimy ich w lesie.  
Las echem wielokrotnym dziwne wieści niesie,  
więc tutaj, przy ognisku na jasnej polanie  
nastąpiło trzech magów niezwykle spotkanie  
i od tej chwili razem, stale dyskutując,  
wymieniając poglądy, przypuszczenia snując  
szli naprzód żwawym krokiem, bo gwiazda ich wiodła,  
ona w długiej wędrówce nigdy nie zawiodła.  
Herod chciał ich omamić, mogli zbójcy szkodzić,  
którzy wiedzą, jak obcych po manowcach wodzić,  
by w końcu ich obłupić, lecz anioł na straży  
do żłobka drogę wskazał i cud się wydarzył –  
nareszcie się spotkali: Nowo Narodzony  
i ówcześni uczeni, każdy z innej strony.  
Wnet padli na kolana, padli jak pątnicy,  
składając hołd największej w dziejach tajemnicy.

Tu się obraz zatrzymał na pokoju ścianie.  
Zaraz widać następny, wielkie przywitanie  
człowieka w bieli z całym zastępem uczonych  
wpatrzonych w głowę srebrną i dziwnie wzruszonych.  
Trzyma w ręce pastorał i płyną z mównicy  
słowa o tej niezwyklej, wielkiej tajemnicy.

Zimny ogień wygasa i obraz zanika,  
w ciszy słychać jak zegar nieprzerwanie tyka.  
Na choince kometa ze złotym ogonem,  
wiszą złote aniolki ze słomy zrobione,  
w szopce stoją królowie, wszyscy pochyleni,  
a my wiemy, że byli to wielcy uczeni,  
bo przecież kiedyś magią zwała się nauka  
i był magiem, kto w gwiazdach wiadomości szukał,  
więc z królestwa nauki byli ci królowie,  
największą magią w dziejach porwani magowie.

Zapalają się świeczki, swojsko brzmią kolędy,  
nasze zwykle, niezwykle magiczne obrzędy.

29 XII 2015

## Agnieszka Syska

### nad ołtarzem zapach światła

żeby przeżyć słońce musi świecić  
 musi świecić swoją krwią ofiarą jednoistą dwoistą troistą  
 barankiem ołtarzem dawcą krwi wełny i mięsa jednorocznego

nad ołtarzem zapach życia zapach krwi zapach kadzidla

ołtarze krwi wznoszą się pietrzą się wschodzą jak zachody słońca spływają  
 w rynny kanały zachody  
 wiele takich słońc krąży na ołtarzach czasu  
 wschodzi Sziwa Wisznu Brahma Budda Słońce Księżyc Jaguar Quetzalcoat  
 Ha-Szem  
 wiele takich baranków pierworodków niemowlaków dzieciaków jeden baranek

nad ołtarzem zapach mirry

na odrzwiach domów małych niewiast i mężów jerozolimskich placz  
 tysiąc litrów krwi wznosi się pietrzy się wschodzi w drugi trzeci i czwarty tysiąc  
 wiele takich baranków pierworodków niemowlaków dzieciaków chłopców za-  
 chodzi jeden wschodzi

przy ołtarzu zapach złota kadzidla i mirry

trzej mędrcy i jeden taki który pobiera u nich nauki przekraczają rzekę czasu  
 i przychodzą  
 na tablicach łodziach tratwach pontonach niosą wyryte dziesięcioro przykazań  
 i jedenaste  
 przestrzegaj dziesięciorga przykazań abyś mógł nie zachowywać jedenastego

nad i przy ołtarzu zapach złota kadzidla i mirry

nurza się w swojej głupocie złocie kadzidle i mirrze  
 chce mienić się wiekiustym nie chce świecić nie chce przeżyć  
 pławi się w promieniach aortach żyłach tętnicach drenach

nad i przy ołtarzu zapach krwi zapach życia zapach śmierci zapach słońca

[nie czuje że

nie czuje że księżyc właśnie wschodzi nad dziesięciorgiem przykazań cnót  
prawd

mrok zapada nad jedenastym

kapłan szafarz apostoł uczeń wędrowiec obrzezaniec głupiec dokonuje  
swojego

nad i przy ołtarzu zapach krwi zapach życia zapach śmierci zapach słońca

zbliża się czas ogarniony skończony ostateczny

zachodzi Borobudur Prambanan Angkor Wat Chichen Itza Hakeldamah

mędrcy ze wschodu odwalają kamień głupoty cierpienia i rozpaczy

słońce staje się ołtarzem

nad i przy ołtarzu zapach krwi zapach życia zapach śmierci zapach słońca

Słońce w zapachu ran fiołków i róż

wschodzi nad Jeruzalem

przeżywa własny czas swoją światłość

---

## Leszek Szaruga

co się stało

Bóg

wie co

---

*Wiersz z tomu „Fluktuacja kwantowa” (Sopot 2015).*

## Adriana Szymańska

### Przed Świętem Trzech Króli

Kacper, Melchior i Baltazar.  
 Oni trzej – możni, potężni i Ono Jedno –  
 Nowo Narodzone, poplakujące w żłobie.  
 O czym myśli, przyjmując królewskie dary?  
 Czy chciałoby, żeby inne, rodzące się dzieci,  
 też były tak hojnie obdarowywane?  
 A może wie, że wszystkie te prezenty  
 i tak nie przekupią losu, który już szykuje  
 bolesną mękę Jemu, bezgrzesznemu,  
 ofiarowanemu za nas na zawsze.

Kacper, Melchior i Baltazar  
 idą przez wieki do Chrystusa: symbole  
 potęgi i pokory wobec Nowo Narodzonego.  
 A może tak jak i my pełni bezradności  
 wobec tego, co zdarzy się jutro, pojutrze,  
 za kilkadziesiąt lat, za parę tysiącleci?  
 Zapytajmy samych siebie, czy nasze ofiary  
 są mile Bogu? I czy nasze serca mają moc  
 wskrzeszenia z martwych tej Gwiazdy,  
 która oświeca drogę do Jego Serca?

*25 grudnia 2015*

## Jerzy Śleszyński

### Trzej królowie

Imiona nie są ważne  
 poza tym polityka wymaga dyskrecji  
 powiedzmy że Kasper Melchior i Baltazar

pierwszy miał ogromne rezerwy złota i mógł wszystko  
 drugi potrząsał bombą atomową twierdząc że to kadzidło  
 trzeci pracował nad bronią chemiczną o zapachu mirry

[podróżowali

podróżowali w kierunku wyznaczonym przez satelitę komunikacyjnego  
mały biały punkcik z iskrzącym się warkoczem  
niby nic a jednak internet inwigilacja i zdjęcia szpiegowskie

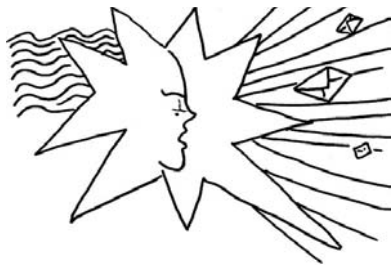
po drodze nie zatrzymali się w Betlejem  
hotel bez żadnej gwiazdki i to płaczące dziecko  
właściciele hotelu mówią że było inaczej ale kłamia

rozważali postój i nocleg w Warszawie  
bo wabiły ich chaos bezprawie i władza absolutna  
jednak pojechali dalej trzej królowie tego świata

ich rzecznik prasowy dementuje że mają coś wspólnego z jeźdźcami  
[Apokalipsy  
obiecwał że wrócą bo ich zdaniem co ma wisieć nie utonie w tym kraju  
w ciągu najbliższych czterech lat

## Piotr Wojciechowski

### Kolęda tańczy



*Kolęda napisana w Kazimierzu nad Wisłą, w Kuncewiczówce,  
na torbie po rogalikach od Sarzyńskiego, 100% kazimierska.*

Całowali Małuśkiemu stopy  
I odeszli pasterze – przez roztopy.  
Odśpiewali swoje „Gloria” Anieli  
I na chmurach pierzyńsko posnęli.  
Wtedy Józef swą Maryję objął,

Zaśnij, Maryś, w tę godzinę dobrą,  
 Ja Małego w kożuchy zawinę  
 I ululam. Niechaj pośpi krzynę.  
 Jezus śpi. Uśmiecha się Mały,  
 We śnie widzi Zmartwychwstania chwałę.  
 Z nieba leci jak śnieg wielka cisza,  
 Józef czuwa. Wstaje. Coś usłyszał.  
 To muzyczka. Coś za szopą się dzieje,  
 Więc uchyla na ogród wierzeje.  
 A tam jasno i płąsy wszędy;  
 Pod drzewami tańczą kolędy,  
 A najpiękniej wywija, z hołubcami  
 Ta kolęda chromych i kulawych.  
 A najgłośniej podśpiewuje w niebios  
 Głuchoniemych kolęda radosna.  
 Co tak miga kolorami świetliście?  
 To kolęda niewidomych – oczywiście.  
 Skaczą z nimi na złamanie karku,  
 Pastoralki biednych niedowiarków!  
 Patrzy Józef, patrzy zadziwiony,  
 W końcu myśli – trzeba budzić żonę.  
 Niech się ze mną Maryja weseli,  
 Że nasz Synek cudom drogę ścieli!

\*

### **Roku Pańskiego 2015, w noc przed Godami w zaułkach Sadyby Przyjaciołom moim**

Cóż Wam dam, przyjaciele, Królowie,  
 Baltazary moje i Kacprzy?  
 Wam, Melchiorzy, dam ciemności grudniowe  
 Bez Aniołów, bez przewodniej gwiazdy.

Cóż Wam dam za złoto przyjaźni,  
 Mirrę wspomnień słodkich i cierpkich,  
 Jaki prezent za dym ognisk naszych  
 Od wszelkiego kadzidła wonniejszego?

[Cóż Wam dam



Rys. *Piotr Wojciechowski*

Cóż Wam dam, przyjaciele i Mędracy  
Baltazary, Melchiori, Kacprzy?  
Ten opłatek od śniegu bledszy  
I te śniegi, wyblyszczone Tatry.

Niech się góry mającą w pamięci  
Niechaj w mroku zaświeci opłatek,  
Ja przepraszam, nie umiem się dzielić  
Bogactwami, co niezbyt bogate.

Waszych rąk czuję uścisk mocny  
Waszych głosów nadsluchuję gwaru  
Ktoś z Pasterki wraca po północy  
Ktoś z Betlejem wraca bez darów

Z Małej Łąki siano pod obrusem,  
Znowu czeka na Was micha pusta,  
Ktoś kołędę na organkach utnie,  
Ktoś lzę jedną poczuje na ustach.

## Zbigniew Zbikowski

### Mnie potrójnemu

Bądź mi gwiazdą na wschodzie – opromień ścieżynę  
od mokradel lęku ku zwierciadłu nieba –  
bym ujrzal drogę, którą z ufnością iść trzeba,  
by spotkać w grocie serca ukrytą Dziecinę.

Bym, pan pyszny na ziemi, którego skroń zdobi  
złoty wawrzyn – dar boży – ugiął tam kolano,  
i zwrócił, cały drżący, swe królewskie wiano  
śpiącemu na sianie prawdziwemu Królowi.

I uznał – mag skruszony – prostymi słowami,  
gorycz mirry niosący jako *summa vitae*:  
tu naprawdę się dzieje cud ponad cudami.

Tu ma mędrca maksyma, w ołowiu wryta,  
topnieje w żarze Słowa, w dymie się rozplywa,  
a w ćmie serca rozbłyska *Hagia Sophia* żywa.



## Krzysztof S. Schreyer

### Miłka

Dla wszystkich, którzy ją znali, Bogumiła Dziekan była Miłką, bo bardzo nie lubiła owej „Bogumily”. Dlaczego? Nie będę tego wyjaśniał. Zawsze przestrzegała, abym nie zabierał głosu w jej imieniu. Miała rację. Była inna i mnie, który znał ją tak dobrze, zaskakiwała do końca życia. A jednak spodobało się jej to, co napisałem w swoim dzienniku 33 lata temu na Malcie. I właśnie wtedy wyraziła życzenie, powtórzone po latach: „Chciałabym, aby to było przeczytane na moim pogrzebie”. Tak też się stało, ale w tłumnej uroczystości pogrzebowej niewielu było członków SPP i także niezbyt wielu na spotkaniu wspomnieniowym, a więc jeszcze raz przytoczę w całości ów cytat z dziennika:

*13 XI 81, piątek, dyżur*

„O Miłce mógłbym nieskończenie, ale nie potrafię. Nie wystarczy powiedzieć o jej intuicji i wizjonerskich zdolnościach, trzeba by napisać, co jest ich treścią. Albo wymieniać jej zalety, które paradoksalnie przez swoje natężenie stają się wadami przynoszącymi cierpienie, jak ta wielka miłość zwierząt, potrzeba przyjaźni, współczucie – w realizacji, zapalnej i ślepej, prowadzące do rozczarowań, tragedii, depresji... Natura gorąca, zapalna, wrażliwa, raz po raz poddająca się mirażom posłusznej wyobraźni nie powinna być ponadto wyposażona w przerażającą przenikliwość i poczucie realizmu. Skłonność do śmiechu i zabawy nie powinny splatać się z głębokim poczuciem tragizmu życia. Pogańska swoboda myślenia i dionizyjiskość nie powinny stykać się z głęboką wiarą. Ale tak jest niestety i każdy naiwny wzlot serca, każdy błąd, każda erupcja uczuć, zabawy i fantazji ma swą drugą, ciemną stronę. Nie potrafi wyzbyć się swej wyrafinowanej przenikliwości, nie potrafi nie spadać z wyżyn euforii w otchłanie męki. Fizyczna słabość też nie może sprostać płonącej naturze. Ukształtowana została na artystkę aż nazbyt doskonale. Brakuje jej dystansu do świata i ludzi, jest zapalna i delikatna, jest w niej nadmiar współczucia i ma wdzięk, a więc to wszystko, co pozbawia niepospolitego człowieka ochrony przed pospolitością, co czyni ją bliską i swoją dla mądrych ale też niestety dla głupich. Życie wciąga ją w niechciane sprawy, czyni z niej ofiarę zła – jak to robi z wieloma artystami”.



Bogumiła  
Dziekan  
1933-2014

„A jeszcze jest ta cudowna pamięć, ta bystrość, ta przenikliwość, ta gorycz, objawiająca się w sztuce, niestety zbyt często niezrealizowanej. Tworzy stale, rozrzutnie, bez opamiętania, na wiatr. Najbliższym daje to wielką satysfakcję, ale jednocześnie – jaki żal!”

Od tamtego czasu napisała wiele, bo świetną, słabo niestety spopularyzowaną powieść „Arabali” i sporo opowiadań, ale niestety było to bardzo mało, jeśli wziąć pod uwagę jej twórczy potencjał. Miała aż nadmiar pomysłów, ale życie bardzo przeszkadzało w ich realizacji. Owo życie to niestety głównie choroby i dolegliwości, o których nie lubiła mówić, o których nawykowo „zapominała”, ale dni z poczuciem pełnego zdrowia można by policzyć na palcach jednej ręki. Ciesząc się ze spotkań z przyjaciółmi niczego nie okazywała i zakazywała jakichkolwiek aluzji do stanu zdrowia. Jednak to było ważne, bo choroby znacząco ukształtowały jej los.

Przyjęta w młodości do szkoły teatralnej za czasów Zelwerowicza bez przygotowania, „z ulicy”, nigdy się w niej mimo ponawianych zaproszeń nie zjawiała bo na przeszkodzie stanęła gruźlica. Podobnie było z wyjściem na scenę w sanatorium, gdzie wybitny człowiek teatru odkrył jej talent i przygotowywał szeroko reklamowane przedstawienie. Nagła gorączka zniwelowała wielkie plany.

Na szczęście z pisaniem dawało się to na ogół pogodzić. Siadając do biurka miała opowiadanie w głowie i pisała jednym tchem, bez poprawek. Gorzej z dłuższymi zamierzeniami, przerywanymi jakże często przez ludzkie sprawy, na które reagowała bardzo żywo. Podobno twórcy są w większości egocentryczni, ale ona myślenie, opowiadanie i pisanie o sobie wręcz ganiła, interesując się problemami i historiami innych, angażując się w nie z niezwykłą siłą emocji. Miała też wielką odwagę ich wyrażania, okazywania zachwyty i ludźmi i światem, ale nieraz odwagę gniewu.

Kochała przyjaciół, kochała spotkania, na których zawsze, z wielką elegancją i ekspresją słowa, gestu i głosu opowiadała dziesiątki historii. „Naszą Szeherazadą”, przezwana ją stara przyjaciółka, świetna tłumaczka z niemieckiego Emilia Bielicka. Jednak tylko nieliczne z tych opowiadań zostały zapisane, bo w gruncie rzeczy nie chciała i nie pisała relacji z życia. Szkoda, bo zebrałoby się wiele tomów.

W istocie była pesymistką, nazywałem ją Kasandrą, ale może właśnie dlatego tym mocniej, tym radośniej potrafiła cieszyć się pięknem świata. Jeśli ktoś by sądził, że to wyraz naiwności, byłby w błędzie. Była w rozumieniu świata wyrafinowana. Orientowała się bardzo dobrze w wielu dziedzinach, rozumiejąc znakomicie współczesne trendy w psychologii, filozofii, literaturze. Jednak posługiwała się tylko językiem sztuki, prostym, barwnym, nasyconym humorem. Na półce w jej pokoiku można zobaczyć wśród resztek książek wyrzucanych z małego mieszkania kolorowe, angielskie tomiki opowiadań dla dzieci o Muminkach i Noddim, a obok wszystkie dzieła Kempieńskiego czy ukochanego Prousta.

Miała organiczną konieczność otaczania się pięknem. Brzydota ją raniła, estetykę miała we krwi i „odruchowo” zmieniała otoczenie, aranżując nawet pokój hotelowy, w którym przebywaliśmy choćby przez chwilę. Nie mam wątpliwości, że gdyby w warunkach humanitarnej katastrofy miała do wyboru chleb czy kwiaty, wybrałaby kwiaty. Trzeba wspomnieć, że miała też ku temu zdecydowane zdolności. Nic dziwnego, że tak jak kiedyś do szkoły teatralnej, tak w innym czasie została przyjęta do Akademii Sztuk Pięknych. I tak jak ongiś choroba pomieszała jej szyki.

Emocjonalna, twórcza, pełna wyobraźni, była jednocześnie życiowo mądra, choć często, jak wielu ludzi mądrych i krytycznych mówiła bezradnie „jestem

głupia”. Tę przenikliwą, dojrzałą mądrość cenilo wielu przyjaciół i między innymi dlatego telefon w naszym domu był tak często zajęty.

Poezję zaczęła pisać w ostatnim roku swego życia. Jerzy Szatkowski, przyjaciel z dawnych lat, redagujący wielkopolską „Okolicę poetów” poprosił ją o wiersz i nie uwierzywszy, że ona, wszak poetka, nie ma żadnego, zrobił jej awanturę. Wówczas siadła i natychmiast napisała pierwszy z wielu, które, oczywiście natrętnie monitowana, systematycznie do niego wysyłała.

Nigdy nie miałem wątpliwości, że Milka jest poetką, nie tylko dlatego, że jej prozę nazywano poetycką; wiersze przychodziły jej do głowy przez całe życie, czasem w nocy, czasem seriami na spacerze. Nie wiem, dlaczego nie przywiązywała do tego wagi. Może mówiła poezją jak bohater Moliera prozą, nie odczuwając żadnej tego wyjątkowości ani wartości? Milka przestrzegala, abym się za nią nie wypowiadał, więc muszę to pozostawić domysłom. Na podstawie jej opowiadań czy powieści trudno byłoby powiedzieć coś o autorce – zwodnicza wyobraźnia i pisanie w pierwszej osobie tylko ludziły pozorami relacji z życia. Natomiast w poezji ukazywała siebie. Pod koniec swych dni, w czasie, kiedy cierpiała z powodu choroby nowotworowej, również wtedy, kiedy była już świadoma rokowania, zapisywała nowe wiersze na luźnych kartkach lub skrawkach papieru, jednym tchem – jak zwykle. Wydanie tomiku wierszy „Kółko graniaste” sprawiło jej radość większą niż wydanie wszystkiego, co dotychczas napisała.

Tak się składało, że żadne z dotychczasowych wydań jej prozy nie dostarczało pełnej satysfakcji, na ogół skażone jakimś „ale”, tak samo jak niedostateczny odzew krytyki, w kontraście do licznych, entuzjastycznych, wcale nie prowokowanych opinii czytelników, szczególnie artystów. Ale też zdecydowanie nie potrafiła dbać o popularność. Trzeba tu wspomnieć, że ostatnio wielką radość sprawiło Milce opracowanie Katarzyny Bieńkowskiej, która w „Wyspie” napisała szerzej o jej twórczości.

Milka, we własnych sprawach nie przebojowa, jakby gdzieś z dala, w Warszawie, ale jakby poza Warszawą, mówiła, że jest „outsiderem” i mało w tym było prowokacji czy przekory.

Odeszła prawie do końca pełna planów, z fragmentami powieści, o której myślała od lat, z mnóstwem rękopisów.

Pomagalem jej, towarzyszyłem i przeżywałem nieustanną przygodę obcowania z osobowością twórczą, twórczą w sztuce i w życiu. Może intymne wyznanie, którym chcę się podzielić, nie jest na miejscu w poważnym kwartalniku SPP, ale daję świadectwo temu, kim była: W ciągu swoich kilkudziesięciu lat doznałem jednego cudu, a tym cudem było nasze spotkanie i to, że owo stwierdzenie nie straciło na aktualności aż do końca.

*Krzysztof S. Schreyer*

## Waldemar M. Gaiński

(1952-2011)

W piątą rocznicę śmierci poety



Waldemar M. Gaiński (ur. 16.08.1952 w Wołominie, zm. 03.02.2011 w Częstochowie). Studiował polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Od 1986 r. był związany z Częstochową. W latach 70. XX w. był znaną postacią warszawskiego Koła Młodych przy ZLP, w XXI w. także SPP, a większą część dorosłego życia spędził w Częstochowie.

Zdobywał nagrody i wyróżnienia w piętnastu ogólnopolskich konkursach poetyckich i Międzynarodowym Konkursie im. Marka Hłaski w Wiedniu w 1991 r. Jego wiersze opublikowano w czterech ogólnopolskich antologiach i tłumaczono na rosyjski, czeski, serbsko-chorwacki, węgierski i angielski.

Debiutował na łamach „Nowego Wyrazu” w 1974 r. Wiersze, prozę, recenzje i krytykę literacką publikował na łamach pism: „Autograf”, „Dekada Literacka”, „Dyskurs”, „Dziennik Częstochowski – 24 godziny”, „Gazeta Częstochowska”, „Integracje”, „Kultura”, „Litteraria”, „Miesięcznik Literacki”, „Młoda Sztuka”, „Nowy Wyraz”, „Nurt”, „Opinia”, „Poezja”, „Radar”, „Szyrenka”, „Więź”, a także na antenie Polskiego i Czeskiego Radia. Był też autorem telewizyjnego widowiska poetyckiego pt. „Miasto” w reżyserii Jacka M. Hohensee. Autor tomików: „Poezmat uliczny” (1977), „Asfaltowy blues” (1981), „Rocznik pięćdziesiąty drugi” (1988) oraz „Miasto już przestało boleć” (1997). Był laureatem Nagrody Prezydenta Częstochowy w 1997 r.

Prezentowane wiersze pochodzą z tomu przygotowywanego z inicjatywy Władysława E. Piekarskiego, Wiesława Wyszynskiego i Tadeusza Piersiaka.

(pmm)

**Rozwiązanie nie do końca ostateczne**

Kiedy wszyscy już zawiodą  
zamkną serca i schowają  
dłonie z monetami  
gdy ulica już  
nie poczęstuje papierosem  
a mieszkanie da ci kopa  
gdy zamarznięte buty już  
cię nigdzie nie poniosą  
i gdy złuszczy się ostatnia  
szata kiedy byle lokatorki  
twojego łóżka  
wykasują cię  
z pamięci gdy urzędy  
wciąż bezsilne spalą  
wszystkie kartoteki  
i zapomną cię doręczyciele

może właśnie tak  
wyglądać będzie ROZWIĄZANIE  
choć może nie do końca  
ostateczne

17 X 1999 r.

**O dzieleniu chleba i powietrza**

*Teresie W.*

Było nas tu tylko dwoje  
i na dwoje rozdzielało  
się powietrze bo mieliśmy  
wspólne usta i na dwoje  
starczał chleb herbata i  
na dwoje padał dzień  
brutalną przyjemnością życia

było nas tu tylko dwoje  
ale każde z nas skrywało  
w sobie nazbyt dużo i  
wyłącznie siebie

1989-1999 r.

**Życie: to się więcej nie powtórzy**

wyjeżdżając z tego miasta  
na peronie zostaw jego  
zimne i bezwzględne oczy  
wyjeżdżając z tego miasta  
porzuć pamięć dokumenty  
zapach mieszkań i nie pozwól  
aby ktoś cię odprowadzał  
z nikim się nie żegnaj  
bo i tak nie wrócisz  
wyjeżdżając z tego miasta  
nie pamiętaj  
nawet daty urodzenia  
i jak Piotr trzykrotnie  
zaprzyj się przyjaciół związków  
uczuć chwil radosnych oraz  
upokorzeń  
wyjeżdżając z tego miasta  
powiedz sobie:  
„to się więcej nie powtórzy”

*Pierwodruk: Brulion, X-XI 2004 s. 45-47*

**Może kiedyś się powtórzy**

to się kiedyś znowu powtórzy:  
anemicznie zgaśnię zieleń  
czerwień straci pozór krwi  
i barwę zdrady  
noc jak kiedyś znowu  
będzie szarą ścierką świtu  
i na szybach jeszcze raz  
zagości pieśń zbyt długich  
byle jakich dni i spojrzeń  
  
to się kiedyś znów powtórzy:  
popielniczki pełne skrawków snów

i wierszy blade doby zaczytanych  
książek  
ale może jeszcze kiedyś się powtórzy:  
przez otwarte okno  
niebo wśpiewa się do oczu

26 XII 1999 r.

### **Miasto już umiera**

to nie potrwa długo  
miasto już umiera  
kończy się powoli  
żyjąc z dnia  
na dzień chociaż  
nie ma chleba ni  
zajęcie nie kupuje  
nawet papierosów  
miasto już umiera  
i upija się codziennie  
wkrótce pewnie  
zacznie żebrać  
lub ukradkiem  
grzebać w pojemnikach  
może kradnie a na  
pewno oszukuje  
nie oddaje długów  
i naciąga inne miasta  
to nie potrwa długo

miasto już umiera  
opuściło je mieszkanie  
nie korzysta z wygod  
i nie bywa nigdzie  
to naprawę już  
nie potrwa długo  
miasto już umiera  
wkrótce zniknie z mapy  
i wykreślą je urzędy

[wkrótce umrze



wkrótce umrze  
to zbyt dumne miasto  
zrobi miejsce innym  
i nikogo to już teraz  
tak naprawdę nie obchodzi

*26-27 XII 1999 r.*

*Pierwodruk: Brulion, X – XI 2004, s. 46*

### **Intercyza retrospekcji**

teraz dzielą między siebie  
decymetry tlenu w ścianach  
kilka mglistych wspomnień  
wymuszonych uprzejmości  
grzecznościowych herbat i zachowań

teraz dzielą między siebie  
nawet uśmiech dziecka  
które nie rozumie  
czemu tatuś nie śpi w domu  
teraz dzielą między siebie  
także to  
czego nawet Bóg  
miał nie rozłączyć

### **Banalna piosenka**

ona mu została  
pogniecioną fotografią  
którą nosi gdzieś w  
kieszeni spuchniętego  
serca ona mu została

zdartą taśmą filmu  
 którą wciąż ogląda na ekranie  
 przeraźliwie bladej kartki  
 ona mu została  
 pomyślanym listem  
 dedykowanym  
 w ciszę pustej szklanki  
 ona mu została  
 tylko tą piosenką  
 której ból zarasta  
 mroźnym docieklwym  
 nożem

*Pierwodruk: Aleje 3, V-VIII, 2000, s. 33*

### **Jak cmentarna ziemia**

dla tych którzy spać już nie potrafią  
 pozostaje wachlarz gazet  
 i pastylki książek  
 dla tych którzy spać już nie potrafią  
 niebo sypie gwiazdy elektronów  
 prosto w oczy kineskopów  
 dla tych którzy spać już nie potrafią  
 sennie gładzi radio nocnych lęków  
 wyciągają się ramiona telefonów  
 i szczupleją wyciśnięte paczki papierosów

dla tych którzy spać już nie potrafią  
 dni spadają z kalendarzy  
 jak cmentarna ziemia

*23 III 1981-3/4 I 2000 r.*

*Pierwodruk: Aleje 3, V-VIII, 2000, s. 33*

### Może przedostatnia noc

witam państwa w moim śnie  
lecz nie czujcie się bezpiecznie  
bądźcie pełni obaw i ostrożni  
tu się wszystko może zdarzyć  
i niektórym tylko się zapewne uda  
przerwać sen w dogodnej chwili  
i zatrzymać krzyk w wyschniętych ustach  
witam państwa w moim śnie  
i zapraszam głębiej do otchłani  
ukrywanych myśli do skarbnicy  
słów powstrzymywanych w porę  
do wciąż odświeżanych złóż pamięci  
które kiedyś jeszcze się przydadzą  
kiedy przyjdzie wypluć prawdę  
prosto w zeszmącone twarze  
witam państwa w moim śnie  
*welcome to my dream*  
lecz nie czujcie się bezpiecznie  
jeśli nawet wyproście dzień  
w łózkach swych spoconych trumien

9 I 2000 r.

Pierwodruk: *Aleje 3, V-VIII, 2000, s. 13*

*Waldemar Gaiński*

## Michał Jagiełło (1941-2016)

Autor jednego z zamieszczonych w tym numerze tekstów, a nasz Kolega, członek Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, **Michał Jagiełło** (ur. 23 sierpnia 1941 w Janikowicach) zmarł nagle 1 lutego 2016 r. w Zakopanem w czasie, kiedy niniejszy numer był przygotowywany do druku. Był częstym gościem w Domu Literatury, w SPP, ostatnio 19 stycznia na spotkaniu z redakcją naszego kwartalnika. Jeszcze trzy dni temu rozmawialiśmy z Nim telefonicznie, uzgadniając przygotowanie opowiadania do planowanego „Podglądu” nr 3/2016, a także zestawu wierszy do internetowego e-tygodnika literackiego *Pisarze.pl*. Niestety tych publikacji już nie będzie.



Fot. Piotr Müldner-Nieckowski

Michał Jagiełło był znany jako taternik i alpinista, przewodnik i ratownik górski. W latach 1972-1974 był naczelnikiem Grupy Tatrzańskiej GOPR, do końca pozostawał czynny w Tatrach. Był autorem wielu artykułów w prasie, opracowań popularnonaukowych, prozaikiem i poetą, w ostatnich latach życia bibliotekarzem. Był także w rządach PRL i RP, tj. w latach 1989-1997 wiceministrem kultury i sztuki, a w latach 1998-2007 dyrektorem Biblioteki Narodowej i przewodniczącym Krajowej Rady Bibliotecznej. Prowadził wtedy niezapomniane środowiskie spotkania z pisarzami, trzymając się zasady, że nie jest ważne, kto do której organizacji należy, ale co sobą reprezentuje jako artysta. Wydał 30 książek, z których do najbardziej znanych należały powieść *Hotel klasy Lux* (Czytelnik, 1978) i znakomita praca historyczno-taternicka *Galazka kosodrzewiny. Najdawniejsze wypadki tatrzańskie w piśmiennictwie polskim* (Biblioteka Narodowa, 1999; wyd. III poszerzone, Biblioteka Narodowa, 2001). Pogrzb Michała Jagiełły odbył się 8 lutego 2016 r. w Zakopanem.

Anna Piwkowska poświęciła Michałowi Jagielle wiersz, który poniżej drukujemy.

(pmm)

**Anna Piwkowska**

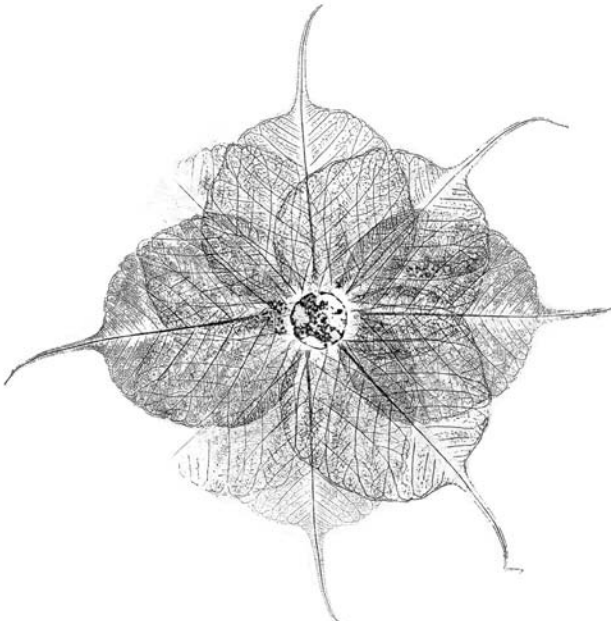
## **Gdzie odchodzą mężczyźni**

*Pamięci Michała Jagiełły*

Nasi zmarli uważnie przyglądają się  
czy dobrze wypełniamy pozostawione przez nich  
obowiązki, wdowy, kochanki, dzieci, psy,  
cały ten porządek – nieporządek – obrządek.  
Widzę jak otwierasz szeroko ramiona  
i wołasz do mnie i stojącego przy mnie Tomka:  
Przy – ja – cie – le!  
Na rozświetlonym słońcem Krakowskim Przedmieściu  
jeszcze nie wiesz kim jestem, ale obejmujesz tym gestem  
także mnie i smagłą dziewczynę na rowerze,  
która przypadkowo zmieściła się w kadrze twoich ramion.  
Wszyscy byli dla ciebie przyjaciółmi.  
Choć istnieli także zawistnicy, ciemni grabieżcy światła duszy.  
Szczególnie tu, na nizinach, w chłopskiej zagrodzie,  
gdzie natura dopominała się o krew: czarnej kury, świni, wołu.  
Ale także w nizinnym pośpiechu miasta  
zawsze ta rytualna ofiara z rytmu krwi.  
Tylko w górach, wysoko: przy – ja – cie – le!  
Ty, zwierzę i gwiazda - ciało przy ciebie.  
Każde ja, które potrzebowało pomocy,  
a także tojady, szarotki i górskie storczyki.  
Wszystko co kruche jak życie, radosne jak kobieta,  
i jak twoja kobieta ukochane. Ciało przy ciebie.  
I kamyki, lawiny kamieni, już uspokojone, porosłe mchem,  
a w każdym kamieniu odcisnięte zwęglone ciało  
widłaków, skrzypów i paproci sprzed milionów lat,  
odciski niedźwiedzych łap, skamieniały permski las.  
Drzewa rosły i obumierały, torf zamieniał się w węgiel.

I nagle, przez krótką chwilę w tej wieczności  
 Ty i granitowe góry krystalicznie oligoceńskie  
 i podwójna lina z barwnym splotem – nierozłączni przyjaciele.  
 Nie wiadomo gdzie się kończyłeś, a gdzie zaczynała ona,  
 w wąskim kominie, z zadrapaniami na skórze,  
 w upartym schodzeniu – pod – chodzeniu do człowieka.  
 Góra patrzyła na górę, zapadał zmierzch.  
 A potem, na dole, gwar, zapach sera i góralska muzyka,  
 blask i oczy rwące jak przejrzyste, chłodne strumienie.  
 Gdzie odchodzą mężczyźni?  
 Idziemy z Tomkiem Drogą do Białego i nagle wszystko mówi:  
 Przy – ja – cie – le!

*Luty 2016*



*Kwiat. Dorota Suwalska, kalkografia*



Jan Józef Lipski, w środku, w towarzystwie  
Andrzeja Walickiego i  
Leona Chyńskiego (1950 r.)



**|| Niezliczone inwigilacje,  
podśluchy, aresztowania.  
Całe życie przeciw totalitaryzmowi:  
Jan Józef Lipski.**

był Andrzej Gasiński

Przez jego życie przetoczył się walec najnowszej historii Polski. Nie uległ mu. Naprawił świat, podejmując się prac ponad siły jednego człowieka. Kierował się prawem moralnym.

## Opozycjonista – badacz literatury Badacz literatury – opozycjonista

- urodzony **1926** dwa tygodnie po przewrocie majowym
- koniec szkoły **1939** **wybuch wojny**
- „mały sabotaż” – Szare Szeregi – pułk „Baszta” Armii Krajowej
- 1944 ciężko ranny w Powstaniu Warszawskim, 1946 matura
- 1947** „w zainteresowaniu” **bezpieki (do 1990 – 43 lata...)**
- 1956** „Po prostu”, Klub Krzywego Kłosa (prezes/sekretarz), wydaje Gombrowicza, Witkacego, Miłosza
- pierwsze usunięcie z pracy z przyczyn politycznych 1959**
- 1961 powstaje leża „Kibpernik”
- 1962 rozwiązanie Klubu Krzywego Kłosa
- 1964 protest przeciw cenzurze (list „34”): pierwsze aresztowanie
- 1968 inicjator protestu pisarzy
- niedopuszczenie do habilitacji z przyczyn politycznych 1976 (zmiana decyzji: 1981)
- 1976** **pomoc represjonowanym – powstaje KOR**
- 1978 pierwsza z wielu operacji serca
- 1980-1981 udane poluzowanie cenzury (odtąd zaznaczane są jej ingerencje)
- stan wojenny 1981** **nie internowany – aresztowany**
- 1987 reaktywuje w Polsce PPS, 1989 senator, umiera 1991

był Andrzej Gasiński

# Jan Józef Lipski

(1926-1991)

W 2016 roku przypada 90. rocznica urodzin oraz 25. rocznica śmierci Jana Józefa Lipskiego, naszego wieloletniego członka. Przypominamy Go, prezentując wybrane plansze z wystawy plenerowej „Jan Józef Lipski 1926-1991. Ambasador marzeń”, zorganizowanej na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego (wrzesień 2011 r.), przygotowanej przez Stowarzyszenie Wolnego Słowa, Uniwersytet Warszawski oraz Instytut Pamięci Narodowej. Wystawę przygotowali: *Małgorzata Strękowska-Zaremba, Katarzyna Boruń-Jagodzińska, Zofia Domaniewska.*



Fot. Zofia Domaniewska



# Badacz literatury



Żartował, że ma dwie dusze: działacza i historyka literatury. Związał się z Państwowym Instytutem Wydawniczym, a od 1961 z Instytutem Badań Literackich PAN. Jego pomysłem było m.in. pierwsze po wojnie wydanie Gombrowicza Ferdynarda i Kwony, książeczki Burgunda z ilustracjami Tadeusza Kantora. Był pomyslowym szperaczem, m.in. opracował i opublikował Nowe Ateny ks. Benedykta Chmińskiego, a także antologię feletonów warszawskiego obejmującą sto dwadzieścia lat jego dziejów Warszawy „Pustelnicy” i „Bywałscy”.

Prace o poezji współczesnej stanowią najlepszą część jego dorobku literackiego – obok dwutomowej antologii feletonów warszawskich, w której artykuły poszczególnych autorów poprzedzone zostały świetnie napisanymi biografiami.

Marek Ciwik

Wysoko cenil poezję Grochowiaka, Biłoszewskiego, Herberta, Wata. Interesował go Czachotowski, zachwycał Mrozek, Leś. Uważnie i z wielką sympatią czytał tak samo poezję, jak feletyony Antoniego Słonimskiego.

Leszek Skrzypka

Tak, był (...) wybitnym znawcą poezji, więcej może nawet – był jej smakoszem, a w kwestii smaku – prawdziwym arbitrem.

Leszek Skrzypka

**///** Nie wiem,  
jak pokazać  
człowieka...

Maria Dmochowska

**Jan Józef  
LIPSKI**  
1926-1991

**Ambasador  
Marzen**

Dr hab. Jan Józef Lipski (ur. 1926) w Warszawie, w 1953 r. ukończył studia na Uniwersytecie Warszawskim, w 1957 r. na Uniwersytecie w Bonn. W 1958 r. otrzymał tytuł doktora nauk humanistycznych z zakresu literatury i kultury. W 1960 r. został profesorem nadzwyczajnym, w 1965 r. profesorem zwyczajnym. W 1968 r. otrzymał tytuł naukowy profesora. W 1970 r. został dziekanem Wydziału Filologicznego Uniwersyteckiego Instytutu Literackiego w Bonn. W 1972 r. został profesorem zwyczajnym, w 1975 r. profesorem nadzwyczajnym, w 1978 r. profesorem zwyczajnym. W 1980 r. został profesorem zwyczajnym, w 1983 r. profesorem nadzwyczajnym, w 1986 r. profesorem zwyczajnym. W 1988 r. został profesorem zwyczajnym, w 1991 r. profesorem nadzwyczajnym, w 1994 r. profesorem zwyczajnym. W 1996 r. został profesorem zwyczajnym, w 1999 r. profesorem nadzwyczajnym, w 2002 r. profesorem zwyczajnym. W 2004 r. został profesorem zwyczajnym, w 2007 r. profesorem nadzwyczajnym, w 2010 r. profesorem zwyczajnym. W 2012 r. został profesorem zwyczajnym, w 2015 r. profesorem nadzwyczajnym, w 2018 r. profesorem zwyczajnym. W 2020 r. został profesorem zwyczajnym, w 2023 r. profesorem nadzwyczajnym, w 2026 r. profesorem zwyczajnym.

Kwartalnik

OW SPP  
www.ow.spp.plINSTITUT  
POLSKI  
MARIENBURG

Kwartalnik



## Tablica ku czci Tadeusza Konwickiego

W pierwszą rocznicę śmierci Tadeusza Konwickiego, 7 stycznia 2016 r., odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą pisarzowi i jego żonie. Zawisła przy ul. Górskiego 1, gdzie Konwicki mieszkał od 1956 r. Inicjatorami upamiętnienia pisarza byli mieszkańcy budynku.

Uroczystego odsłonięcia dokonali byli prezydent Bronisław Komorowski oraz córka pisarza, Maria Konwicka. Jak zaznaczył Franciszek Zieniewicz, przedstawiciel Wspólnoty Mieszkaniowej przy ul. Górskiego 1, przy realizacji tablicy starano się nawiązać do postaw i zasad, jakie prezentowali Danuta i Tadeusz Konwicy, czyli „do nadania jej prostego i skromnego charakteru”.

Bronisław Komorowski podkreślił, że powinna przetrwać pamięć o Konwickim nie tylko jako o pisarzu, ale także jako o człowieku, który skutecznie potrafił zakorzenić się w obcym miejscu.

– Minał rok od śmierci Tadeusza Konwickiego. Wszyscy zastanawiamy się, czy pamięć o tym wybitnym polskim pisarzu z Wilna, a nie pisarzu wileńskim, przetrwa – mówił były prezydent.

Jak dodał, zawsze myślał o Tadeuszu Konwickim jako o przedstawicielu pokolenia, któremu przyszło przeżyć wykorzenienie i z trudem zbudować swoje życie z pożytkiem dla wszystkich, z pożytkiem dla kraju.

– Nie było chyba szczęśliwszej chwili dla wszystkich podziemnych drukarzy, kolporterów i redaktorów, niż moment wydania w podziemiu napisanej specjalnie dla podziemia, trochę przewrotnie, trochę prowokacyjnie, „Małej Apokalipsy”. To był ten moment, w którym przynajmniej ja poczułem, że jesteśmy wspierani przez najwybitniejszych ludzi – powiedział Komorowski.

Małgorzata Karolina Piekarska, prezes Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, zauważyła, że tablica poświęcona Tadeuszowi Konwickiemu wpisuje się w Warszawski Trakt Literacki. Wymieniła znajdujące się w pobliżu tablice poświęcone Skamandrytom i bohaterom „Lalki” Bolesława Prusa.

– Ta tablica jest wspaniałym dopełnieniem. Ponieważ jest w takim miejscu, którym często przechodzimy, będziemy myśleć o Tadeuszu Konwickim w każdej chwili, kiedy znajdziemy się tu, na ulicy Wojciecha Górskiego – mówiła.

Janusz Anderman, pisarz i reżyser m.in. filmu „Co ja tu robię. Tadeusz Konwicki”, podkreślił, że Konwie, jak nazywano autora „Sennika współczesnego”,



*Fot. Janusz Drzewucki*

każdy coś zawdzięczał. – Przede wszystkim to, że pisał o nas, Polakach, prawdę. Nawet wówczas, gdy pisał o nas okrutnie – zaznaczył. – Siebie, jako bohatera swoich książek także nie oszczędzał – zauważył.

Tadeusz Konwicki (ur. 1926 w Nowej Wilejce) to autor m.in. takich powieści jak „Sennik współczesny” (1963), „Wniebowstąpienie” (1967), „Kalendarz i klepsydra” (1976) czy „Mała Apokalipsa” (1979). Pracował także jako reżyser filmowy; jest autorem takich obrazów jak m.in. „Ostatni dzień lata” (1958), „Zaduszki” (1961), „Salto” (1965) i „Jak daleko stąd, jak blisko” (1971). Filmy te uznawane są dziś za klasykę polskiej kinematografii.

Konwicki wyreżyserował również „Dolinę Issy” na podstawie powieści Czesława Miłosza i „Lawę” według „Dziadów” Adama Mickiewicza. Był ponadto autorem filmowych scenariuszy m.in. do dzieł Jerzego Kawalerowicza „Matka Joanna od Aniołów” (1961) i „Faraon” (1966) oraz do „Jowity” Janusza Morgensterna (1967). W latach 1956-1968 był kierownikiem literackim Zespołu Filmowego „Kadr”. Zmarł 7 stycznia 2015 r. w Warszawie. Miał 88 lat.

*Źródło: PAP*

## Sergiusz Sterna-Wachowiak

### Pożegnanie

# Janusza Odrowąż-Pieniążka

(ur. 2 lipca 1931 Opatowice, zm. 8 grudnia 2015 Warszawa)

Śmierć uwydatnia życie. W jej perspektywie – wierzymy, że śmierć nie jest progiem mroku – dzieła i zasługi życia stają się pełniejsze i lepiej widome. Odejście osoby bliskiej, znajomej, ukazuje nam także w jakimś nowym świetle wszystko to, co ją stanowiło w znaczeniu głębszym. Pragniemy wówczas zrozumieć i nazwać to cenne, czego może nie docenialiśmy, a co było darem dla nas: niewymierną zasługę odchodzącego, za którą przyszliliśmy tutaj podziękować. Świętej pamięci Pan Prezes był nam przez wiele długich lat oddany i pomocny szczególnie przez swoje doświadczenie, mądrość, humor, dystans i dobroć.

W życiu i twórczości świętej pamięci Janusza Odrowąż-Pieniążka doświadczenie wystawić sobie można na podobieństwo spiżarni pełnej rzeczy odszukanych, wybranych i smakowitych, zgromadzonych w rezultacie ambicji, ciekawości świata, otwarcia na ludzi. Był erudytą i obieżyświatem, nie flâneurem jednak, lecz świata obywatelem. Należał, co podkreślił niedawno Andrzej Wat, do arystokratów ducha. Pierwsza była jednak uważność. Wrodzona, pielęgnowana atencja, okazywana śladom po nieprzeciętnych, twórczych postaciach naszej literatury i historii. Zdolność tropienia śladów i umiejętność ich ocalania, przechowywania dla potomnych, tak cenna i rzadka w kraju, którego biblioteki, pinakoteki, muzea, kolekcje były tylekroć płańdrowane, grabione, wywożone albo palone.

Mądrość to zdolność wyboru i sublimacji, przykładania do ludzkich czynów, dzieł i biografii, a w końcu do rzeczywistości historycznej miar i wag, jak też określenia naszego żywego „tu i teraz” podług wartości i ich sprawdzonych przez przodków hierarchii. Częściej oznacza to upędzanie się za kwantyfikatorami uniwersalnymi, formułowanie ocen w kontekście idei, wobec absolutu czy logosu, wzorem filozofów i teologów. Pan Prezes jako pisarz, historyk literatury (w latach 1956-1972 pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN), muzealnik (w okresie 1972-2009 dyrektor Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie) i uczestnik życia literackiego (członek Zarządu Głównego i prezes 1999-2002 Stowarzyszenia Pisarzy Polskich,

członek władz PEN Clubu, Société Européene de Culture, Towarzystwa Przyjaciół Książki, związany z Biblioteką Polską w Paryżu) – również pod tym względem był wyjątkowy. Żył szacunek dla okrucich, małych świadectw, ulotnych przypadków, drobnych detali. Okazywał im zainteresowanie i respekt badawczy, należny imponderabiliom. Jego Mickiewicz, Towiański, Słowacki, Norwid, Gombrowicz, Miłosz, Herbert i inni, których życiem i dziełem się zajmował – obecni byli tak w swoich fundamentalnych, głośnych dziełach, jak w nieznanach listach, zagubionych dokumentach, lekceważonych brulionach, zarzuconych brudnopisach. Podobnie było dlań oczywiste, że literatura polska to całość niewyobrażalna bez dzieł i manuskryptów Wielkiej Emigracji i Sybiru romantyków. Rzecz nie jedynie w uważności i pieczołowitości rasowego historyka, muzealnika, edytora, nie tylko w predylekcji pisarza, obserwatora i świadka rzeczywistości, do fotograficznej pamięci i słuchu absolutnego. Mądrość Pana Prezesa wzięła się z wcześniej dostrzeżonej prawidłowości, którą Mistrz Eckhart, Jacob Boehme i Anioł Ślżzak opisali jako mistyczną i substancjalną analogię pomiędzy kroplą wody a oceanem albo człowieczą duszą a Bogiem. To nie część zamiast całości, lecz całość nie do ogarnięcia bez wszystkich swoich cząstek. I przez każdą ze swoich najmniejszych cząstek reprezentowana w całości.

Humor. Subtelny, lekki. A jeśli nawet ironia, to nie dotykająca ludzi, nie kalecząca, i choć nie pozbawiona żądła – elegancka, wyzbyta celów innych, niż zobjektywizowana charakterystyka osób publicznych, znaczących sytuacji, ważnych faktów historycznoliterackich, encyklopedycznych, biobibliograficznych. Nie był to humor bezkrytycznego optymisty, lecz również nie osoby sarkastycznej. W nowelach i powieściach autora *Opowiadań paryskich*, *Ucieczki z ciepłych krajów*, *Małżeństwa z Lyndą Winters albo Pamiątki po Glorii Swanson*, *Party na calle Guatemala*, *Wielkiego romansu w Bucharze* czy *Mitu Marii Chapdelaine* ani w rozmowach z Panem Prezesem nigdy nie natknąłem się na humor zwany wisielczym, a choćby tylko gorzkim czy melancholijnym. Nie było w niepowtarzalnym gatunku humoru świętej pamięci Pana Prezesa – „błagam, tylko nie profesora”, jak mawiał i zapisał w tytule swej najnowszej, może nie ostatniej książki – nie było w jego humorze interesowności. Humor subtelny, nieco salonowy dowcip, anegdota z życia wzięta, czyli autentyczna – miały za zadanie wyostrzyć stosunek Pana Prezesa do rzeczywistości. Manifestowały względność rzeczy, ich ludzki, przemijalny wymiar. Brały się z doświadczenia i mądrości, stanowiły o dystansie do siebie, do innych, do stereotypów, mód, stylów, snobizmów i rzekomych „krzyków nowości” świata, który nie zaczął się wczoraj i nie skończy jutro. Było w tym coś z metafizyki: humor jako organiczny składnik rzeczywistości. Jej cecha substancjalna, obiektywny przymiot, świadectwo materii tchniętej przez inteligentnego ducha stwórcy, którego humor wyraża empatię, miłosierdzie, wybaczenie, jest znakiem miłości.

Dystans, umiar sądów i powściągliwość ocen charakteryzowały Pana Prezesa w sposób wszystkim znany. Był dobrym, życzliwym człowiekiem, lecz nie miękkim czy niezdecydowanym. Na jego nieco anglosaski *esprit*, na jego trochę pickwickowski *charme* wpływ miały najlepsze tradycje kultury śródziemnomorskiej, jej kręgu północnego, ceniącego życie może bardziej powściągliwe, lecz lepiej uorganizowane w kluby, konwentykle, instytucje, stowarzyszenia. Anglosaski był jego sposób noszenia się i ubierania, manieri, styl, także literacki. W pracy energiczny, w poszukiwaniach i kwerendach, prawdziwych często dochodzeniach w sprawach zaginionych czy nieznanymi manuskryptów, korespondencji, memuarów, brudnopisów, zarzuconych wersji utworów, ich fragmentów i bibelotów z pracowni naszych wielkich pisarzy był wnikliwy, logiczny i skuteczny niczym Sherlock Holmes. Był przy tym osobistością wybitnie społecznikowską i organicznikiem, jak każda polskie tradycje najlepszych obywateli. Mieli oni i mają świadomość, że profesja i etat nie zaspokoją pasji i nie wystarczą w potrzebie.

Odczuwaliśmy i dostrzegaliśmy piękno życia, dzieła i osoby Janusza Odrowąż-Pieniążka, ustanawiane przez wewnętrzną pracę jego doświadczenia, mądrości, humoru, dystansu i dobroci. Dziękuję Panu Prezesowi w imieniu wspólnoty Stowarzyszenia Pisarzy Polskich i polskiego PEN Clubu. Składam głębokie kondolencje rodzinie, bliskim, przyjaciółom i współpracownikom Zmarłego.

*Warszawa, Stare Powązki, 29 grudnia 2015*

*Sergiusz Sterna-Wachowiak  
Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich*

Dorota Siwicka

## Pożegnanie Janusza Odrowąż-Pieniążka

W imieniu Dyrekcji i pracowników Instytutu Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk pragnę dziś pożegnać Pana Janusza Odrowąż-Pieniążka.

Był naszym pracownikiem od roku 1956. Najpierw – w Zespole Edytor-skim dzieł Adama Mickiewicza, później – w Pracowni Dokumentacji Naukowej i Literatury XIX wieku. W roku 1972 został członkiem redakcji zakładanego wtedy w Instytucie dwumiesięcznika „Teksty”. Jednak w „Tekstach” zdążył przepracować ledwie miesiąc, ponieważ powołano Go na stanowisko Dyrektora Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza. Można by pomyśleć, że Muzeum zyskało, a my straciliśmy znakomitego fachowca, nie byłaby to jednak cała prawda. Nadal, bowiem prowadziliśmy wspólne przedsięwzięcia, nadal spotykaliśmy się, co i rusz, a ta nasza współpraca, to nasze spotkania się trwały do Jego niemal ostatnich dni.

Właściwie nie mogło stać się inaczej, skoro życiowym wysiłkiem, zadaniem, które sobie Janusz Odrowąż-Pieniążek wyznaczył, była praca nad zachowaniem polskiego dziedzictwa literackiego w Polsce i na świecie. Spełniał się, jako pisarz i jako muzealnik, jako artysta i jako organizator życia kulturalnego, inicjator wystaw, obchodów, konferencji. Trudno wyliczyć osiągnięcia człowieka tak energicznego i tak pracowitego. Chcę więc podkreślić tylko jedno: wielką zasługę Janusza Odrowąż-Pieniążka dla nauki o literaturze, a w szczególności dla badań nad polskim romantyzmem.

Był sekretarzem komitetów redakcyjnych dwóch fundamentalnych edycji: Wydania Jubileuszowego *Dziół*, a później *Dziół wszystkich* Mickiewicza. Był autorem bezcennego rejestru listów do poety w muzeum paryskim. Był niestudzionym tropicielem i wydawcą nieznanych wcześniej mickiewiczianów, a także wielu innych poloniców zbieranych w różnych zakątkach świata, także za oceanem, także w podróży szlakiem zesłańców przez Syberię do Kazachstanu i krajów Azji Centralnej.

Żadna historia literatury nie może się rozwija, jeśli brakuje jej materialowych podstaw, jeśli nie poprzedzi jej praca dokumentalisty i edytora, dostarczająca faktów oraz tekstów. Nasze dzieje i dzieje naszej literatury przebiegły jednak w ten sposób, że ich odtworzenie, ich badanie wymaga szczególnych



umiejętności w docieraniu do źródeł. A w tej właśnie sztuce Janusz Odrowąż-Pieniążek był prawdziwym mistrzem.

Podczas gdy poszukiwanie dokumentów bywa fascynującą przygodą (do której potrzeba też fantazji), to praca edytora, praca z autografem jest wysiłkiem niemożliwym bez nadzwyczajnej cierpliwości i skrupulatności, bez erudycyjnej wiedzy, a także intuicji pozwalającej przekroczyć granice czasu i zbliżyć się do autora badanego tekstu. Te wszystkie zalety miał Janusz Odrowąż-Pieniążek. Skoro jednak zabieram głos na Cmentarzu Powązkowskim, w nekropolii tak ważnej dla naszej kultury, w miejscu, gdzie to, co było przenika się z tym, co jest i będzie, to chciałabym, aby raz jeszcze wybrzmiało nazwisko wielkiego poety, z którym łączyła Zmarłego tak szczególnie bliska, niemal intymna więź Adama Mickiewicza.

Wymieniam je nie dlatego, aby uczynić to pożegnanie bardziej patetycznym, lecz by przywołać konkretne wydarzenie, które miało miejsce niedawno. Oto pod koniec października naszej młodszej koleżance udało się odkryć na Ukrainie nieznaną autograf Inwokacji *Pana Tadeusza*. Nie mając całkowitej pewności, czy jest to autentyczny zapis, postanowiliśmy go zanieść do Janusza Odrowąż-Pieniążka. A on spojrzal i wydał wyrok: nie ma wątpliwości, to jest prawdziwy Mickiewicz. W związku z tym wydarzeniem, pani profesor, znana mickiewiczolożka powiedziała kilka dni temu: on poznał, bo on miał Mickiewicza w oczach. Właśnie tak: miał Mickiewicza w oczach. Wiemy, zatem, że jest to autograf prawdziwy, lecz nie znamy jeszcze ważnej rzeczy: daty jego powstania. Być może, Janusz Odrowąż-Pieniążek te daty już zna, lecz niestety nie możemy Go o to teraz zapytać.

Panie Dyrektorze, dziękujemy za Pana pracę, za to, że był Pan z nami.

*Warszawa, Powązki, 29 listopada 2015 r.*

*Dr Dorota Siwicka  
Zastępca Dyrektora ds. Naukowych, IBL PAN*

---

**Mariusz Olbromski**

## **Jeszcze wczoraj**

*Pamięci Janusza Odrowąż-Pieniążka*

Jeszcze wczoraj ten książe z krwi  
i z działań na rzecz kultury przywoływał  
tutaj cień Milosza, grymas Gombrowicza  
i dziękowałem mu za pomoc memu ojcu  
w sesjach, tylu wystawach w Wyszogrodzie,  
za wspólną o Herbercie w jego ukochanym  
Lwowie, a teraz nagle ta wiadomość:  
kurtyna już zapadła i jest po tamtej stronie...  
jeszcze wędruje jego głos i twarz i tyle naszych  
rozmów jak z jego fajki dym po lotnych  
ścieżkach. Lecz tyle muzeów utworzonych  
i świetnych ekspozycji, książek nadal jego  
świeci jak reflektory w sztuce nieskończonej.  
Bo został jeszcze akt następny: naszej zadumy  
i refleksji; wdzięczności za dzieła trwale,  
ważne, choć w naszym zgielku zagubione.

*Stawisko, XII 2015*

## NOWI CZŁONKOWIE OW SPP

### Danuta Gałęcka-Krajewska

Urodziłam się dawno temu, co ma swoje dobre strony. W moim pisaniu próbuję często przywoływać pamięć wydarzeń, które w mojej percepcji świata są czymś więcej niż jej przetworzoną projekcją. Realność i jej wielorakie lustra, spajanie czasu, tego co było, jest i może będzie – to chcę uchwycić i wpisać w strukturę wiersza.



Od debiutu w 1983 roku (MAW) musiało upłynąć wiele lat, zanim to, co pisałam do tzw. szuflady, ujrzało światło nowej rzeczywistości. W latach 70. robiłam różne rzeczy, których ślady zostały w moich utworach. Współpracowałam z redakcją „Magazynu Studenckiego” w Polskim Radiu. Moje wiersze były drukowane w „Nowym Wyrazie”, „Poezji” i „Współczesności”. Byłam członkiem Koła Młodych przy ZLP.

W tym czasie pojawił się pomysł napisania „powieści kolektywnej”, której zbiorczym bohaterem miał być Grzegorz P. Pamiętam znakomity fragment autorstwa Christiana Skrzyposzka, a także część, którą napisał Marek Trostaniecki. Marzy mi się choćby częściowe odtworzenie tego „niebyłego” utworu, zwłaszcza, że kilku spośród wielu uczestników owego przedsięwzięcia nadal funkcjonuje w literaturze (np. Piotr Müldner-Nieckowski).

Wracając do mnie – jestem anglistką, tłumaczyłam wiersze Sylvii Plath, własne utwory, a także prozę. Po latach ciszy w 2015 roku ukazał się mój

retrospektywny tomik „Ślady”, a niedługo po nim kolejny – „Obiecany Park Rozrywki”, którego tytuł notabene ma niewiele wspólnego z treścią.

Ktoś powiedział, że pisarze po to czytają powieści innych pisarzy, aby przekonać się, jak są one napisane. Jeśli czytam poezję, to właśnie szukam w niej takich „szwów”, czasem podświadomie, a niekiedy z rozmysłem. Samo ich szukanie jest przygodą intelektualną i rodzajem pożywki artystycznej.

Odwołując się do przeszłości, próbuję scalać czas różnych wydarzeń, aby niejako przeciwdziałać jego naturalnej ulotności.

## Paweł Dunin-Wąsowicz

Urodziłem się w roku, w którym zginął patron mojej podstawówki Ernesto Che Guevara, ale jakoś niekoniecznie miałem z nim wspólne sprawy. Od końcówki liceum po studia (dziennikarskie) pisałem opowiadanka, w końcu w 1991 zacząłem wydawać nieregularnik „Lampa i Iskra Boża”, który w latach 2004-2013 był nawet miesięcznikiem. Raczej jestem kolekcjonerem fikcji niż jej twórcą – choć popelnilem powieściątko „Rewelaja” (1994) oraz fantazję o zmyślonym mieście „Odczapów. Przewodnik dla turystów mentalnych” (wspólnie z Andrzejem S. Rodysem, 1999). Z Krzysztofem Vargą opracowałem leksykon ówczesznie młodej literatury „Parnas bis” (1995), współredagowałem też parę antologii ze spontanicznego („Xerofeeria”, 1993) i mniej spontanicznego obiegu literackiego („Macie swoich poetów”, 1996). Pisałem sobie piosenki śpiewane na rockowo (plyta dołączona do „Lampy” 2/2006) i robiłem wywiady z pisarzami (m.in. Stanisław Lem – zebrane w książce „Rozmowy Lampowe”, 2007). Ostatnio zajmuje mnie szperactwo literackie – znajdowanie wizji fantastycznych Polski – z tego zrodziły się książki takie jak „Warszawa fantastyczna” (2010), „Fantastyczny Kraków” (2013) i „Fantastyczny atlas Polski” (2015). Innym kierunkiem penetrowania fikcji jest mój leksykon książek nieistniejących „Widmowa biblioteka” (1997) i „Polska Biblioteka Widmowa” – mam nadzieję, że w tym roku ukaże się nakładem Narodowego Centrum Kultury. Moim ulubionym czasopismem jest miesięcznik „Świat Kolei” – dziadek i pradziadek od strony matki byli kolejarzami. Może dlatego w 1999 wznowiłem jako wydawca „Demona ruchu” Stefana Grabińskiego, ilustrując go własnymi kolażami. Poza tym lubię złą literaturę, a dobrą niech się zajmują specjaliści od dobrej.

**Andrzej Tadeusz Kijowski**

## Grająca krata

Obiady w Oborach wydawano o wpół do drugiej. W niedzielę były szczególnie uroczyste. Wtedy powiększało się towarzystwo. Do pensjonariuszy przybywali goście. Pani Alinka Lorentzówna (prof. Kowalczykowa) podwoziła tu, najczęściej gdy w Oborach przebywali państwo Arturowie Międzyrzeccy, Antoniego Słonimskiego<sup>1</sup>. Bywali w pałacu państwo Hania i Witold Trzeciakowscy, którzy w przyoborskich stajniach trzymali nawet swego konia. Pierwszy raz w siodle siedziałem właśnie na nim. Klacze i ogiery biegały swobodnie po dawnym folwarku przekształconym w PGR. Idąc parkową aleją, można było dojść do zamkniętej zakratowanej furtki. Tam należało zagwizdać lub umiejętnie zastukać w rezonujące kraty. Wtedy nadbiegały rumaki.

Spacerował tam często mój ojciec Andrzej Kijowski z panią Julią Hartwig i Arturem Międzyrzeckim, z Jackiem Bocheńskim, Kazimierzem i Marią Zenowicz – Brandysami czy Julianem Strykowskiem lub Joanną Guze. Zresztą... wszyscy niemal, choć naturalnie głównie stołeczni pisarze, w tym podwarszawskim pałacu się spotykali. Nie tylko literaci. W pobliskim Konstancinie jest dom ZAiKS-u, rzut beretem do aktorskiego Skolimowa, gdzie obok domu artysty weterana też jest mały dom pracy twórczej. Odwiedzano się nawzajem, uprawiano takie dworskie „virement”. Gdy Jarosław Marek Rymkiewicz pracował w Oborach nad kolejną imitacją, jego żonę Ewę (z Warzyńcem in statu nascendi) przywiozą Adam z Zosią (Kucówną) Hanuszkiewiczowie.

Po obiedzie (zawsze najmłodszy, a grzeczny i świetnie wychowany) – Józef Hen powyciąga wiklinowe foteliki i towarzystwo rozsiądzie się na ganku. Kazimierz Brandys peroruje. – Ależ Kaziu, odzywa się sarkastycznie jakiś złośliwiec: – Jak pięknie opowiadasz! Może Ty powinienes... pisać?

Obrazek niby sprzed wojny, gdy Pan Jarosław Iwazkiewicz bywał tu u Potulickich. Teraz pojawia się rzadko. Ma swoje Stawiska. Zresztą... kiedyś, już w latach sześćdziesiątych potomek Potulickich odwiedzi rodzinne Obory, przyjechawszy z Anglii. Ci, którzy byli przy tej wizycie, mieli rzadkie miny. – „O sekretarzyk Mamy!” Ktoś zapamiętał westchnienie.

---

<sup>1</sup> Jak wiadomo jedna z takich podróży zakończyła się 4 lipca 1976 roku tragicznym samochodowym wypadkiem w Konstancinie i śmiercią autora „Alarmu”.

Nie ma co kryć. To były cudze buty, te literackie Obory ale... Bardzo wygodne! Eleganckie, lecz pozbawione nuworyszowskiego blichtru. Nawet szlachetnie znoszone. Formy, które tam obowiązywały, były przeszłe i po polsku doskonale. Przy wspólnym obiedzie wygasaly nawet najżywsze spory, choćby między partyjnym stronnictwem Jerzego Putramenta, a „gęgaczami”, skupionymi wokół kawiarnianych stolików Antoniego Słonimskiego. Najlepszy dowód, że gdy w trakcie wydarzeń marcowych, po pobiciu Stefana Kisielewskiego (wymienionego w słynnym przemówieniu Gomulki do Aktywu Partyjnego zgromadzonego w Sali Kongresowej) mój Ojciec, który jako autor rezolucji pisarzy przeciw cenzurze<sup>2</sup> również zdawał się po publicznym napiętnowaniu przez I Sekretarza KC PZPR zagrożony i skrył się dla bezpieczeństwa w Oborach – przywiezie mi stamtąd... zdjęcie Czterech Pancernych z dedykacją Janusza Przymanowskiego oraz legitymację jakiegoś Klubu Rudego, z pieczętką, na której odcisnięto Łapę Szarika. Serial oczywiście jak wszystkie czternastolatki oglądałem, przecież takie utożsamianie się z PRL-owską propagandą historyczną było bardzo dalekie naszemu domowi. Ojcu jednak, natykającemu się w parku na jakiegoś Przymanowskiego czy Żukrowskiego, po prostu odtrącić prezentu nie wypadalo. Unosił się widać nad Oborami duch hrabianek Potulickich, który zabraniał spierać się przy wspólnym stole. Pojedynkować się można – ale za bramą.



W Oborach ok. 1971: od lewej: Jarosław Marek Rymkiewicz, Adam Hanuszkiewicz, Andrzej Kijowski, Ryszard Matuszewski, Ewa Rymkiewiczowa, Zofia Kucówna, Kazimiera Kijowska. Fot. A.T.Kijowski

<sup>2</sup> Przyjętej na nadzwyczajnym zebraniu OW Związku Literatów Polskich 29 lutego 1968 roku.

Były Obory namiastką takiego polskiego dworu i trwały... Tak naprawdę dopóty, dopóki przesiedleni, wywłaszczeni, czy zubożali po wojnie inteligencji (już coraz rzadziej niestety ze szlacheckim czy choćby mieszczańskim rodowodem) nie zaczęli się dorabiać – przynajmniej podwarszawskich letnich siedlisk. Mój Ojciec przestał tam bywać po 1975 roku, odkąd zdołał sobie postawić mały domek na Osiedlu Wilga nieopodal Garwolina.<sup>3</sup> Od tego czasu, dorósłszy już nieco, zacząłem sam przyjeżdżać do Obór jako członek Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. I nie ma co kryć – bez tego luksusu, bez możliwości oderwania się od jakichkolwiek codziennych obowiązków nigdy bym dysertacji doktorskiej, a w rezultacie mojej pierwszej książki w przepisany trzyletnim terminie nie napisał. Siedziałem zatem w Oborach w październiku 1979 przy stoliku z Jackiem Bierezinem i Anką Kowalską w trakcie słynnej Głodówki w Kościele Św. Krzyża w Warszawie, w której oboje uczestniczyli.<sup>4</sup> Odwiedzałem ich w Kościele. Po zakończeniu protestu wrócili znów do Obór, gdzieśmy ich gastronomicznie reanimowali.

Następny pobyt, w trakcie którego kończyłem swoje dzieło, około lutego 1980 roku spędziłem przy stoliku z Leszkiem Szarugą i Zbyszkim Lewickim, wspólnie zachwycając się, nieraz w mało przystojny sposób, wdziękami nie zawsze nam łaskawej Krysi Rodowskiej. Mieszkał wtedy w Oborach podobny mej ówczesnej naturze nocny marek: Miron Białoszewski. Po zjedzeniu w charakterze soupé przeniesionego poprzedniego dnia o ósmej rano śniadania spotykaliśmy się w parku, po którym dla zacerpnienia świeżego powietrza przed snem spacerowaliśmy z nietoperzami wokół oborskich klombów gdzieś wedle czwartej przed świtaniem. Prowadziłem z twórcą Teatru Osobnego długie nocne dywagacje na temat teatralizacji, które mnie wówczas pochłaniały, wysłuchując przy okazji niektórych osobistych „Przepowiedni” pisarza. Po czym

<sup>3</sup> Tak, tym samym, gdzie nominalnie przynajmniej funkcjonuje do dziś zapuszczony obecnie Ośrodek Literatów, którego jednak losem – mimo mych, skierowanych ku Fundacji Literatury zapytań – nikt, nawet w obliczu straty „DPT Obory” jakoś się nie przejmuje.

<sup>4</sup> Głodówka w kościele Świętego Krzyża w Warszawie, 3-10 X 1979, druga głodówka protestacyjno-solidarnościowa zorganizowana przez środowisko KSS KOR we współpracy z Radą Sygnatariuszy ROPCiO, w intencji więzionych opozycjonistów czechosłowackich i polskich. Uczestniczyli w niej: od 3 X 1979 Jacek Bierezin, Anka Kowalska, Jacek Kuroń, Jan Lityński, ks. Stanisław Malkowski, Jerzy Markuszewski, Adam Michnik, Halina Mikołajaska, Mariusz Wilk oraz Andrzej Czuma i Kazimierz Janusz z ROPCiO, od 4 X 1979 Konrad Bieliński, Antoni Macierewicz, Kazimierz Wóycicki, od 6 X 1979 Joanna Duda-Gwiazda. Na mężów zaufania wybrano Jana Kielanowskiego i Jana Józefa Lipskiego. Kolportowano w Warszawie ulotki „W obronie braci Czechów”. 5 X głodówkę solidarnościową podjęli w kościele w Zbrozsy Dużej 2 działacze chłopscy związani z Komitetem Samoobrony Chłopskiej Ziemi Grójeckiej: Jan Grób i Janusz Lorenc, 7 X 1979 głodówkę solidarnościową podjęli dysydenci w Pradze, Czechosłowacki Komitet Obrony niesprawiedliwie Prześladowanych (VONS) wystosował do strajkujących w Warszawie telegram z podziękowaniami. Cyt. za «Encyklopedia Solidarności».

ranny posiłek znów obydwaј przesypialiśmy, by dzień pracy twórczej zaczynać około trzeciej – po poobiedniej kawie.

Z Obór niedaleko do Warszawy. Można było nawet autobusem dojechać. Zatem wyrwawszy się z warszawskiego huku, lecz jednak obarczony nielicznymi obowiązkami w Pałacu Staszica, musiałem od czasu do czasu udać się do miasta... Ryzykując obiadem. Obiad można było rzecz jasna zachować na późniejszą porę, ale przecież nie wtedy, gdy się miało przy stoliku Leszka i Zbyszka.

Wracam więc ja sobie któregoś dnia z seminarium nt. estetyki, jakoś tak tuż po obiedzie, może w okolicach czwartej. Do kolacji jeszcze godzin parę a tu... Dyskryminowany nieco po Marcu '68 redaktor pisemka „Hotelarz” z inkryminowanym pracownikiem „Literatury na Świecie” i warszawskiej anglistyki, właśnie mój pulpecik solidarnie wtrącałają: „Daremnne żale – próżny trud, bezsilne zlorzeczenia!”. Udaję się koniec końców do mej oficyny, by przed kolacją co nieco potworzyć. Gdy naraz słyszę dyskretne w okienko pukanie. Patrzę, a to Aleksander z Wirpszów z resztkami swojego śniadania. Podsumowałem to przy kolacji krótko: „Huncwoty jesteście «obadwa», ale Leszek to ma chociaż kindersztubę”. Toteż gdyby mi przyszło (czego w Polsce nigdy wykluczać nie można) jeszcze jakiejś więziennej pyczy spróbować, abstrahując od pozornej szorstkości czy poglądów czasami mi dalekich poety, który twierdził, że „Nie ma poezji”, zawsze celkę z autorem tych „Wymysłów”, nad niepewność rozważań nad czasem „w prozie strumienia świadomości” przełożę.

Były więc Obory także szkołą życia. Szczególnie po ogłoszeniu stanu wojennego, w trakcie zawieszenia Związku Literatów Polskich, jednak przed ukonstytuowaniem się Neo-ZLePu, który nam związkowe obiadki na Krakowskim Przedmieściu, zakopiańską Astorię, a i pałacowe przechadzki po Oborach na przeszło pięć lat odbierze.

Spędzę tam z moją ówczesną żoną Anią jeszcze spory czas urlopowy roku 1982, gdy restrykcje stanu wojennego nie pozwalały nadto oddalać się od Warszawy. Będziemy wcinąć sylimarol w towarzystwie Rysia Przybylskiego i jego tęsknych opowieści o ukochanym Kapitanie Żeglugi Wielkiej. Tutaj też obejrzę słynny Mundial roku 1982. Mundial, w trakcie którego liczne wycieczki Orbisu gremialnie prosiły o polityczny azyl w hiszpańskiej Barcelonie, my zaś spędzaliśmy go w towarzystwie świeżo emerytowanego Bohdana Tomaszewskiego. Sześćdziesięcioletni pan Bohdan z uwagi na stan wojenny wypisał się bowiem z telewizji na wcześniejszą dziennikarską emeryturę i wraz z Izabellą Sierakowską, swoją uroczą żoną skrył się w Oborach. Rozmowy z tym mistrzem potocznej narracji to była prawdziwie polska, romantyczna biesiada. Pan Bohdan opowiadał o deblach tenisowych przedwojennych dżentelmenów z socjologiem Jankiem Strzeleckim czy dziennikarzem także czasem



sportowym – Andrzejem Romanem. O Powstaniu Warszawskim, z którego cudem uszedł z życiem. O późniejszej decyzji skrycia się w sport w podbitym, ale przecież własnym kraju. Nie jestem kibicem, jednak ten mecz piłki nożnej o wyjście z grupy i zwycięski remis w batalii z drużyną ZSRR – największe zwycięstwo nad okupującymi nas Moskwiczinami od czasu Bitwy Warszawskiej pod Radzyminem – brzmieć mi będzie do końca życia w uszach pamięci dyskretnymi uwagami Pana Bohdana. W końcu wyłączyliśmy zgodnie fonie telewizora, prosząc Tomaszewskiego, by nam dopowiadał.

Po meczu w salonie zadzwonił telefon. Poproszono Tomaszewskiego. Mieliliśmy wrażenie, że ktoś jeszcze poza nami słuchał tej prywatnej narracji i dzwonił, by mu podziękować czy może nawet go złać. Wyszło... jak wyszło. Dzwoniono z CNN, prosząc Tomaszewskiego, by komentował dla tej stacji ewentualną walkę drużyny Piechniczka o złoto. Byliśmy dumni. Pan Bohdan miał wielkie nadzieje. Polska jednak nie dotarła do finału Mistrzostw Świata. Uzyskaliśmy trzecie miejsce. Do planowanej przez CNN transmisji nie doszło.

Telefon w Oborach zapamiętam jeszcze jeden. Tego samego lata. Tym razem to mnie wezwano do aparatu. Dzwonił Helmut Kajzar, z którym lubiliśmy się dosyć. Odwiedził nas nawet kiedyś z Jolą Lothe w mojej kawalerce na Chłodnej. Ale przecież – nie była to wielka zażyłość. Zdziwiony nieco zamówiłem dlań oczywiście niedzielny obiad. Helmut wrócił był właśnie z RFN. Coś tam reżyserował, był bodaj na jakimś stypendium. Po obiedzie udaliśmy się na spacer groblą w stronę Konstancina. Ku tej drodze, po której poniósł mnie przed laty koń Trzeciakowskich, a Pani Hania, osadziwszy go szybko, przyznała, że wystraszony, instynktownie zacząłem prawidłowo utrzymywać się w siodle. Helmut trzymał obydwie dłonie pod pachami. – Wiecie, powiedział nagle, w Niemczech kupiłem sobie piękny frak. Zawsze o takim marzyłem. Będę go miał... do trumny. Po kilku tygodniach, 21 sierpnia 1982 roku wiadomość o śmierci autora „Gwiazdy” podały wszystkie dzienniki. On po prostu przyjechał do Obór, by się pożegnać z nami!

Dziś przyszło nam żegnać Obory i wspomnienie grającej kraty. Pozostała pamięć i wiara, że gdzieś, kiedyś znów – na czyjs gwizd lub znak – przycwalaują literackie pegazy.

*Andrzej Tadeusz Kijowski*

**Anita Halina Janowska****Wariacje jesienne\****(fragmenty powieści)**Z okładki książki*

Początek naszego wieku. Podwarszawskie Obory. Nastrój, jak to w Domu Pracy Twórczej – twórczy. Jedna z licznych tu autorek, Anita Janowska, kończy pisanie powieści *Wariacje jesienne*. Pytana o tytuł, tłumaczy: „To książka o jesiennych miłościach i jesiennych rozmowach, a pojęcia «wariacja» używam, bo – jak w wariacjach muzycznych – ten sam tytuł pojawia się w różnych wariantach.

Większość bohaterów tej historii to postacie rzeczywiste. W kilku przypadkach autorka podaje nazwiska bez kamuflażu, zapewniając, że uzgodniła to z bohaterami.

*Ze stron 196-200*

(Osobami dialogu i narracji są w tym fragmencie prof. Ola Goldberg i autorka ukryta pod postacią pana Henryka).

**61.**

Na ścieżce spotykam małżonkę pana profesora z Jeruzolimy, panią Olę. Mało o niej wiem, tyle, co od Karoliny, a więc – że pani Ola, Polka-katoliczka, w Krakowie kształcona, zakochała się w profesorze historii, polskim Żydzie z Łodzi. Okazał się on człowiekiem przewidującym, co uczonym rzadko się zdarza. Nie czekając na Marzec’68, na krótko przed wojną sześciodniową, wyemigrował do Izraela.

„Gdzie ty Caius, tam ja Caia” – powiedziała ona i wyjechała wraz z nim. Ale, żeby pozostać tym, kim była – prawdziwym etnografem – musiała poznać i język hebrajski, i język jidysz. Nauczyła się ofiarnie i też została profesorem.

\* Anita Halina Janowska, *Wariacje jesienne*, powieść., Wyd. W.A.B., Warszawa 2011.

Od lat prowadzi badania porównawcze, pisze książki i wyklada na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie.

Ostatnio i ona, i jej mąż często zapraszani są do Polski – na odczyty i konferencje. Wiele czasu spędzają w Oborach. Lubią tu odpoczywać, przyjmować gości. Jemu wręczono niedawno doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego.

(Tyle tylko wiem o nich od Karoliny).

A teraz spaceruję z panią Olą i zadaję pytanie banalne do obrzydliwości: „nad czym ostatnio pracuje?”. Ona zdawkowo, że pisze o przenikaniu magicznych symboli w różnych tradycyjnych kulturach. „To ciekawe” – mówię i proszę o przykład. Daje pierwszy z brzegu. Iraccy Żydzi: nakładali dziecku na nóżkę bransoletkę z dzwoneczkami i niebieskim klejnocikiem. Dzwoneczki miały odstraszyć złe duchy, klejnocik miał przyciągać „złe oko”, by złamać „złe spojrzenie”. Zwyczaj przejęły i inne grupy etniczne. Pozostał do dziś, ale już z motywów mniej magicznych – po prostu, gdy dzwoneczki dzwonią, matka wie, gdzie bawi się dziecko i jest spokojna.

Pytam o Polskę. Ona wspomina szopki bożonarodzeniowe z rolą Żyda. Kołędnicy już w XIX wieku skarżyli się, że rola to najtrudniejsza. Dlaczego? „Bo Żyd ma na wszystko gotową odpowiedź, dziwnie mówi, szybko się rusza i umie rozbawić towarzystwo”.

Próbuję się popisać:

– „Dziwna mowa” – wtrącam – to zrozumiałe, bo mało Żydów polski znało, słowa przekręcali, żydowskie wplatali. A „gotowa odpowiedź”, to chyba wynik ciągłego komentowania Tory, ciągłych dysput. – Ona kiwa głową, że „tak”, więc mówię dalej. – Że Żyd szybko się rusza? Chyba historia nauczyła go pośpiechu i w działaniu, i w ucieczkach. A „rozbawianie towarzystwa”? To też samoobrona – błazna się nie bije.

– Ale w ludowych szopkach – przerywa mi – nie do końca da się błaznować. Jak chłop zaśpiewa: „Pan Jezus się rodzi, toć Jemu, jako Bogu cześć oddać się godzi”, to Żyd się już żartem nie wywinie, uników próbuje: „Ja starego Pana Boga bardzo dobrze umiem, ale tego maleńkiego jeszcze nie rozumiem” – podśpiewuje. Ale na nic to – „czasem mu darują, a czasem poturbują”.

Przerywam, by powiedzieć o „przenikaniu kultur”, według moich spostrzeżeń.

– Wie pani – mówię – w ubiegłym roku w czasie Bożego Narodzenia gościłem u znajomych. Choinka nie była do końca ubrana, brakowało gwiazdy na czubku. Pani domu właśnie wycinała sześcioramienną gwiazdę z pozłacanej tektury. To było zrozumiałe – gwiazda Dawida, gwiazda betlejemską, bo wszak Jezus miał być z rodu Dawidowego. A tu dorosła jej córka pyta zdziwiona: „Czemu wycięłaś żydowską gwiazdę? Wytnij pięcioramienną”. Wtedy zrozumiałem trwałość symboli z lat komunizmu. Pięcioramienna, radziecka

gwiazda zamiast gwiazdy Dawida! To się dzieje podświadomie, proszę pani, osmoza w sferze ideologii, kultury...

Ale tu mnie pani profesor brutalnie gasi:

– Upraszcza pan, panie Henryku – I wykład cały...

(Jak się z mądrą kobietą zadasz, nie ma ratunku!).

Dowiaduję się więc, że gwiazda Dawida – sześcioramienna znana jest wielu kulturom i oznacza doskonałość – dwa identyczne trójkąty – połączenie myśli (duszy, wiary), z materią (bytem, otaczającym światem). A Żydów (tu dla mnie pełna niespodzianka!) gwiazda Dawida zaczęła symbolizować dopiero w 1700 roku! Wtedy znak ten wryto na kamieniach granicznych getta w Wiedniu. Potem rozpowszechnił ją syjonizm.

No a teraz (szczyt upokorzenia!) dowiaduję się, że gwiazda pięcioramienna występuje w Biblii! Jest najbardziej znana jako „pieczęć Salomona”, gwiazda Salomonowa. Król Salomon pieczętował tym znakiem korek w butelce – wcześniej zamykał w niej złe duchy – dżiny.

Okazuje się też, że gwiazda pięcioramienna to znak masonerii – symbol wtajemniczenia. I też symbol wiedzy. I symbol epifanii – objawienia, które z wieloma zdarzeniami kojarzono, między innymi i ze Świętem Trzech Króli.

A na koniec sam sobie przypomniałem, że na fladze amerykańskiej gwiazdki też są pięcioramienne. A ja, idiota, do pani profesor o „pięcioramiennej gwieździe radzieckiej”!

– Mogłabym tak jeszcze długo, ale już dość wymądrzania – kończy pani Ola. Widzi dobra kobieta, jak bardzo jestem mą niewiedzą zawstydzony. Skomlę więc, jak szczeniak, co na grzbiet się kładzie i na znak poddania brzuszek pokazuje. Proszę ją gorąco, by mówiła dalej, bo jeszcze i jeszcze chcę być oświecany. Proszę szczerze, bo i szczerze ją podziwiam. Nie tylko, że wiedzę posiada, ale o wszystkim ładnie prosto mówi i ciepłym głosem. A do tego uśmiech ma z docieczkami, jak rzadko która mądra kobieta (rozmarzyłem się chyba za bardzo).

Ona, że chętnie jeszcze coś opowie. Może chce o Judaszu w dawnych obrzędach Wielkiego Tygodnia? O przenikaniu magicznych symboli w kulturze polskiej i żydowskiej? No i dowiaduję się, że postać topionej kukły Judasza da się skojarzyć z topieniem Marzanny. Bo z czasów pogańskich pozostał zwyczaj topienia symbolu śmierci, jakim była Mary, późniejsza Marzanna. Z kolei połączenie postaci Judasza z uosobieniem zimy powodowało spotęgowanie kary. Judasz był niszczone trzykrotnie: duszono go sznurem na którym się powiesił, zrzucono z kościelnej wieży i topiono w rzece. Już Jędrzej Kitowicz o tym pisał.

Tu pani Ola przerywa, uśmiecha się i cytuje z pamięci jedno zdanie z Kitowicza: „Jeśli Żyd jakowy nieświadom tej ceremonii nawinął się, porzuciwszy zmyślonego Judasza, prawdziwego Judę długo i szczerze kijami okładano”.

Śmieję się, więc zachęcona mówi dalej:

– A czy wie pan, że w żydowskiej wycinance kogut wziął się wprost z polskich studni i kapliczek, gdzie go stawiano?

– Koguta stawiano? Czemu koguta?

– Bo „kiedy kur pieje – diabeł truchleje” – śmieje się pani Ola.

(Oj, powinien on teraz zapać – za bardzo mi się pani Ola, mężatka stacyczna spodobała!).

Ku memu żalowi, pani Ola patrzy na zegarek. Tak, to już pora kolacji. Wchodzimy do jadalni. Przy stoliku czeka już na nią mąż, pan profesor. Miło się uśmiecha, nawet i do mnie.

*Ze stron 247-251*

(Bohaterami tego fragmentu są Anna Strońska jako pani *Karolina* i autorka jako pan *Henryk*).

### 72.

Pomagam Karolinie naładować komórkę – taki sprytny się zrobiłem. Ona pyta, co piszę, a ja, że nic nie piszę, a tylko notatki, dzienniki od przypadku do przypadku.

– Gombrowicz też pisał dzienniki i nawet mu wydali – mówi Karolina.

– Ale on mądrze pisał, a ja tylko o Żydach, o kobietach, o miłości...

– Tym lepiej.

– Ale nie po jedenastym wrześniu! W telewizji co chwilę straszny kłęb płomieni i wieże wciąż na nowo upadają. Są teraz tematy palące: terroryzm, głód, wojny...

– Daj pan sobie spokój. Od wojen i głodu mamy Rysia Kapuścińskiego, od terroryzmu – szaloną Orianę Fallaci. Pan ich nie przeskoczy. Reporter wojenny to inny gatunek człowieka, osobna rasa, pan do niej nie należy.

– To prawda – przyznaję – ale swoją drogą, gdyby każdy opisał swoje życie, historia ludzkości byłaby opisana.

– No widzi pan, więc o co chodzi?

– O to, że moje pisanie jest chaotyczne, przypadkowe. A czytelnik chce wiedzieć, co go czeka.

– Daruje pan, a czy w życiu wiadomo? Wiadomo, co kogo czeka? Brak formy to jest właśnie realizm – życie leci od przypadku do przypadku.

– A może bym pani pokazał te moje notatki? Powie mi pani: drukować – nie drukować...

– Skoro pan nalega, skoro moje zdanie tak się dla pana liczy – bardzo proszę.

I Karolina, z właściwą jej kokieterią, krzywo się uśmiecha.

\*

Następnego dnia odwiedza mnie z plikiem mych drukowanych stroniczek Długo milczy, więc ja zaczynam:

– Wiem, że literatura musi mieć formę. Moje książki nieźle się sprzedawały, bo...

Przerywa mi:

– Znow pan zaczyna? Brak formy też jest formą. Nie wie pan? Cały współczesny świat to brak formy.

Teraz ja przerywam:

– Nie tyle brak formy, ile targowisko form najprzeróżniejszych. Jak pisał Pierre Boulez: „Wszystko jest dobre, nic nie jest złe; nie ma żadnych wartości. I wszyscy są zadowoleni”.

– Ależ pan nieznośny z tymi cytatami!

– Bo Boulez sądzi, że kiedy poznajemy jakiś utwór inny od tego co znaleźliśmy, kiedy nie wiemy, czego oczekiwać, należy się skupić na tym nieładzie, który nam daje. I nie szukać wskazówek w przeszłości, bo nas rozczarują.

Karolina odpowiada spokojnie:

– Po pierwsze: Boulez był muzykiem, o ile mi wiadomo, po drugie: pan swoje notatki demonizuje. Więcej nawet, to jest literatura prościutka – do pociągu, a nawet tramwaju. Można też zacząć od środka czy od końca. Ważne, by od gwiazdeczki do gwiazdeczki, od numerka do numerka – kończy złośliwie. (A ja, zadufany w sobie, myślałem, że będzie o postmodernizmie i że pisanie niebanalne, amorficzna powieść itp.)

– Może dać śródtytuły? – pytam, by zapelnąć ciszę.

– Śródtytuły? Jasne, może pan dać, ale wtedy to już będzie całkiem dla debili. A nawiasem mówiąc, pozmieniał pan imiona, czas akcji, wydarzenia i sądzi pan, że nikt się nie domyśli, siebie nie rozpozna, na pana nie obrazi? Myli się pan. Na przykład ja – wiem, że jestem „Bujną” lub też Karoliną. Najpierw dworuje sobie pan ze mnie. Ale wybaczam, bo po kilku stronach moja postać nabiera blasku. Więcej nawet – spełnia rolę chóru w tragedii greckiej!

Śmieje się. Ona też się śmieje.

– Wszyscy się domyślą, panie Henryku.

– Nieważne. Mam niestety inne wątpliwości. W końcu – jestem dżentelmenem, czy nie? A czy dżentelmen publikuje listy mężczyzn pisane do własnej żony?

– Czy ja wiem... A może świętej pamięci żona pana Henryka miałaby ochotę chwalić się zalotnikami?

– Mam też problem z historią kościelnego, tego, co zabił rodziców narzeczonej i ją samą. Jego list – przydługi, wiem. Ale nie mogę inaczej. Żeby ktoś uwierzył, że miał paranoję seksualną, muszę pozostawić wszystkie owe Małgorzaty, Teresy, Aniele, Zuzanny, Eleonory, które przed ślubem usiłowały pozbawić go „czystości ciała – cnoty!”. Ale może i niezręcznie wyszła ta zbitka pobożności, seksu i zbrodni...

– Niech się pan tyle nie tłumaczy! Paranoja seksualna może się zdarzyć i osobie, która małuje kościoły. W końcu freski czy *Sąd Ostateczny* w Kaplicy Sykstyńskiej malował Michał Anioł – gej, jak to się teraz mówi poprawnie. Różnie to bywa z seksem i świętością. A że zbrodnia? Caravaggio też był ściągany za zabójstwo, a papież go ulaskawił. I słusznie. Stworzył potem dzieła religijne, jakich nie było, dzieła niezwykle! A swoją drogą – też był pedalem. Kościół nie umie się pedalom odwdzięczyć za to, co dla Kościoła zrobili.

– Więc myśli pani, że moje notatki można drukować?

– Jeśli wydawca przyjmie... nie zgorszy się parodią pornografii, nie znudzi złotymi myślami, cytataми, listami...

Przerywam. Mówię z goryczą:

– Szkoda, że nie dodaje mi pani otuchy, pani Karolino...

– Ależ mogę dodać, jeśli pan sobie życzy.

– Bardzo proszę.

– No więc... ja, panie Henryku, czytałam to... jednym tchem.

I Karolina znów krzywo się uśmiecha.

*Anita Halina Janowska*

**Michał Jagiełło**

## Kazimierz Przerwa-Tetmajer: echa tatrzańskie

(fragment eseju)

### Kazio do matki

W dziale rękopisów Biblioteki PAU/PAN w Krakowie jest blok listów Kazimierza do matki stanowiących cenne źródło informacji o naszym bohaterze. Wśród tych materiałów znajdujemy fragment listu bez miejsca nadania i daty. Jest on na tyle interesujący, że warto wydobyć go na światło dzienne. Cóż tam znajdziemy? Posłuchajmy: Ładnie tu jest, ale mi trochę nudno samemu. Chodzę często do Bartka i gra mi stare pieśni góralskie, trwa to czasem parę godzin. Są tu Górcy i Paderewski; coraz więcej przyjeżdża osób ze świata, ale ja nikogo nie znam. Jedyne wizyty, jakie odbieram, to są młodego Szymka Tataru, tego ładnego, z którym mam różne interesa<sup>1</sup>.

Zacznijmy komentowanie od Szymona Tataru młodszego (1854-1917), przewodnika i w swoim czasie ratownika z pierwszego zaciągu TOPR (1909). Był on bratankiem sławnego przewodnika Szymona Tataru starszego (1828-1913)<sup>2</sup>, któremu Kazimierz po latach poświęcił wiersz pt. *Ostatni Bartek* – to oczywiście *Bartłomiej (Bartuś) Obrochta (1850-1926)*, juhas, klusownik, potem przewodnik i strażnik tatrzańskiej zwierzyny, najsłynniejszy muzyk ludowy Podhala<sup>3</sup>. Grał Tytusowi Chałubińskiemu, Stanisławowi Witkiewiczowi, Henrykowi Sienkiewiczowi, Bolesławowi Prusowi, Ignacemu Janowi Paderewskiemu i Karolowi Szymanowskiemu, którego *Harnasie* niewątpliwie wiele zawdzięczają góralskiemu muzykowi<sup>4</sup>.

Jednym z pierwszych, który zainteresował się muzyką góralską był Jan Kleczyński, krytyk muzyczny i publicysta, pianista i kompozytor. Miłośnik

<sup>1</sup> K. Tetmajer do matki [Zakopane, VIII 1884]. Autograf tego oraz innych listów pisarza do matki znajduje się w zbiorach Biblioteki PAU/PAN w Krakowie. Korespondencja ta dostępna jest w postaci mikrofilmów w Bibliotece Narodowej w Warszawie.

<sup>2</sup> Por. *Szymon Tatar starszy, Szymon Tatar młodszy*, w: Z. Radwańska-Paryska, W.H. Paryski, *Wielka encyklopedia tatrzańska*, Poronin 1995, s. 1228.

<sup>3</sup> Por. *Obrochta Bartłomiej*, w: tamże, s. 823; *Obrochta Bartłomiej („Bartuś”)*, w: L. Długolecka-Pinkwart, M. Pinkwart, *Zakopane od A do Z*, s. 219; *Bartłomiej (Bartuś) Obrochta*, w: L. Długolecka, M. Pinkwart, *Zakopane. Przewodnik historyczny*, s. 215-217; *Bartłomiej (Bartuś) Obrochta*, w: M. Pinkwart, J. Zdebski, *Nowy komentarz w Zakopanem. Przewodnik biograficzny*, Warszawa-Kraków 1988, s. 92-93.

<sup>4</sup> Por. H. Roj [Roj-Rytdardowa, Roj-Kozłowska], *Wspomnienia żakopiańskie*, „Odrodzenie” 1947, nr 12.



Tatr, przyjaciel Chalubińskiego i Sabaly, w czasie pobytów w Zakopanem (1882, 1884) i wycieczek z nimi zapisał kilkadziesiąt melodii i zetknął się z kilku muzykami góralskimi [...] Wędrował razem z Doktorem, skrzypkiem Władysławem Górskim, Paderewskim oraz Bartkiem Obrochtą po wsiach podhalańskich zbierając ludowe melodie. Zaowocowało to skomponowaniem przez Paderewskiego cyklu stylizowanych utworów fortepianowych *Album tatrzańskie* (Berlin 1884)<sup>5</sup>. Jak podaje Ferdynand Hoesick, latem 1883 r. w Zakopanem Ignacy akompaniował Władysławowi Górskiemu, a następnie zagrał nad program swoje świeżo napisane, podziwiane „*Tańce tatrzańskie*”. Ferdynand zapamiętał istny buragan oklasków i bisów, od których zdawały się drżeć drewniane ściany sali<sup>6</sup>.

Dodajmy, że Doktor zorganizował w dniach 18-26 sierpnia 1884 r. etnograficzno-muzyczną wyprawę góralskimi furkami z Zakopanego przez Zubsuche, Bystre, Ratulów, Czarny Dunajec i Chochołów, w której udział wzięli Kleczyński i Paderewski oraz Bartuś i basista Kuba Gut; owocem tej wyprawy były zapisy góralskich staroświeckich melodii.

Wspomniani w omawianym fragmencie listu Górscy – to znany nam już Władysław Górski (1846-1915), skrzypek wirtuoz i kompozytor, oraz jego żona Helena z Rosenów (1856-1934)<sup>7</sup>. Oboje Górscy przyjaźnili się z Paderewskim; skrzypek i pianista dawali razem koncerty, Władysław recenzował *Album tatrzańskie*<sup>8</sup>. Natomiast Helena związała się uczuciowo z Ignacym i po latach, w 1899 r., zostali oficjalnym małżeństwem.

Wiadomo, że Paderewski był w Zakopanem latem 1883 i 1884 r., zjawiał się też na chwilę jesienią 1889 r. na wieść o poważnej chorobie Doktora. Nie ma wątpliwości, że był tu w 1903 r. I to wszystko. Wiele więc za tym przemawia, że młody Kazimierz pisał swój list na początku lipca 1884 r.

Rzućmy ponownie okiem na zachowany fragment. Znajdziemy tam zapewnienie: *Nająłem Cioci u Michała*. I tak pojawia się w naszej opowieści Wanda Grabowska (1841-1904), siostra Julii z Grabowskich Tetmajerowej (1831-1914), matki Kazimierza, była żoną Władysława Żeleńskiego (1837-1921), bywalca Zakopanego i tatrzańskich dolin, kompozytora, m.in. twórcy

<sup>5</sup> O związkach artysty z Zakopanem, por. A. Perkowska i R. Wapiński, *Paderewski Ignacy Jan*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 24, Wrocław 1979, s. 795-803; A. Piber, *Droga do sławy. Ignacy Paderewski w latach 1860-1902*, Warszawa 1982 (szczególnie rozdział: *Chalubiński i Podhalę*); M. Pinkwart, *Zakopiańskie ścieżki Ignacego Paderewskiego*, „Przekrój” 1984, nr 2054, s. 10-11, 17; *Paderewski Ignacy Jan*, w: Z. Radwańska-Paryska, W.H. Paryski, *Wielka encyklopedia tatrzańska*, s. 869.

<sup>6</sup> *Legendowe postacie zakopiańskie. Wybór z „Tatr i Zakopanego”*, Warszawa 1959, s. 532. Por. A. Piber, *Droga do sławy*, s. 97.

<sup>7</sup> Por. W. Hordyński, *Górski Władysław*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 8, Wrocław 1959-1960, s. 456; A. Piber, *Paderewska z Rosenów*, *Górska Helena Maria*, w: tamże, t. 24, Wrocław 1979, s. 792.

<sup>8</sup> Por. W. Górski, *Ze świata muzycznego*, „Tygodnik Ilustrowany” 1883, nr 43, s. 269.

uwertury na wielką orkiestrę *W Tatrach* (1868-1870) i kilku pieśni do słów Tetmajera – *Na Anioł Pański* i inne<sup>9</sup>. Z tego związku urodzili się synowie: Stanisław Gabriel Żeleński (1873-1914), w przyszłości architekt i właściciel znanej krakowskiej pracowni witraży, oraz Tadeusz Żeleński (1874-1941) – słynny później Boy<sup>10</sup>.

Zapewne to dla Cioci Wandy i jej najbliższej rodziny siostrzeniec wynajął mieszkanie w Zakopanem; chyba u Michała Kubina. Przyjeżdżajcie! – nawołuje Kazio. I powiada, że jest tu już Justyn Karliński oraz że *Szukiewiczze przyjechały*. Wiadomo, że Justyn Karliński (1862-1909) już jako dziewiętnastolatek opracował *Wykaz ptaków tatrzańskich na podstawie własnych i obcych spostrzeżeń* (1881) oraz że w wieku dojrzałym zasłużył się jako lekarz bakteriolog<sup>11</sup>? A co z Szukiewiczami? Znam Wojciecha Szukiewicza (1867-1944), pisującego o Zakopanem i o Słowakach; i omawiałem jego interesujące szkice *Kilka słów o Słowakach* („Nowa Reforma” 1892, nr 180-185) oraz *Ze słowackiego „Okoli”*. *Wspomnienia z wycieczki* („Ateneum” 1893, t. 3; przedruk w: tenże, *Z wędrowek po Słowiańszczyźnie*, Warszawa 1900) w swoim opracowaniu *Słowacy w polskich oczach. Obraz Słowaków w piśmiennictwie Polskim* (t. 1-2, Warszawa 2005). Znam jego brata Macieja Szukiewicza (1870-1943)<sup>12</sup>, dramaturga, historyka sztuki i poetę, którego wiersz *Rankiem w Morskim Oku* (fragment) zamieściłem w antologii *Tatry i poeci* (Warszawa 2007). Maciej w broszurze *Jakim powinien być grób i pogrzeb Słowackiego?* (Kraków 1909) uznał, że zwłoki wieszczą winny spocząć w prostym mauzoleum wystawionym na wyspie skalnej, leżącej nieopodal północnego brzegu Czarnego Stawu Gąsienicowego w Tatrach. Niezbyt fortunny projekt pochowania w Tatrach miał zresztą wielu zwolenników, różniono się jednak wyborem lokalizacji: Henryk Sienkiewicz był za Giewontem, Stanisław Witkiewicz za Halą Ornak. Projekt w końcu upadł.

I na zakończenie swego rodzaju rarytas. Kazio pisze: *Bajkomscy poszli i mają pogodę*. Idźmy jego tropem, bo warto. Jako młodzian obyty z górami, mający już w turystycznym dorobku ambitne wysokogórskie wędrowki pod opieką takich mistrzów, jak Klemens (Klimek) Bachleđa i Jędrzej Wala młodszy, komentuje z uśmiechem: *Ciekawym, jak Bajkomskim uda się wyprawa; pan Karol nie może iść z góry, a pan Bohdan pod górę, Wala zaś, którego im za stałego przewodnika*

<sup>9</sup> Por. Żeleński Władysław, w: Z. Radwańska-Paryska, W.H. Paryski, *Wielka encyklopedia tatrzańska*, s. 1448 -1449.

<sup>10</sup> O jego związkach z Kazimierzem Tetmajerem i Tatrami, por. T. Żeleński- Boy, *Wakacje z przydumką*, „Wiadomości Literackie” 1933, nr 31; przedruk w: tegoż, *Wakacje z przydumką*, Warszawa 1933 oraz *Znaszli ten kraj? ... i inne wspomnienia*, Kraków 1962. Por. także, Żeleński Tadeusz, w: Z. Radwańska-Paryska, W.H. Paryski, *Wielka encyklopedia tatrzańska*, s. 1448.

<sup>11</sup> Por. P. Szarejko, *Karliński Julian*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 12, Wrocław 1966-1967, s. 47-48.

<sup>12</sup> Por. *Szukiewicz Maciej, Szukiewicz Wojciech*, w: Z. Radwańska-Paryska, W.H. Paryski, *Wielka encyklopedia tatrzańska*, s. 1198-1199.

*wybrałem leci naprzód i mało się na nich ogląda. Na szczęście mają bardzo tegoż chłopaka do pomocy*<sup>13</sup>.

O kim mowa? O Karolu Baykowskim (1823-1904), który miał okazję stykać się z Adamem Mickiewiczem, Juliuszem Słowackim i Cyprianem Norwidem. Od 1883 r. mieszkał w Krakowie, *oddany całkowicie „sprawie”* – był bowiem żarliwym towiańczykiem<sup>14</sup>. Wspólnie ze Stanisławem Falkowskim opracował *Pisma Andrzeja Towiańskiego* (t. 1-2, Turyn 1882). Odszedł nagle w Szczawnicy. Pożegnał go wspomnieniem wybitny językoznawca i humanista Jan Baudouin de Courtenay pisząc, że zmarły cieszył się ogólnym poważaniem, a Jacek Malczewski, Włodzimierz Tetmajer i rzeźbiarz Antoni Madeyski (zresztą jego siostrzeniec) *prosił go nieraz o pozowanie*<sup>15</sup>.

Wtrąćmy – za Ferdynandem Hoesickiem – że Adolf Tetmajer, ojciec Włodzimierza i Kazimierza, *dla Towiańskiego był przejęty kultem prawdziwym jako dla apostoła miłości chrześcijańskiej*. Tenże autor z typową dla siebie przesadą wspominał: *Jako towiańczyk, jako duchowy spadkobierca jego nauki, jako autor kilku podniosłych książek poświęconych tej idei, której był uduchowionym wcieleniem, był to wielki przyjaciel obojga państwa Tetmajerów. Gdy przyszedł do nich – najczęściej przychodził o 5 na herbatę – był traktowany tak, jakby sam Chrystus siedział przy stole*<sup>16</sup>.

Michał Jagiełło

<sup>13</sup> K. Tetmajer do matki [Zakopane, VII 1884].

<sup>14</sup> S. Burhardt, *Baykowski Karol*, w: *Polski Słownik Biograficzny*, t. 1, Kraków 1935, s. 372.

<sup>15</sup> J. Baudouin de Courtenay, *Karol Baykowski (Wspomnienie)*, „Życie i Sztuka” (dod. do „Kraju”) 1904, nr 38, s. 2.

<sup>16</sup> F. Hoesick, *Powieść mojego życia (Dom rodzicielski)*. *Pamiętnik*, t. 1, Wrocław 1959, t. 1, s. 424, 428-429.

## Cezary Dobies

## Królik i słowik

Królik był dyrektorem cyrku i znalazł kilka magicznych sztuczek. Jedną lubił najbardziej. Zakładał na głowę kapelusz i znikał. Po czym, jak przystało na dyrektora, pojawiał się w odpowiednim momencie. Słowik zaś nie znalazł się na magii, ale za to potrafił śpiewać.

Królik lubił słowika i zapraszał go na obiady do cyrku. Słowik żył skromnie i mieszkał w gniazdku ze zbutwiałych liści. Dlatego z chęcią przyjmował zaproszenie królika.

Któregoś dnia królik wpadł na pomysł, aby utworzyć w cyrku ptasi chórek. Ale zupełnie nie wiedział, jak się do tego zabrać. I zaczął od skupowania ptasich jaj. Zaciekawiał się tym słowik:

– Dlaczego gromadzisz tyle jaj? – zapytał.

– Chcę w cyrku utworzyć ptasi chórek. Talentów trzeba szukać w zarodku – wyjaśnił królik.

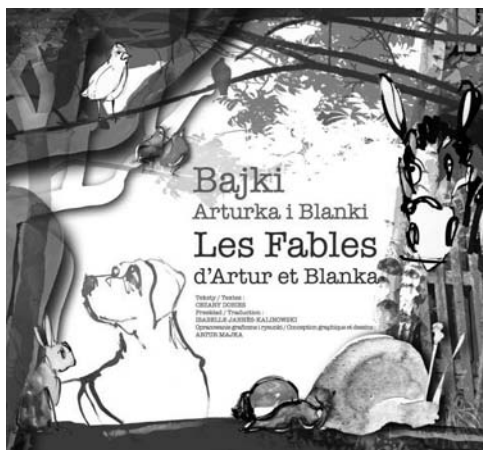
– A któż może wiedzieć, co z takiego wyrośnie? – pytał dalej słowik.

– Już moja w tym głowa – odpowiedział królik.

Słowik zdziwił się pomysłem królika, podrapał po głowie i odleciał do swojego domu. Po kilkunastu tygodniach pojawiły się w cyrku nowe głosy. Słychać było gdakanie, kwakanie, geganie i inne piski niepodobne do śpiewu.

Plany powinny być przemyślane. Nie z każdego wylęgnie się coś dobrego.

Bajka pochodzi z dwujęzycznego zbioru „Bajki Arturka i Blanki/Les Fables d’Artur et Blanka”, który ukazał się nakładem paryskiego wydawnictwa „yot-art” w październiku 2015 roku.



Zofia Beszczyńska

## wiersze o sowach

\*

nocą sowa na księżyc patrzy  
przegląda się w jego tarczy  
jego głowa  
jest krągła jak jej głowa

czy księżyc to  
czy sowa?

\*

trzy białe sowy  
usiadły na dębie:  
jedna mądra w głowie  
druga mądra w gębie

a trzecia najmniejsza  
oczami strzyże:  
czy usiąść od nich dalej  
czy może bliżej?

\*

w mojej skrzynce na listy  
mieszka niebieska sowa  
nikt jej nie widzi  
bo dobrze się chowa

czasem błysnie jej oko  
czasem pióro zaświeci  
lecz ona nie  
nie wyleci

czasem zajrzy tam motyl  
czasem pszczoła lub osa  
lecz ona nie  
nie wychyli nosa

ale gdy jakiś list  
przyfruwa z daleka  
sowa otwiera dziób  
i czeka

\*

w upalne noce  
księżyc jest z mleka i lodu  
koty na dachach  
liżą go mimochodem

aż przylatuje sowa  
cała w niebieskich piórach  
koty przepędza z dachu  
a księżyc pcha znów do góry



Oczkowy Ludek. Dorota Sumalska, kalkografia

\*

w wielkim dworze mieszka sowa  
jej poddani to myszy

kiedy giną nikt nie słyszy

\*

sowy obsiadły drzewo:  
jedna patrzy w prawo  
druga patrzy w lewo  
trzecia patrzy przed siebie

[a czwarta?

a czwarta?  
tego nikt nie wie

drzewo nazywa się dąb  
i rośnie bardzo blisko  
i bardzo daleko stąd

\*

sowa  
schowała się w trawie  
nie widać jej prawie

jej skrzydła – liście szczawiu  
dziób – szpilka sosnowa  
oczy – niezapominajki

bo to jest sowa  
z bajki

## Zofia Beszczyńska

# Królowa Ptaków

*(fragment)*

W głębi lasu żyła czarownica, która porywała dzieci. Wypijała im dusze, zabierała życie, a potem zmieniała w ptaki, drzewa lub kamienie.

Zabierała ich dusze, ponieważ nie miała własnej.

Taką historię opowiadano Marcie w dzieciństwie, między wieloma na ogół normalnymi, czyli takimi, które dobrze się kończą. W dzieciństwie Marta nie zaprzętała sobie tym głowy: miała matkę i ojca i żyła zwyczajnie, ani źle, ani specjalnie dobrze – przynajmniej wtedy tak myślała.

Dopóki rodzice nie zaczęli się kłócić. Kłócili się i godzili na zmianę, potem ni z tego, ni z owego znów następowały zgrzyty, dni ciszy, tygodnie napięcia. Marta nocami płakała w poduszkę albo fantazjowała na temat baśniowej obietnicy „i żyli długo i szczęśliwie”, ale nic to nie dawało. Spod podszewki

baśni zaczęło prześwitywać ukryte mroczne dno i przesłaniać to dobre, dziecięco-naiwne.

Pokazywać, że mogło być inaczej.

Że wilk jednak pożarł Czerwonego Kapturka na amen, a może odwrotnie.

Że Śpiąca Królewna nigdy nie uwolniła się od resztek zatrutego jabłka w gardle.

Że chłopiec ze skrzydłem zamiast ramienia całe życie marzył, by znowu być ptakiem.

Że Baba Jaga, Zła Czarownica, nadal mieszka w lesie, w ukrytej w zarosłach chatce, nadal wabi do siebie zagubione dzieci i żaden rycerz, smok ani fruwająca wróżka nie przybędą im z pomocą.

A bohater, choćby nie wiadomo jak szlachetny i dzielny, może zostać w zaczarowanym lesie na zawsze.

Ktoregós dnia – Marcie umknęło jak i kiedy – ojciec wyprowadził się z domu, wyjechał, zniknął. Podobno gdzieś w Szwecji czy Norwegii, w sprawie pracy. Ale podobno też ktoś widział go na mieście, poszarzałego i mizernego, więc to chyba nie był on.

W domu zaczęły się prawdziwe ciche dni, długie, powolne i nieprzerwane. Matka – która wtedy jeszcze była mamą – starała się, jak mogła, żeby było miło, i nawet próbowała przywrócić zwyczaj opowiadania baśni na dobranoc, ale nie za bardzo jej się to udawało. Jakby nie zauważyła, że Marta tymczasem wydorosłała. Nie pociągały jej już fantastyczne przygody ani szczęśliwe zakończenia: wolała historie, których finał mogła dopowiedzieć sama, i bohaterów wyposażonych nie tylko w skrzydło ptaka, ale głowę, ogon lub zęby innego zwierzęcia, i to nie z tych najłagodniejszych. Wizerunkami takich istot zapelniała niezliczone kartki szkiełeczek, notesów i zeszytów w kratkę lub linie, skracając sobie czas na nudnych lekcjach.

Matka chodziła do pracy, a Marta do szkoły. Mimo zasadniczego braku zainteresowania nauką nie miała z nią kłopotów, tak więc żyły pod jednym dachem jak dwie gołąbki. W weekendy gotowały coś razem i oglądały telewizję, czasem wychodziły do kina – wszystko w zgodzie i harmonii, długo i szczęśliwie, chciałoby się powiedzieć, gdyby nie to, że Marta coraz częściej wolała być sama.

Gromadziła w pokoju coraz więcej dziwnych przedmiotów: gałązkę w kształcie jaszczurki (której zaraz doprawiła skrzydła wycięte z pudełka po jogurcie), strzępy końskiej uzdy, celuloidową lalkę bez głowy, kamienie przypominające żółwie lub ryby, odłamki poślizgniętych kości, książki z wizerunkami potworów; i coraz więcej rysowała. Matka też częściej zniknęła z domu, przeważnie dzwoniła, żeby nie czekać na nią z kolacją, bo wróci później niż zwykle, nie wiadomo kiedy, i żeby Marta zamówiła sobie pizzę, pieniądze są tam gdzie zawsze.



Z początku dziewczynka korzystała z okazji, żeby oglądać nocne filmy dla dorosłych, głównie horrory, po których ze strachu zapalała światła w całym mieszkaniu, i inne potworności. O zwierzętach-mutantach, ożywających lalkach, wampirach i pożeraczach cieni, dzieciach składanych w ofierze, istotach nie z tego świata, o ponurych kultach religijnych.

Dopóki w domu nie pojawił się laptop: prezent na trzynaste urodziny. – Prawdziwe technologiczne przejście w dorosłość – podkreślała matka i śmiała się nerwowo. Według niej trzynastka to najbardziej magiczny wiek, w dawnych czasach świętowany jako początek dojrzałości. – Nazywano to rytuałem przejścia – zaznaczyła, patrząc na Martę spod wytuszowanych rzęs.

Znowu jakieś rytuały? – Marcie błysnęła w głowie straszliwa myśl, ale zaraz znikła, rozplynęła się na jasnym ekranie.

Przez ten laptop Marta przeoczyła objawy wtargnięcia Grubego w życie matki, a zaraz potem – jej samej. Do ich wspólnego do niedawna domu.

Zjawił się pewnego wieczoru, na sobotniej kolacji, którą znów, jak dawniej, przygotowywały razem. Ale teraz było inaczej, Marta czuła to od samego początku. Matka, od pewnego czasu (jak mogłam tego nie zauważyć? – wyrzucała sobie potem dziewczynka) – pogodniejsza, łagodniejsza i czulsza, i – tak! – znacznie ładniejsza, wręcz promieniała. Z zaróżowioną twarzą i błyszczącymi oczami nucila dziwne piosenki.

– Co śpiewasz, mamó? – dopytywała Marta.

– A, takie tam... – Matka zarumieniała się jeszcze bardziej i zniemacka podjęła cienkim głosem:

*Czy kto widział, jak biegnie króliczek ulicą?  
Czy to widział kto,  
czy to widział kto?  
W naszym mieście szukali  
króliczka ze świcą,  
aż dopadli go,  
aż znaleźli go...  
Ho, ho! Ho, ho! Ho, ho!*

Słowa wydawały się bezsensowne, ale intrygowały, melodia była wesola i wpadała w ucho. Martę objęła fala ciepła i radości.

– Ładne, mamó! Skąd to jest? I co to za królik?

Ale ona tylko zakręciła się na pięcie, aż rękawy jej bluzki zalopotwały (jak skrzydła – pomyślała Marta – jakby zaraz miała odlecieć), roześmiała się na cały głos, złapała córkę w ramiona i zakręciła nią w powietrzu, jakby (pomyślała Marta) miały odlecieć razem.

Oczywiście dziewczynka wiedziała, że na kolacji będzie gość, ale żeby aż tak?

A jednak.

Przyszedł gruby, zadowolony z siebie, czerwony na twarzy, z bukietem czerwonych róż dla matki i białych dla Marty. Oraz, oczywiście, butelką wina. Oczywiście czerwonego.

– Ha, ha! – śmiała się matka, też mocno zarumieniona.

– He, he! – wtórował jej Gruby.

– Hi, hi! – bardziej nieśmiało odpisywała mu matka.

Marta nie mogła tego znieść. Wymknęła się ukradkiem i rzeczywiście nic nie zauważyli. Albo tak udawali.

W szkicowniku Marta narysowała pokracznego kondora z ogromnym dziobem, żółtymi ślepiami i skoltunionym upierzeniem, przy nim drobną, jak-by wystraszoną przepiórkę. Po chwili starannie ją zamazała.

Gruby przychodził coraz częściej i częściej. Aż zaległ na dobre.

Oczywiście matka rozmawiała o tym z Martą. Właściwie bardziej mówiła, gdy Marta słuchała, bo co mogła innego? Gładziła córkę po głowie i ramionach, a nawet ją przytulała; dziewczynka sztywniała wewnątrz, ale na zewnątrz nic nie dawała po sobie poznać.

Podobno milczenie uznaje się za zgodę.

Lecz o tym Marta dowiedziała się później.

A teraz była u ciotki.



Zofia Beszczyńska, *Królowa Ptaków*,  
Wydawnictwo „Akapit-Press” 2014.

Książka wyróżniona w konkursie  
„Książka Roku 2015” Polskiej Sekcji  
IBBY.

## Ryszard Chęstochowski

# EXODUS

(mała czarna komedia nigdy nie jest biała)

### OSOBY

POLA – lat ponad 40

KORNEL – lat ponad 50

ADEL – lat około 24

### SCENA I

*Jadalnia z barkiem i stolkami, z tyłu kuchnia. Jest też mały okrągły stolik z krzesłami przed barkiem. Muzyka.*

KORNEL (*ubrany w szlafrok, czegoś szuka, rozgląda się, zaczyna wołać*) Pola, gdzie jesteś? (*puka do drzwi*) Adela, nie wiesz, gdzie jest Pola?

ADEL Śpię jeszcze. Daj mi pospać do diabła.

KORNEL Nie wiesz, gdzie twoja mama się podziała?

ADEL Pewnie nie mogła dospać. Daj mi spać, konkubinie mojej matki.

KORNEL Konkubencie, raczej?

ADEL Kornel, sam sobie zrób śniadanie i się odchrzań. Po to ci tylko Pola, prawda? Już mnie wybudził osioł, samolub pieprzony.

KORNEL (*patrzy na buty w przedsiönku*) Wszystkie buty Poli leżą, tylko płaszczu brak. Na boso w płaszczu wyszła?

ADEL (*wchodzi do jadalni w nocnej przezroczystej koszulce*) Co ty głupoty gadasz, w takie zimno bez butów poszła?

KORNEL Poszła w klapciach?

ADEL Wykończyła ją psychicznie, to pewnie poszła w siną dal (*ziewa*).

KORNEL Raczej ty ją wykończysz tym ćpaniem i tymi twoimi lewakami.

ADEL Zadzwoń i wszystko się wyjaśni.

*Kornel bierze komórkę i dzwoni.*

*Adel robi kawę i siada przy barku zaspana.*

KORNEL Wiadomo, komórka wyłączona. Nie ma co.

ADEL Leży w kuchni wyłączona. Nie zabrała.

KORNEL Wyszła bez butów i bez komórki? Dzwonię na policję.

ADEL Nie ma jej ledwo kilka godzin. Zbikowales? Mentownia przyjmuje zgłoszenia o zaginięciu po dobie.

KORNEL Niech to szlag trafi.

ADEL Co wyrzuty sumienia? Musiales się wczoraj klócić po pijaku, panie świętoszku, prawaku.

KORNEL Wcale nie byłem pijany. Dwa koniaczki z kolegami w kawiarni.

ADEL Dwa ogromne longi, tak cię oceniam.

KORNEL Wróciłem po dwudziestej pierwszej niczym dziecko grzecznie, a ona jak zwykle wrzask na cały dom.

ADEL Ja wróciłam przed północą trzeźwa i jeszcze krzyczeliście na siebie. Wiesz ona jest DDA, to przeczeleni ludzie.

KORNEL Ty bylaś trzeźwa od alkoholu, a pewnie upalona haszem lub inną trucizną.

ADEL Głupi jesteś jak te pisuary. Woda szkodzi sto razy bardziej. Widziałeś śmierdzącego kloszarda po trawce? A pijaczków bezdomnych bez liku w mieście. Zielonego pojęcia nie masz.

KORNEL Zielonego z pewnością nie mam. Idę wziąć prysznic i wychodzę szukać Poli.

*Kornel wychodzi, a w tym czasie Adel telefonuje:*

ADEL *(do telefonu)* I jak skarbie spalaś? Co ty mi wczoraj dalaś? Pierwszy raz tak wcześniej w sobotę do domu przyszłam. Nie dawaj mi tego więcej. Dziwne jakieś *(śmieje się)*. Gdzieś nam matkę wciąło, wyobraź sobie od rana bez butów i komórki wylazła z mieszkania. Aparatka. Pewnie ma dość tego sztywniaka. Niech się martwi, kołtun. Jakbyś coś o mamie słyszała, daj cynk. Może w klapkach poszła *(chichra się)*. No to buziaki. Pa, pipeczko moja słodka. Idę się też wykapać.

*Podchodzi do łazienki i puka.*

ADEL Korniszonku, siusiu muszę *(ściąga koszulkę i czeka, aż Kornel otworzy)*.

KORNEL Co ty, naga?

ADEL Przestań być pruderyjny sztywniak. Umyjemy sobie tylko plecki, póki starszej nie ma. Nie udawaj, że mnie na goło nie widziałeś. *(Wchodzi do środka)*. Pokaż, co tu masz wujaszku. Wreszcie to zrobimy przy świąteczku. Wyszoruj mnie całą do czysta z pupeczką, przystojniaczku.

### SCENA II

*Wchodzą Adel i Kornel do jadalni już ubrani. Kornel elegancki w modnej marynarce. Adel w czerwonej sensualnej sukience.*

KORNEL Jest poważna sytuacja, a ty zachowujesz się jak lafirynda jakaś. Jesteś inteligentną kobietą, studiujesz prawo i co ty z sobą robisz. Czemu ty jesteś taka popsuta?

ADEL Z braku miłości. Dlaczego pokochałeś moją mamusię zamiast mnie?

KORNEL Nie pleć bzdur, jak poznałem Polę, miałaś z piętnaście lat. Nie mam pedofilskich upodobań. Lubię kobiety dojrzałe i rozsądne, a do tego piękne jak twoja mama.

ADEL Ale mnie ranisz. Mama już nie jest taka śliczna jak dziewięć lat temu, gdy się władowałaś w nasze życie.

KORNEL Proszę, nie kalecz mnie.

ADEL Ja teraz też jestem mądrą i dojrzałą kobietą, tyle, że lubię się powygłupiać czasami. Zostań ze mną, Poli już nie kochasz i się męczysz.

KORNEL Zauroczenie trwa krótko, ale związek musi trwać całe życie, takie mam zasady.

ADEL Dobra, dobra... zjesz jajecznicę?

KORNEL (*dopija kawę*) Nie, zjem coś na mieście. Poza tym nic bym nie mógł przelknąć.

ADEL Ja jakoś w łazience przelknęłam. Jesteś z matką od dawna dla kasy nieudany biznesmenie.

KORNEL Nie dokuczaj mi, jestem załamany.

ADEL Dobrze ci ze mną?

KORNEL Doskonale wiesz, diabolicco.

ADEL Może naprawdę zakochałam się w tobie?

KORNEL Nie zostawię dla ciebie Poli, oszalałaś?

ADEL Czyli banalny trójkącik będziemy ciągnęli, oki.

KORNEL Już nigdy więcej.

ADEL Nie dasz rady, drogi panie. Z mamą już prawie tego nie robicie, a ty jak na pięćdziesiąt lat jeszcze całkiem sprawny fiut. Sztynniaczek jak ciuchcia działa, tylko trochę sapie... he... he.

KORNEL Jestem konserwatystą, konserwatystą jeny... i tylko tobie uległem, ale to koniec. Masz pełno innych do bzykania.

ADEL Pieprzysz, teraz tylko z tobą chcę.

KORNEL Tak, tak już wierzę.

ADEL Robić jednak te jaja?

KORNEL Wychodzę (*podchodzi do drzwi i szuka klucza*) Nie ma mojego klucza.

ADEL (*śmieje się*) Zabrała zamiast butów klucze? Sprawdzę w torebce (*przeszukuje torebkę*). Wszystko zaplanowała. No to już przestaje być komiczne. Co jej odbiło. Nie mamy jak wyjść, jedynie wyskoczyć z balkonu.

KORNEL Zorientowała się, że my... nie, jeszcze popelni samobójstwo, co robić?

ADEL Zadzwoić w takich okolicznościach przyrody.

KORNEL Mówilem trzeba zadzwonić na policję, to przecież prawnik, a nie jakaś gęś.

ADEL Dobrze dzwoń, a ja zrobię w końcu to śniadanie i pomysłu. Powiedz, że pani mecenas może mieć wrogów, ostatnio odrzuciła sprawę tych handlarzy nastolatkami do burdela azjatyckich. Może to porwanie?

KORNEL Tak niemożliwe, że to przez nas uciekła z domu.

ADEL Nakręć gliniarzy, to zaraz ją znajdą, bo robi się mało śmiesznie.

### SCENA III

*Siedzą przy stole, jedzą i piją ze skwaszonymi minami.*

ADEL Może mały liskacz dobrze nam zrobi?

KORNEL Daj spokój od rana, a potem mi same wmawiacie, że za dużo piję.

ADEL Dzisiaj jest stan wyjątkowy, sama się napije, choć nie lubię.

KORNEL Bo nie masz nic do palenia.

ADEL To prawda, cholerna prawda, żebyś wiedział elegancie. Ty za to robisz ze mnie narkomankę. Akurat z mojego roku najmniej palę i w ogóle nie robię nocha (*idzie do lodówki i przynosi karafkę ze szklaneczkami*). Ty byś lepiej zrobił raz noska, może byłbyś zabawniejszy?

KORNEL Ale tylko po maluszku.

ADEL A kto ci każe pić więcej ojczulku święty?

KORNEL Czemu ciągle drwisz ze mnie?

ADEL Z miłości. Faceci są tacy trywialni i prości w obsłudze (*połena prawie pełną szklankę*). Dobrze im tam nagadałeś? Przyjadą szybko?

*Nagle zamykają się automatycznie okiennice elektryczne gaśnie światło.*

KORNEL Co jest?

ADEL Ona tu jest.

KORNEL Wszędzie byłem.

ADEL Dobrze piętro sprawdzałeś?

KORNEL Przecież tam spaliśmy, gdzie miała się schować.

ADEL Dwupoziomówki mają swoje skrytki. Mogłam ja przetrzepać górę. Teraz po ciemności możemy sobie pogwizdać. Zapal świece. Są w kuchni, a potem pójdziemy na górę i pootwieramy okna.

KORNEL (*krząta się po kuchni, jęczy z bólu*) Ale się jebnałem... aaaaaaaa... kurwa mać.

ADEL Oj, nieładnie. Kurczę, żeby tu chociaż zwykłe fajki były. Mamusiu, co ty nam za horror robisz. Słodka zemsta? Kiedy ta policja przyjdzie?

*Wraca Kornel, zapala świece.*

KORNEL Mówili, że jest niedziela i kłopot ze ślusarzem będzie, a przecież nie będą wyważać drzwi z antyterrorystami. Mamy być cierpliwi. Matko jak się walnałem w głowę.

ADEL Do naszego wesela się zagoi. Jak mama się skapnęła po jednym razie, że my coś robimy? Pewnie ma wszędzie monitoring i podsłuch i teraz ma z nas ubaw. Mamusiu już wystarczy. Błagam. Przyznaję, masz straszna córka, ale cię kochamy. Hello.

KORNEL Moja wina wszystko.

ADEL Co to za policja, ślusarza w niedziele nie mają, miało być po zmianie rządu fantastycznie, a tu nadal chuj dupa i kamieni kupa, jak to powiedział ten minister, przebijając pradziadka noblistę.

POLA I co, faryzeusze? Życie za was bym oddała i żyły sobie wypruwałam, a wy mnie oszukaliście. Pewnie już wszędzie daliście znać, że was zamknęłam. Na darmo wasze starania. Kogo trzeba uprzedziłam i każdy już wie, że to kawał. Nikt nie przyjedzie. Macie wybór, niech jedno z was rzuci się z okna. Wystarczająco wysoko, żeby już nie podnieść się nigdy. Byliście bestiami i ja będę bestią. Losujcie, które skacze. W innym wypadku zginiecie oboje.

KORNEL Pola zlituj się i wybacz.

ADEL To było nagrane, z kim ty gadasz?

KORNEL To był duch, ona już nie żyje.

ADEL Podnieciłam się, choć zrobimy to jeszcze raz.

KORNEL Jesteś chora psychicznie.

ADEL Zagrożenie mnie kręci. Daj go jeszcze raz.

*Zapala się światło.*

KORNEL Biorę winę na siebie, idę wyskoczyć, a ty żyj. Nie zasługuję na życie. Jestem bydłakiem. Co ze mnie za człowiek. Ohyda. Kochałem Polę i pasożytowałem na niej i w końcu zdradziłem. Zasługuję na śmierć.

*Kornel wstaje i idzie na piętro do balkonu.*

ADEL To przecież komedia Kornelku, ja nie wierzę, że Pola jest potworem, to żart.

KORNEL Ma prawo do zemsty, zawiedliśmy ją, kogo ona miała oprócz nas i my ją zdradziliśmy.

ADEL Dobra idę z tobą i tak mnie to życie już wkurwia. Nic tu się ciekawego więcej nie wydarzy.

*Wychodzą razem, muzyka, po chwili Kornel wraca sam i dzwoni z telefonu komórkowego..*

KORNEL Pogotowie? Chciałem zgłosić wypadnięcie z balkonu, nieszczęśliwy wypadek. Córka mojej narzeczonej wypadła z wieżowca. Raczej martwa, to dziewiąte piętro. Ulica Smoleńska, tak ten nowy wysokościowiec przy brzo-zowym lasku, moje nazwisko Kornel Petruski. Co się pan śmieje? Co tu za-bawnego? Czekam (*odkłada komórkę*). Homo homini lupus, znowu wyszedłem cało z tej burleski.

#### SCENA IV

*Kornel w poszarpanych dżinsach i flanelowej koszuli, włosy potargane. Czyta fragmenty „Wilka Stepowego” Hermanna Hessego...*

KORNEL Chcę ci dzisiaj oznajmić coś, o czym wiem już od dawna, ale może jeszcze tego sobie nie uświadomiłeś. Powiem ci teraz, co wiem o sobie, o tobie i o naszym losie.

*Wchodzi Pola w przezroczystej podomce i samych majtkach pod spodem. Chodzi i ubiera się pospiesznie, wchodząc do łazienki i wychodząc z niej.*

POLA Uczysz się roli?

KORNEL Za tydzień robimy premierę na squocie z naszą komuną anarchistyczną.

POLA Oj, dzieci, dzieci. Ja cały czas muszę stąpać po ziemi, a wy się bawicie w życie.

KORNEL Jaka ty lufa jesteś prześliczna.

POLA Rycząca pięćdziesiątka.

KORNEL No, jeszcze czterdziestka.

POLA Ostatni rok.

KORNEL Życie zaczyna się po pięćdziesiątce.

POLA Mojej córki skończyło się po dwudziestce.

KORNEL Wszystko przeze mnie.



POLA Wybroniłam cię, ale ci nie wierzę.

KORNEL Przysięgam, mieliśmy skończyć razem, ale ona po lyskaczu się zachwiała i poleciała szybciej niż ja, a jak już spadała zabrakło mi odwagi. Zawsze bałem się wysokości. Tchorzem jestem, to jedyna moja wina.

POLA Żaden adwokat nie wierzy klientowi, a przed sądem udaje, że wierzy w niewinność... Przyznaj się wypchnąłeś ją?

KORNEL Przysięgam, to był wypadek.

POLA Dobra, i tak wasz chciałam oboje zamordować za lata leż, ale cóż jedno przeżyło, to już niech tak zostanie. W każdej chwili mogę się ciebie pozbyć. Wiesz, ilu młodych na mnie leci?

KORNEL Możesz mnie zdradzać i poniewierać. Zasluguję na pogardę, ale wiedz, że cię kocham. Miłość w życiu tylko się liczy.

POLA Prawda nie istnieje klamczuszkę. Nie ma ani prawa, ani sprawiedliwości. Co za truizmy powtarzam.

KORNEL Tak, wiem, kochanie, jak ja cię uwielbiam. Też należę do tej trzody zmierzającej do piekła. Nie jestem tak głupi, żeby myśleć jak ta hołota, iż piekło to inni.

POLA Aleś się rozwinął. Hesse, Kierkaard, Sartre. O Boże, a wcześniej tylko bankowość, stopy procentowe, prowizje itd. Może wasz teatrzyk podziemny ten Mieszkowski od Petru wystawi? A może i na staroświeckim Broadwayu zagracie lub Holland sfilmuje i w Hollywood dostaniecie Oscara. Życie zaczyna się po pięćdziesiątce, a nie tak jak u większości po setce, albo dopiero po całej butelce.

KORNEL Jaka ty mądra i błyskotliwa. To jest jakieś wyjście.

POLA Z każdej sytuacji jest wyjście. Ucz się ode mnie. Nawet jak drzwi są zaryglowane – wychodzę. A i balkon bywa dobrym wyjściem czasami. Pa, kotku, będę późno. Ćwicz rolę, może wreszcie osiągniesz sukces. Całuski. Jeszcze tylko brodę koniecznie zapuść, będziesz awangardowy.

KORNEL Lubię twoje poczucie humoru. Uwielbiam cię...

*Pola wychodzi. Kornel zostaje sam i czyta dalej:*

KORNEL Ty, Harry, byłeś artystą, myślicielem, człowiekiem pełnym radości i wiary, zawsze na tropie wielkich i wiecznych rzeczy, nigdy nie zadawałaję się czymś ładnym i małym. Ale im bardziej budziło cię życie i przywracało ci świadomość, tym większa stawała się twoja bieda, tym bardziej, aż do dna, pogrążałeś się w cierpieniu, smutku i rozpacz, i wszystko, co niegdyś znałeś, kochałeś i czciłś jako piękne i święte, cała twoja dawna wiara w ludzi i w nasze posłannictwo nie mogła ci pomóc, stała się bezwartościowa i rozpadła się w drzazgi...

*Rozlega się telefon.*

KORNEL Słucham (*slucha dłuższą chwilę*) Przecież nie skończyłem zadania. Teraz mam premierę. Rozpracowuję ich dopiero. Jak to teraz, a co z Polą? Wyjechać. Nie ma innego wyjścia?

(*pauza*) Rozkaz, panie generale. Muszę zmienić plany. Po tylu latach. Nie mam innego wyjścia. Niby zawsze jest wyjście. Jesteśmy kowalami swojego losu. Biedna ta ludzkość. Wszystko załgać, byle dobrze się żyło. Witaj, absurdzie. Szybko, szybko, szybko.

*Kornel pogłasnia muzykę. Nalewa dużą liskę i wychodzi po schodach na balkon.*

KONIEC



Clown. *Dorota Sunalska, kalkografia*

## Sylvia Gibaszek

„Kochać od początku niemożliwości,  
gdzie bogowie rękami skazańców  
podbijają wciąż pilkę świata”

## Kilka refleksji na temat poezji Krystyny Rodowskiej

Krystyna Rodowska jest znana w Polsce i na świecie jako poetka, eseistka, wybitna tłumaczka literatury hiszpańsko- i francuskojęzycznej. *Za wkład w odkrywanie i promocję poezji* w tym ostatnim języku została odznaczona w 2015 roku Medalem Oficera Sztuki przez Minister Kultury i Sztuki Francji.

Artystka często jest przedstawiana przez literaturoznawców i krytyków poezji polskiej jako autorka niezwykle zmysłowych i odważnych erotyków. Ów wątek twórczości Krystyny Rodowskiej jest – moim zdaniem – zbyt mocno eksponowany przez recenzentów, którzy tak klasyfikując twórczynię „Wierszy przesianych”, zawężają odbiór jej poezji, a ta jest przede wszystkim poezją metafizyczną. Erotyka – w wypadku tej poezji – ma korzenie właśnie w warstwie metafizycznej. Niezwykle refleksyjne wiersze Krystyny Rodowskiej są głęboko przesiąknięte agnostycyzmem, szczególnie przejawiającym się we wzajemnej niepoznawalności kobiety i mężczyzny, którzy mimo trwających od zarania dziejów prób stworzenia jedności, wciąż nie mogą duchowo siebie przeniknąć. Stanowią dla siebie tajemnicę. Wzajemna niepoznawalność wpływa – według poetki – z natury bytu, w szczególności ludzkiego bytu. Często drugi człowiek, paradoksalnie, zamiast ułatwić nam poznanie siebie i rzeczywistości, wręcz ten obraz zaciemnia, zniekształca. W ludzką egzystencję, w związek miłosny z istoty wpisane są nie-dopowiedzenia i nie-porozumienia. Jeśli więc pragniemy miłości dającej bezpieczeństwo i ukojenie, musimy według autorki „Wierszy przesianych” przyjąć zgodę na nieprzewidywalną wyprawę, pełną nieoczekiwanych zrządzeń losu. Miłość ze swojej natury jest więc dla odważnych. Mało tego, w tej podróży sami nie jesteśmy w stanie przewidzieć własnych reakcji. Będziemy tak samo nieodgadnieni, jak obiekt naszych uczuć. Natura ludzka tylko częściowo odsłania się w świetle wierszy Krystyny Rodowskiej.

Totalna zgoda na pójście w nieznanne – jak by rzec za Janem od Krzyża – w głąb, w sam środek „nocy ciemnej” jest istotą miłości i wielkim aktem odwagi, któremu poetka daje wyraz w słowach:

*W czas odwagi nadania nazwy,  
nydobyć z mulistych zapaści*

*nietkniętego kształtu jednej kropli –  
mówię cicho najprościej:*

*Miłości moja,  
oddaję ci moją Własną twarz  
zaciągniętą innymi twarzami,  
twarz od spodu,  
najstarszą-najmłodszą  
spod ostrego nowiu łagodności*

Według autorki „Własnej twarzy” miłość ma swoisty, metafizyczny algorytm wpisany w naturę, w szczególności w uduchowioną w jej poezji przyrodę, obecny chociażby w wierszach „Dojrzewanie winogron” i „Sensoryt”:

*Utajona w snych stojach  
wyjaśniasz mi nagość  
i sęk z tobą  
a drzewa wstyd we mnie  
(...)  
Gdy kiście brzemienne  
jestem przy nadziei:  
czekam rozwiązania wężbranej zieleni  
już w klinicznej bieli*

Tajemnica jest swoistym refrenem poetyckim pojawiającym się w poezji Krystyny Rodowskiej. W jej wierszach zawsze „Człowiek jakiś zawiany własnymi skrzydłami”. Wiedza o nas samych nie jest nam dana, bowiem losem człowieka kieruje nieświadomość. Minione czasy i doświadczenia ludzkości są zapisane w podświadomości zbiorowej, co powoduje, że towarzyszy nam strach, groza i jesteśmy na pewne rzeczy skazani przez konieczność dziejową, przeszłe tragedie. Fatum historii jest nieublagane. Pisarka daje temu wyraz we wczesnym wierszu „Perpetum mobile”:

*Szukaj siebie  
w doświadczeniach dnia i przejęzyczeniach nocy  
Który ogień Cię sparzył jest już twoim piętnem  
Niczego poza tym nie wymyślisz  
Najtrwalsze sny ludzkości zostawiam na półce  
strzeż się!  
(...)  
Byliśmy bezpieczni  
póki strach znów nie zaczął  
zrywać ze ścian świętych obrazów  
naszej męki:  
szukają nas*

Kiedys jedna z najważniejszych poetek XX wieku Halina Poświatowska zapytała: *Kto potrafi pomiędzy miłość i śmierć wpleść anegdotę o istnieniu i stwierdziła minorowo, że nikt nie potrafi*. Poświatowska się myliła. Krystyna Rodowska wplata w swoich wierszach ową anegdotę o istnieniu – z jednej strony głęboko świadoma metafizycznego losu człowieka i skazania go na agnostycyzm, – z drugiej zaś głęboko zanurzona w codzienność i historię. Mistrzowski, przyprawiony szczyptą czarnego humoru portret codzienności odnajdujemy między innymi w wierszach: „Na burych lazurach”, „Z kroniki wypadków wielkanocnych”, „Czerwiec 1976”. Ten ostatni jest – jak powiada sama autorka – wierszem z podtekstem politycznym Czerwca 1976, braku cukru w sklepach. *To jest raczej niecodzienność niż codzienność* – twierdzi Krystyna Rodowska. Dla mnie, której dzieciństwo przypadło na koniec lat 70., stan wojenny, czasy, kiedy obywatelom „wydzielano” kartki na cukier, słodycze i mięso, sytuacja z wiersza Rodowskiej to „pocztówka z codzienności”. Straszące w sklepach puste rzeźniczkie haki, puste półki, stanie lub spanie na leżaku w kolejce to była moja rzeczywistość, innej nie znalazłam. Dopiero mając trzynaście lat, po 1989 roku dowiedziałam się, że życie może wyglądać inaczej.

*Na ulicę sinę o świcie  
ten widok codzienny  
pod sklepem ogon gadający  
gospodyń które wstały lewą nogą  
po niedospanej nocy  
Popołudnia mięso brzęczy  
tak je obsiadły  
(...)  
Mój sklep opędza się:  
skąd tyle os-desperatek  
nydzielanej im po garstce słodyczy  
Każdej po kilogramie  
mowy na okoliczność*

Rodowska podróżuje przez różne epoki i kultury, wnikliwie przyglądając się realiom i z reporterską precyzją je relacjonuje, nie tracąc oczywiście ani odrobiny poetyckości. Znakomicie widać to w utworze „Pocztówki z Mazatlan”. Razem z poetką odwiedzamy też miejsca dla niej szczególnie ważne, takie jak miasto jej urodzin – Lwów, miasteczko, w którym spędziła pierwsze lata dzieciństwa – Mosty Wielkie, czy Rzeszów. W każdej chwili Krystyna Rodowska przejawia głęboką świadomość egzystencjalną. Gdziekolwiek jest, pamięta bowiem, że:

*bogowie  
krwi słońca i reinkarnacji  
podbijają wciąż piłkę świata  
rękami skazańców*

Jak zatem wpleść anegdotę o istnieniu pomiędzy miłość i śmierć, gdzie nikt nie panuje nad własnym życiem? Nawet bogowie sami nie wiedzą, jakie są wyroki losu, ich wszechmoc to tylko pozór. Anegdota o istnieniu jest następująca: zaakceptuj, że nic nie wiesz i nic nie posiadasz. Twój „stan posiadania” jest pozorny. Artystka pisze:

*nie mam rzeczy  
nie mam lat  
nie mam spokoju  
nie mam końca  
nie mam słów  
nie mam ciebie  
nie mam siebie  
nie mam sposobu*

*Nic ma  
we mnie niepokorną  
należność*

Dalsza część anegdoty o istnieniu według autorki „Stanu Posiadania”, to przekonanie, że człowiek nie jest mimo wszystko skazany na porażkę. Paradoksalnie, może się rozwijać duchowo, jeśli zgodzi się na swój los, przyjmie sokratejskie „wiem, że nic nie wiem”. Postanowi w tak zaaranżowanej egzystencji ludzkiej po prostu,

*kochać od początku niemożliwości  
w której zamieszkałoby jawnie  
Od końca milczenia którym ją ocalasz  
Od trzęsienia pamięci  
Od pożaru wyborów*

Owo kochać jak najbardziej łączy się u autorki „Drogi do Ty” z cielesnością, z pożarem ciała. Jednak erotyzm ma zawsze zakorzenienie w sferze spirytualnej:

*Rozbierz się – szepcząc ogień  
po kątach obcowañ  
już liże nam palce  
dotyk strawił ciało  
uwalnia się nagość  
niepodzielna*

Ta nagość jest prawdziwym bytem, który według starożytnego filozofa Parmenidesa charakteryzowała właśnie niepodzielność.

Jednak nawet gdy doświadczamy chwilowej iluminacji i ekstazy, musimy zawsze spodziewać się, że „Znienacka ciemność. Przychodzi jak fatum”. W każdej chwili możliwa jest bowiem „awaria światła”. Krystyna Rodowska, świadoma wiecznej dynamiki i pulsowania istnienia wierzy, że rzeczywistość

prześwieca nie tylko poprzez wspomnianą już nieświadomość, ale także „urodę symboli”. Ezoteryka i magia są specjalną mapą objawień, którą nie każdy potrafi czytać. Tarot czy runy mówią do tych, którzy znają specyficzny kod. Ponadto jest możliwe między miłością a śmiercią zwinnie poruszać się w mroku. Poetka powtarza za Czuang-tsy:

*naucz się widzieć, gdzie wszystko jest ciemne  
i słyszeć gdzie wszystko jest ciche*

Te słowa stały się mottem utworu „Szelest półmrok sens”, opatrzonego dedykacją dla czolowego przedstawiciela francuskiej szkoły psychoanalizy Jacquesa Lacana.

*Dziwnie się, więc (raz jeszcze) jestem:  
Nawet zamęt ćwierć bycia trudzi się w języku?  
szelest półmrok sny... nieczytelność – w szyku?*

Istotą prawdziwego jestestwa człowieka w świecie jest właśnie owo metafizyczne zdziwienie. To duchowe, intelektualne delektowanie się tym, co niepojęte, inspiruje Krystynę Rodowską, stanowi pożywkę syzyfowych prób odtajnienia bytu. Określa też istotę miłości, *nie ma drugiej tak nienormalnej jak ty* – pisze autorka „Niepojętej” – i choć miłość

*posyłano do tylu szkół specjalnych  
uczono  
jak ma się zachować  
przy chlebonym stole  
i w pułapce łóżka –*

ona nadal wymyka się wszelkim próbom zrozumienia, zdefiniowania, określenia, wszelkim konwencjom artystycznym i mieszczańskim, filozoficznym czy naukowym.

Krzysztof Kieślowski mówił, że trudno jest żyć w świecie nieopisanym. Jednak każda próba opisu rzeczywistości – czy to filmowa, czy poetycka, będzie zawsze tylko zaledwie monosylabą, jakimś słabo słyszalnym odgłosem homo sapiens w nieskończonej toni wszechświata. Akceptacja takiego stanu rzeczy nie musi wiązać się z melancholią i poczuciem tragizmu istnienia. Krystyna Rodowska, choć wie, że jest *myślącą bakterią wśród żebów wszechświata*, zachowuje dystans i poczucie humoru, dostrzega absurd i urodę życia. Przejawia się to między innymi choćby w takich wierszach jak „Zwierzyniec”, „Tirgus”, czy „Przeciw mitowi” (w „Kwartalnik Artystyczny” 4/2015). Poetce niestraszne „dwie siekierki” minionych lat i choć *Piersi niepyszne pospuszczały nosy, jej dusza ani myśli zaprzestać latania na miotle w snach i słowach: latanica*.

Sylvia Gibaszek

Piotr Müldner-Nieckowski

## Janusz Odrowąż-Pieniążek:

**Błagam, tylko nie profesor \***

Jest to książka jak na wspomnienia-przypomnienia, a nawet na właściwie (jak chce autor) „wypominania”, wielce osobliwa. Bo nadzwyczaj szczerza. To wyjątkowe w tego rodzaju literaturze, ponieważ Janusz Odrowąż-Pieniążek czasem wydaje się wręcz sugerować, że pisze tę rzecz tylko po to, żeby być szczerym. A rzecz z konieczności musi być przecież egocentryczna, jednak jakże inaczej niż choćby pisane ku samouwielbieniu wspomnienia Wacława Kubackiego, które swego czasu tak mnie oburzały swoją ksobnością. Co więcej, Odrowąż-Pieniążek, posługując się językiem coraz bardziej z obecnej literatury się wycofującym, bo oryginalnym, pełnym własnej składni i niebywale rozrośniętego (jak by powiedział lingwista) słownictwa osobistego – tworzy z sylwki opowieść, wobec której nowy (w domyśle młody) czytelnik może popaść w wątpliwość, czy w ogóle jest prawdziwa. A to paradoksalnie z powodu jej bez wątpienia prawdziwości. Tak zwana artystyczna nienormalka, czyli zwykle życie ludzi niewięzionych między ósmą a szesnastą w biurze albo sklepie, którzy wstają o dziwnych porach, albo o trzeciej w nocy, albo o drugiej po południu, jedzą co popadnie, ale nie byle co, piją z przyjemnością, czując wstręt do alkoholu, bez którego nic nie odbywa się logicznie, ubierają się tylko żeby nie zmarznąć, ale z gustem, w towarzystwie są aktywni i dają popisy dowcipu albo karkołomnych kombinacji polityczno-moralnych, zmieniają mężów i żony... i tak dalej, czyli zgodnie z opisami celebryckich wybryków na jakimś internetowym „Plotku”, w gruncie rzeczy to wszystko jest dla ogółu po prostu niezrozumiałe. Żeby dać temu wyraz lub ściślej: wiarygodny opis, trzeba się imać niewiarygodnych literackich sztuczek i mieć pióro nie od parady.

Dodajmy, że na to nakłada się nieufność odbiorców tekstu, którą autor musi przewidzieć i przelamać, ale niezauważalnie, dyskretnie, bez przekonywania, że oto masz, człowieku, przed sobą prawdę i tylko prawdę. W czasach dzisiejszej totalnej manipulacji prasowej czytelnik tak dalece nawykł do łowienia logiki i faktów (prawdziwych, nie prasowych) spomiędzy zakrętasów i zakłamań, że w „pisanie wprost” już nie wierzy. Wszak większość, gdy ściuboli tak zwane „kawalki osobiste” i chce napisać coś zgodnego z rzeczywistością, a nie przeświadczeniami, zaczyna od kluczenia, stara się owijać w bawełnę,



stosować aluzyjność, wykręcać kota ogonem, tłumacząc się ze swoich sądów i twierdząc, że następnym razem napisze więcej i szerzej.

U Odrowąż-Pieniążka nie dość, że kluczenia nie ma, to czytamy coś bardzo osobistego, tak jakbyśmy odkrywali kartki tajnego notesu, właśnie z powodu języka, z którym może się równać tylko polszczyzna Jana Parandowskiego, i to tylko ta z przekładów, że wspomnę jego tłumaczenie „Portretu Doriana Greya” Oskara Wilde’a.

Za sprawą perfekcyjnej narracji wnikamy do słynnych a zapomnianych zdarzeń, czasem nawet i do pokazanych przez te zdarzenia dusz ludzi, którzy co prawda w większości odeszli, ale wciąż odgrywają znaczącą rolę w naszej kulturze i umysłowości. Wnikamy nieraz tak głęboko, że komuś, kto zna lub znał opisywanych ludzi, miejsca i zdarzenia, może się wydawać, że doznaje d $\acute{e}$ jà vu, ale w wydaniu lepszym niż miniona rzeczywistość, bo w formie kondensatu, bez rozpraszających dodatków. Na przykład atmosfera redakcji „Twórczości” z czasów Jarosława Iwaszkiewicza (str. 136-137). Tak, tak, to właśnie tak tam było i nawiasem mówiąc, niewiele się zmieniło do dzisiaj; może już samo miejsce wywołuje taki klimat?, a może działa tam od pół wieku jakaś specyficzna grupa o wyjątkowym backgroundzie intelektualno-emocjonalnym? Pojęcia, jakie oni mają... Jakie? Sięgnijmy do wspomnień mistrza.

A kiedy się czyta o idiotyzmach socjalistycznej propagandy i marksistowskiej edukacji na uniwersytetach drugiej połowy XX w., to tak, jakby się miało przed oczami quasi-liberalną poprawność polityczną dzisiejszą, tylko dla niepoznaki wyposażoną w inne słowa-klucze. Chwilami, kiedy pojawiają się przypominane postaci, można mieć wrażenie, że w dziejach zmieniają się tylko nazwiska, a ludzie są ciągle ci sami. Nawet gdy chodzi o osoby wybitne. Jest jakiś nieuchwytny sposób artystyczny, którym włada Janusz Odrowąż-Pieniążek, a który pozwala mu uniwersalizować to, co powinno być całkowicie unikatowe i jednorazowe. Ze strzępów i urywków wyrasta obraz świata mocny, znaczący, uświadamiający drugie dno prawdy, zmuszający do zadawania sobie pytań fundamentalnych.

Znakomita książka, profesorska, i nie sądzę, aby autor nas w tytule kokietował. Czym innym jest tytułatura dokumentarna, czym innym faktyczna. To paradoks, który doskonale wprowadza w opisywane przez autora miejsca, czasy i towarzystwa.

*Piotr Müldner-Nieckowski*

---

\* Janusz Odrowąż-Pieniążek, *Błagam, tylko nie profesor. Wspominania i anegdoty*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2015, str. 296. ISBN 978-83-244-0400-1.

## Wacław Holewiński

# Jednak Profesor ...

No cóż, muszę się przyznać: gdy poznałem Janusza Odrowąż-Pieniążka, też zwracałem się do niego per „panie profesorze”. Aż któregoś dnia, podczas jakiegoś spotkania Zarządu Głównego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich poprosił, aby tak do niego nie mówić. „Ja jestem zwykłym magistrem” – oświadczył. Dlaczego więc ja i setki innych osób, „od zawsze” tak się zwracały do byłego dyrektora Muzeum Literatury? Może to jego wygląd – elegancki pan, który nienaganną polszczyzną jasno klaruje swoje myśli? A może nikomu z nas nie przychodzi do głowy, że ten badacz twórczości i kolekcjoner pamiątek (ale dla muzeum) po wielkich pisarzach musiał, no tak, na pewno musiał zrobić doktorat, habilitację, a później, pewnie kilkadziesiąt lat temu, dostał profesurę...

Figa z makiem. Janusz Odrowąż-Pieniążek studiował w niezbyt miłych czasach, w środku stalinowskiej „poprawności”, a poprawnym nie bardzo chciał być, więc jak sam powiada, studentem był na trójkę z minusem, a do części magisterskiej studiów przez wiele lat go nie dopuszczano (studia wówczas były dwuetapowe) z... z braku miejsc.

Swoją najnowszą książkę podzielił Odrowąż-Pieniążek na trzy części – najobszerniejszą zatytułował „Ludzie”. Pomiścił tam sześćdziesiąt jeden sylwetek ludzi znanych powszechnie i takich, o których nawet czytelnik niezłe zorientowany w świecie literatury zapewne nigdy nie słyszał. Ale są tam też sylwetki polityków, profesorów polonistów, kolekcjonerów, malarzy, kompozytorów, mitomanów. Część duga to „Miejsca” – ważne dla autora, przede wszystkim Paryż, miejsce urodzenia, oraz Muzeum Literatury. I wreszcie część trzecia „Sytuacje” – tu uwagę zwracają przede wszystkim te związane z dwiema postaciami: Zbigniewem Herbertem i Czesławem Miłoszem...

Czym są te „Wypomnienia i anegdoty”? Wbrew podtytułowi książka jest połączeniem dziennika z dziwnym przewodnikiem. Osobistym przewodnikiem. Po przyjaźniach, podróżach, odczytach, poszukiwaniach. Po spotkaniach, rozmowach, haniebnych zachowaniach. Tak, tak, przemiły Janusz Odrowąż-Pieniążek ma dobrą pamięć, ale co więcej – inaczej niż wielu Pisarzy – lubił robić notatki natychmiast po spotkaniach. I zachował te zapiski dla siebie, ale i dla innych.

Jerzy Andrzejewski, Maria Dąbrowska, Witold Gombrowicz, Stefan Kisielewski, Jerzy Putrament, Monika Żeromska, Zygmunt Mycielski, Artur Górski, Stanisław Kot, Józef Cyrankiewicz, Alina Świdorska, państwo Luto-

slawscy, Julian Krzyżanowski, Tomasz Niewodniczański, Józef Czapski, Jerzy Giedroyc, Tadeusz Baird... Ludzie ważni dla naszej kultury ostatnich stu lat. Ale są też inni: Leonor Fini, Dwight Eisenhower, Françoise Gilot, Jean Cocteau, Allan Kosko, Jean d'Ormesson, Igor Strawiański, John Steinbeck. Wielu, wielu innych. Niektórzy byli jego przyjaciółmi, niektórzy wrogami, niektórych cenil, innych wręcz odwrotnie, nie wszystkich spotkał, niektórych tylko widział, ale byli dla autora „Błagam, tylko nie profesor” na tyle ważni, iż uznał za stosowne opisać ich sylwetki, przypomnieć w jakich okolicznościach ich poznał, a czasami tylko zobaczył.

Jest tu sporo anegdot wziętych wprost z życia, czasami złośliwych, jak ta ze Stanisławem Ryszardem Dobrowolskim z poetyckiego spotkania w setną rocznicę śmierci Adama Mickiewicza w Pałacu Kultury, który usadzony w dalszym rzędzie, szybciućko po wyjściu Pabla Nerudy spieszącego się na samolot zajmuje jego miejsce w pierwszym szeregu.

Albo pijackie rozmowy Kisiela z Mycielskim (nie znajdują państwo tego ani w „Dziennikach” Kisiela, ani w „Dzienniku” Zbigniewa Mycielskiego):

*Kisiel uważnie słucha, ale nawraca jednak do spraw homoseksualnych:*

– *Czy ty tylko do chłopców, czy i do kobiet?*

*Mycielski:*

– *Zareczam ci, że i do kobiet.*

*Kisiel:*

– *Ile miałeś kobiet, piętnaście?*

*Mycielski:*

– *Więcej, chyba dwadzieścia pięć.*

*Kisiel:*

– *Nie licząc oczywiście tych, które na dworcach, po wychodkach.*

*Mycielski:*

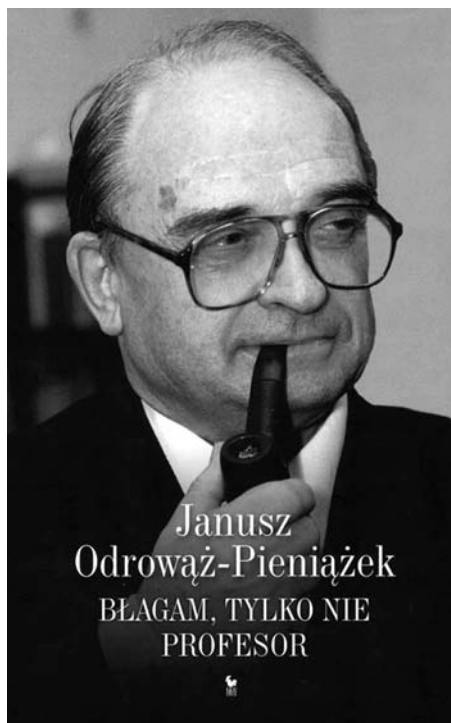
– *Nie licząc.*

W innym miejscu całkiem poważne, ale przecież równie dobrze blażen-skie, wyznanie Gombrowicza: „Pisarstwa nigdy nie traktowałem zasadniczo, a teraz mam, co dziwne, zupełną obojętność dla sukcesów literackich. Literatury nie traktuję poważnie, a więc dlatego właśnie poważniej niż ci, którzy ją traktują po prostu poważnie. Stosunek do życia mam niepoważny – a przez to właśnie poważny. To też daje dystans. Wszystko realizuje się przez antynomie, tak samo: zdrowie – choroba, śmiałość – nieśmiałość”. Ilu z nas chciało by się podpisać pod tym tekstem autora „Ferdydurke”.

Sypie Odrowąż-Pieniążek anegdotami jak z rękawa: Jerzego Zawieyskiego o Arturze Górskim, Juliana Krzyżanowskiego o Janinie Kulczyckiej-Saloni, Adama Mauersbergera o Gombrowiczu. I można by tak wymieniać i wymieniać.

Mamy też w tej książce próbki korespondencji (zabawnej) autora ze Zbigniewem Herbertem, których przyjaźń trwała lat kilkadziesiąt i opis prawie równie długiej znajomości z Czesławem Miłoszem (piękna anegdota o zmianianiu ubrania – frak!!! – w sztokholmskiej ubikacji na dworcu, aby w stroju godnym wystąpić na noblowskim przyjęciu), mamy opis „dyrektorowania” w Muzeum Literatury (kto z nas dziś pamięta, że muzeum miało dwu patronów – obok Mickiewicza także Słowackiego), podróży – raczej biednych niż bogatych.

Z przyjemnością czytałem książkę o czasach minionych, ludziach – niektórych udało mi się jeszcze poznać, z niektórymi porozmawiać – którzy odeszli już lata temu (mój przyjaciel Krzysztof Mętrak) – jednak Profesora. Bo profesor to przecież także nauczyciel. A Janusz Odrowąż-Pieniążek dla wielu z nas mógłby być i jest nauczycielem, przewodnikiem, postacią...



Janusz Odrowąż-Pieniążek, *Błagam, tylko nie profesor. Wspomnienia i anegdoty*, Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2015, str. 296. ISBN 978-83-244-0400-1.

Wojciech Kaliszewski

## Niemilknące milczenie\*

Słowo jest zapowiedzią milczenia. Otwiera drogę do tego, co bezkresne i nieograniczone. Ale jest też znakiem, który łączy przestrzeń i czas w rozpoznawalny, uporządkowany świat. Słowo to wspólna ludzka własność. Nie tylko kogoś – stosując przenośnię – trzymamy za słowo, lecz przede wszystkim sami trzymamy się słowa, ufając, że nie wypaczy naszych intencji i nie zdradzi tego, co chcemy opowiedzieć. Ostatecznie to ono ma pozostać i dawać świadectwo, poruszać i odnawiać postać świata.

Tych kilka zdań o słowie napisałem po przeczytaniu ostatniego tomu wierszy Elżbiety Cichli-Czarniawskiej. Jej tom *bliżej milczenia* jest wywoływaniem słów, które są najważniejsze, bo tak dobrze układają się w opowieść o czasie przeszłym i teraźniejszym, a zarazem pozwalają człowiekowi dostrzec szczelinę czasu przyszłego. W tych wierszach słowa mają jeszcze władzę nad czasem, oznaczają życie, można je łączyć z rytmem kroków, z miarą gestów. Poza czasem i poza słowami nie ma miary, jest nieobjęta żadnym doświadczeniem nieobecność, „pustoszeje przestrzeń”. To gorzkie stwierdzenie opisuje proces, w którym – po przekroczeniu granicznej linii życia – wszyscy będziemy uczestniczyli. Projekcja ślepej i bezkierunkowej wędrówki wyznacza oś całego tomu. Wiersze w tym tomie układają się w rodzaj dziennika przygotowań do tej ostatniej wyprawy, a właściwie przeprawy przez graniczną linię życia. Czas teraźniejszy rozmywa się w nadciągającej przyszłości. Jesteśmy naprawdę coraz „bliżej milczenia”:

*nikt nie umie powiedzieć  
jaka będzie chwila  
która ostrym błyskiem  
zetrze nieomylnie twój cień  
z pola widzenia*

Ale to, co ostateczne i wspólne wszystkim, może być odebrane i przeżywane tylko i wyłącznie w osobistym, jednostkowym wymiarze. Jak opowiedzieć o tym, co czuje się we własnym wnętrzu? Czy jest słowo zdolne takie doświadczenie udźwignąć i nadać mu wymiar ponadosobisty? Przeżycia i doświadczenia, które budują prywatne historie są właściwie nieprzetlumaczalne. Cichla-Czarniawska porównuje człowieka do wyspy, samotnie zmagającej się z bezkresem morza. To jest pierwsze i jakże obrazowo przedstawione skojarzenie zapisane w tym tomie:

\* Elżbieta Cichla-Czarniawska, *bliżej milczenia*, Lublin 2015.

*jestem więźniem samego siebie  
nie mogę wyjść poza brzegi  
tej najdziwniejszej z wysp  
dom na niej wciąż bezdomny*

Samotność stanowi tutaj znak wyróżniający człowieka spośród innych bytów, jest z nim związana na zawsze. Ale samotność to przede wszystkim stan świadomości. Tylko człowiek wie o tym, że jest samotny. Obroną przed pustką „najdziwniejszej z wysp” jest słowo, które może połączyć nas z kimś drugim. Słowo ma siłę tworzącą wspólnotę, sprawia, że ciemność przestaje być tak bardzo przerażająca. Ale moc słowa także wraz z czasem słabnie. Każdy niesie swoje słowa tak długo, jak długo starcza mu sił. Kiedy je tracimy, nasze słowa stają się także coraz słabsze i coraz mniej słyszalne. Wtedy właśnie jesteśmy jakby „bliżej milczenia”. Zdaje się, że wówczas także cały świat nasłuchuje i sprawdza to nasze mocowanie się z życiem:

*ziarno piasku  
nasłuchuje jak żyjesz  
czy naprawdę wciąż jeszcze  
powracają do ciebie  
pragnienia  
którym chcesz i możesz  
sprostać*

Pomiędzy samotnością „tej najdziwniejszej z wysp” a nasłuchującym „ziarnem piasku” rodzi się napięcie, które podtrzymuje – mimo wszystko – opowieść o życiu. Mieści się w niej to, co składa się na ludzką codzienność. Zmienność tego napięcia, jego amplitudy obecne są także w pamięci każdego z nas. Ona jest jak ekran, który utrwała każdy gest, ruch, słowo, każdy śmiech i płacz. Pamięć jest rozpięta pomiędzy tym, co było, a tym co jest. W jej perspektywie czas ujawnia wyjątkowo dobitnie swoją strukturę. Poszczególne chwile trwają jakby nieruchomo, ale złożone w całość zatracają wewnętrzne granice i zlewają się w wartki strumień unoszący wszystko ku nieznanemu horyzontowi. W tym ruchu, oznaczającym nieuchronne oddalanie się od „przejrzystości poranka” i zbliżanie ku „domniemaniom nocy”, zamyka się nasze życie. To jest porządek egzystencjalny. W jego ramach przeżywamy wszystko to, co nas spotyka od urodzenia aż do śmierci. Dramat ziemskiego przemijania potęguje swoiste przyspieszenie rozwoju historii. Wydarzenia nabierają coraz większej dynamiki, coraz częściej dochodzi do katastrofalnych starć i konfliktów. Rośnie w nas poczucie absolutnego zagrożenia. Czas przestaje działać na korzyść człowieka:

*twój cień wychwytyją drony  
pędzącego powietrza  
ziemia wybucha skargą  
skrzypi  
wyrzuca z siebie krwawe strzępy*

Ta apokaliptyczna wizja, odsłaniająca całkowitą destrukcję doczesnego porządku, jest ostateczna w tym znaczeniu, że poetka nie równoważy jej żadnym pocieszeniem i słowem otuchy. Obrazy śmierci i zniszczenia w wierszach Elżbiety Cichli-Czarniawskiej, pełne dosłowności, są budowane na podstawie przeczuć i lęków, wynikających ze zderzenia życia z tym, co nieodwracalne. Przy czym poetka łagodzi ich bezpośrednią ostrość, posługując się najczęściej figurą drugiej osoby. Ja poetyckie prawie zawsze zasłania się ty, zwracając się do kogoś, kto staje się pierwszoplanowym bohaterem poetyckiej opowieści.

Tom *bliżej milczenia* można czytać jako tom pożegnalny, elegijny, refleksyjny czy filozoficzny. I do każdego z tych wymienionych tutaj typów lektury czytelnik znajdzie klucz. Ale istota przesłania, łącząca te wiersze w spójną strukturę odnosi się – jak myślę – do innej płaszczyzny. Jest nią – zasygnalizowany już wcześniej – problem słowa, czy szerzej słów jako środka zdolnego wyrazić to, co naprawdę przeżywamy i czujemy. Słowa wierszy rodzą się na samotnych wyspach, rodzą się tam, gdzie:

*ślepy instynkt trwania  
ogranicza  
krzyk nowo narodzonych  
brzmi jak złowroga pieśń o przemijaniu  
w wydrążonych czeluściach*

Język musi zatem pokonać te bariery, słowa powinny ułożyć się w zrozumiałe dla każdego tekst, wiersz musi nabrać siły i mocy wspólnej pieśni. Nie jest to proste. Granice samotności są trudne do przekroczenia. To, co układa się w naszym wnętrzu, wywołując wzruszenie, jest zaszyfrowane i niejasne dla drugiej osoby. Być może więc – paradoksalnie – milczenie bardziej zbliża nas do siebie, niż słowa. Milczenie jest bezkresem, mieści w sobie wszystko, trwa niezmiennie ponad czasem i granicami przestrzeni. Milczenie przekracza granice słów. W milczeniu mieści się cała opowieść o naszym życiu. Ono jest otwarte od początku do końca. W tomie ta bezgraniczność ma swój znak w postaci małej litery. Poetka konsekwentnie – nawet w tytule – posługuje się małymi literami, tak jakby chciała zniwelować wszelkie granice, zrównać początek z końcem. Ta graficzna klamra jest więc także klamrą ludzkiego życia – od narodzin do śmierci.

*Wojciech Kaliszewski*

Janusz A. Kobierski

## Polska w okienkach poety \*

Ten tomik poetycki zwraca uwagę treścią. To pierwsze spostrzeżenie. Już pojedyncze wiersze zaciekawiają, a lektura całości utwierdza w przekonaniu, że warto zatrzymać się przy tej książce. Składają się na nią bardzo spójne poetyckie komunikaty o współczesnej historii. Historii trudnej, by nie powiedzieć „paskudnej”, jaką nam nasi „władcy” zafundowali, również w ostatnich latach. Jak autor radzi sobie z tym tematem? Oto wymyślił okienka. To zabieg formalny. I przez nie patrząc, czyni ogląd wybranych wydarzeń, które składają się na obraz Polski. A w niej życie dla wielu, w tym dla młodych szczególnie jest tak beznadziejne, że trzeba uciekać. Właściwie poeta sam czuje się jak imigrant. Patrzy na rodzimą rzeczywistość z dystansem, uważnie i chłodno, z sarkazmem, gorzko, choć chwilami też czule. Czuje się w niej obco. Deformacja różnych dziedzin życia zdaje się tak wszechstronna, że należy uczynić selekcję obrazów. I wyraziście je pokazać. Używa języka prostego, miejscami rubasznego, z rzadka tak kolokwialnego, że można by pewne słowa wykropkować, by nie kalać książki („Okienko na trybuny”, s. 15).

Podmiot liryczny tekstów jawi nam się jako jeden z wielu polskich obywateli, którego miażdżą tryby maszynarii państwowej – dodajmy: nieludzkiej – by wycisnąć z człowieka wszystkie siły, soki, pieniądze... by uczynić życie strasznym.

*Polsko, czy jesteś komornikiem, windykatorem?  
Nazywasz się buble gum lub jakoś inaczej – męczona  
w ustach polityków? Zabrałaś mi dom i rodzinę.  
Zabrałaś książki, biblię, łóżko polowe. Zabrałaś moje  
myśli, nadzieje. Zabrałaś mi sen. Masz wypielgnowane  
dłonie bankiera i złośliwą twarz urzędnika.  
Dlaczego krzyczysz na mnie?*

„Egzekucja”, s. 55

I oczywiście dalej mu wmawiać, w jakże cudownym kraju żyje. Toć to obiecana wyspa zielona, enklawa szczęśliwości. W kontekście ponaddwumilionowej rzeszy młodych, którzy wyjechali „za chlebem” – to parodia wołająca o pomstę do nieba. Poeta umie zrewanżować się decydentom. Oto wiersz ze skrzydelka książki. Przytaczam go w całości, by pokazać warsztat Sławomira Matusza, jego pomysłowość oraz ironię, która potrafi być biczem w użyciu dobrego poety:

\* Sławomir Matusz, *Piosenka o okienkach. Podwórko Szpilmana*, Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2014, str. 72.



*Lichwo, ojczyzno moja. / Muszę cię nazywać inaczej, / by wygarnąć, a nie obrażać. / Nie prze-  
wyższasz jak Olimp, / ale wmcierasz się jak platforma / w płytki szelf naszych mózgow / i dzie-  
cinnych skarbonek. Kraino / podatków, w której rządzą: / potężny bóg Zus – który polknął / „e”,  
schowany w niebie / ubezpieczeń, czyniący / więźniem dobrego i złego. / / Mops – który pomaga, pod  
postacią / dziewczyny tropi, czy masz perłę / po rodzicach, dziecko do adopcji. / / I ten trzeci, który strą-  
ca / ptaki i anioły, sieje grad / i liczy. Liczy i liczy. Kim jest? / / Lichwo, wypiękniałś / jak zostawili  
cię tulający się / teraz gdzieś w Londynie, / / Madrycie, Lizbonie, Paryżu. / Anty-państwo – w któ-  
rym wszyscy / za-chnyeni, za-petleni, po-niżeni.*

„Lichwo, ojczyzno moja” (lewe skrzydełko książki)

Uwaga: tomik został wydany w 2014 roku, we wrześniu 2015 roku pisana jest recenzja. Jeszcze upragnionych zmian nie doświadczamy. Ale czekamy na nie z nadzieją. Czekamy na lepszy czas. Warto przy tej myśli zauważyć, iż w tomiku Matusza czasy się przenikają. A wraz z nimi sfery wpływów poszczególnych epok: polski sarmatyzm, mit mesjanistyczny (np. w wierszu „Projekt nowego hymnu”), bliska już nam idea europejskiej jedności i solidarności. Wszystko na tle religijnym. To ważne, bo uwiarygodnia system wartości, jaki prezentuje poeta.

Świat jest w ciągłym ruchu, jakby w tańcu, tu i tam to widać jak w „Weselu” Wyspiańskiego. Autor może tu wykonać taniec chocholi. I w takim zamyśle, takiej scenerii może powiedzieć, wykrzyzczyć bardzo wiele. Bowiem wybrana konwencja na to pozwala. Tego typu odwołania w drugiej części tomiku są duże.

Sławomir Matusz wydal już wcześniej kilkanaście tomików, ale tym wydanym w serii „Toposu” zaistniał publicznie w skali ogólnopolskiej, dotarł do wielu czytelników. Dobrze, że tak się stało. Ta poezja, choć brzmi bezbronne, ma swoją siłę. I w tym momencie historycznym wpisuje się jako głos ważny, głos kronikarza dziejów, który jest przy tym wszystkim poetą... który patrzy, rozumie, pamięta. Tak, poeta pamięta. Wkłada nierzadko maskę, udaje trochę kłowna, trochę kuglarza słowami, by w znośny sposób pokazać życie „nie do zniesienia”. A ostrze jego ironii tnie skutecznie. Oddziela precyzyjnie fałsz, obłudę, kłamstwo... od prawdy, jak w wierszu „Egzekucja”, s. 55:

*Polsko,*

*jeszcze żyje. A ty wciąż głodna, nienapita. Nachodzisz mnie  
w podniszczonym garniturze za złotówkę, który źle leży  
na twoich ramionach. Z teczką made in China pod pachą,*

*z plikiem kartek, które nie są obietnicą, receptą, żadną poezją.*

*Polsko, nie masz mi co zabrać. Polsko komornicza.*

*Polsko wszeteczna. Polsko konieczna.*

*Z tytułem wykonawczym.*

I chociaż zabiegi autora raczej niweczą zasady *decorum*, to gorzkość i mądrość wierszy wzrusza, bo człowiek łaknie prawdy jak powietrza i światła. A jej wokół

tak mało. A nasze media komu i czemu służą? Odpowiedzmy sobie. Ażeby zaś ogłupić widzów, jest w nich rzeka reklam.

*Jeszcze Polska nie zginęła  
kiedy my pijemy  
Okocim Tyskie Heineken*

„Okienko dla piosenki”, s. 16

Musi też być w nich iście „reżimowa” poprawność, jakżeby inaczej.

*Rząd zadekretował że od dziś  
wszystkie kamery internetowe  
mają pokazywać wyłącznie:*

- piękno narodowych parków przyrody
- piękne centra handlowe
- wypadki gwałty i dużo przemocy
- seks i ekstremalne zawody sportowe
- ikony mężów stanu

„Trzecia piosenka o okienkach”, s. 9

Poeta dotkliwiej od innych odbiera świat. Widzi ostrzej, czuje głębiej. Wyznanie z wiersza dedykowanego pamięci Artura Fryza, świetnego poety i wspaniałego człowieka pokazuje, że nie wszyscy wrażliwi ludzie wytrzymują „piekło” rzeczywistości, w jakim przyszło im żyć.

*Coś we mnie pękło. Straciłem kierunek.  
Nie wiem jak pokonać listopad, przebrnąć  
przez grudzień. Opadające liście przynoszą  
złe wieści. Zimno w domu. Kaleczą mnie  
języki ludzi którzy mieli mnie kochać.  
Nie wiem gdzie jest Polska. Przyszłość  
myli mi się z przeszłością. Patrzę  
w przeszłość i widzę przyszłość.  
Przyjaciele odchodzą, zamiast przychodzić.*

„Nazajutrz”, s. 57

A co na to Pan Bóg?

*Co wiemy o samotności Boga? Nic.  
Co wiemy o samotności poety? Nic.  
Przenicowały się.*

„Nazajutrz”, s. 45

Samotność poety i cierpienie wcale nie muszą być inspirujące dla jego twórczości, mogą być wręcz zabójcze. Lęk egzystencjalny dosięga każdego człowieka i nie jest on tylko spowodowany sytuacją społeczno-polityczną, niepokojem o utrzymanie rodziny, siebie; obawą o realizację własnych planów, w tym wypadku literackich.

*teraz co będzie z tymi wszystkimi  
wierszami które już wcześniej napisałem*

*nieubezpieczony i nie placąc od nich podatku  
czy ich nie spalić*

„Podatek od nienapisanego wiersza”, s. 56

*Bertrandzie – co przetrwać? jak przetrwać?  
czy można unicestwić świat i dalej filozofować?*

*w ruinach wszechświata ktoś nuci piosenkę*

„Okienko dla Bertranda Russela”, s. 35

Maly ptak, goniony przez ptaka drapieżnego, zaczyna śpiewać, a przy tym będąc zwrotniejszym, zaczyna zmieniać tor lotu – i taki manewr, szczególnie ten zadziwiający śpiew w momencie śmiertelnego zagrożenia, myli napastnika i często ocala życie ptaszekowi, który uczynił to resztką sił. Natura jest arcymądra. Wiele możemy się od niej nauczyć. Z podziwem oglądałem ten przyrodniczy film. W wierszu „podwórko Szpilmana” (s. 36) motyw śpiewu pojawia się ponownie: *Polacy i Żydzi/ zapędzeni do getta/ / ich jedyną bronią są/ blaszane łyżki i widelce/ / wtykane w okienko/ / kiedy nie ma co jeść/ trzeba śpiewać.*

Śpiew jawi się jako jedyny ratunek, który ocala wartości. Żyjemy bowiem w ich ruinach. Do takiego stanu rzeczy doszło w majestacie prawa. To niszczy społeczeństwo, niszczy Polskę. I on, bezbronny autor – spisujący jej dzieje – porywa się (jak szalenciec z motyką na księżyc), by zmienić dookoły świat. Na zgłiszczach deptanych wartości trzeba odbudować rzeczywistość lepszą. Jest przekonany, że właściwie trzeba powrócić do starego, sprawdzonego prawa, jego zasad i miar. I to będzie odbudowa wspólnego domu. Zepsuty nasz świat musi być zastąpiony nowym. Jak mało, kiedy ogromnie potrzeba zmian. Burzyciele niech ustąpią, przepukni sędziowie również.

Skąd poeta ma ten imperatyw? On najprościej – jak tylko można – wyjaśnia to w wierszu: *bo prosił mnie o to Pan.*

*Uniknęli kary bo przekupni  
byli sędziowie – dziś*

*uzdrowiony chodzę i spisuję ich czyny –  
bo prosił mnie o to Pan*

„Habit (data)”, s. 60

*Janusz A. Kobiarski*

Adam Lizakowski

## Langston Hughes (1902-1967)

### Najczarniejszy poeta białej Ameryki

#### Wstęp

W Meksyku zauważył, że ojciec stał się zgorzkniałym i cynicznym człowiekiem, dla którego głównym celem w życiu są pieniądze. Ojciec swoje niepowodzenia czy nawet porażki życiowe odreagowywał na biednych Indianach, w ten sam sposób, w jaki biali na czarnych. Nie spodobało się to synowi, powoli tracił szacunek dla ojca i z czasem zaczął go nienawidzić. Miotany wątpliwościami co do oceny rodzica, jego postępowania z drugim człowiekiem, oddalał się od niego. Z czasem niechęć do ojca spowodowała, że zaczęły go nachodzić myśli samobójcze. Cierpiał z tego powodu, nawet ciężko się rozchorował, ojciec stracił w jego oczach szacunek i uznanie, jakim go darzył wcześniej.

Po powrocie z Meksyku i skończeniu szkoły średniej, raz jeszcze postanowił nawiązać z ojcem bliższy kontakt. Pojechał do niego z myślą o rozmowie z nim o swoim życiu, przyszłości, o tym, co chciałby robić. Ojciec przyjął go serdecznie, pochwalił ambicje pójścia na studia na prestiżowy Uniwersytet Columbia w Nowym Yorku, ale nie chciał, aby syn studiował literaturę. Jego marzeniem było mieć syna inżyniera, a nie literata. Różnił się tym od babki, która wychowała wnuka w miłości do ludzi, w szacunku do kultury i tradycji swojej rasy i na pewno nie przeciwstawiałaby się woli studiowania literatury przez wnuka.

Ojciec poety miał trudności w zaakceptowaniu siebie samego z powodu czarnej skóry. Był inteligentnym i ambitnym człowiekiem, który studiował prawo, skończył je, ale ze względów rasowych nie został dopuszczony do egzaminu końcowego. To było między innymi powodem opuszczenia przez niego rodziny i udania się do Meksyku, aby zamieszkać w świecie, „gdzie nie było białych ludzi”. Ojciec „dziwnie nie lubił czarnoskórych” – wspominał wiele lat później syn, dodając: chociaż sam nim był.

Jednak syn uległ ojcu i rozpoczął studia inżynierskie na Columbia w 1921 roku, ale już w 1922 roku porzucił naukę, a swoje zainteresowania ulokował w literaturze i poezji. To był przełomowy moment w jego życiu, zerwał z ojcem i skierował swoje kroki w stronę nowojorskiej murzyńskiej dzielnicy Harlem.

## Początki kariery

Bardzo ciekawie i żartobliwie mówił Hughes o swoich początkach poetyckich we wspomnieniach, które zostały opublikowane przez Raymonda Smitha w eseju pt. „Hughes: Evolution of the Poetic Person”. Wypowiedź ta została zamieszczona w kwartalniku „Literary Imagination” (lato 1974), wydawanym przez Department of English Georgia State University:

*(...) Jak zostałem poetą? Przez przypadek. Wybrano mnie na stanowisko klasowego poety w Cleveland Central High. Byłem Murzynem, Murzyni powinni być muzycalni. W Ameryce większość białych myśli, że wszyscy czarni umieją śpiewać, tańczyć, grać na instrumentach, mają wrodzone poczucie rytmu. Moi koledzy z klasy wiedzieli, że wiersz powinien mieć rytm, to zdecydowało, że jednogłośnie wybrali mnie. Nigdy wcześniej nawet nie przyszło mi do głowy, by być jakimś poetą czy pisarzem (...)*

Rola poety została nałożona na Hughesa przez przypadek, albo – być może – przez stary zwyczaj, tradycję. Był Murzynem w białym społeczeństwie amerykańskim, w którym kolor skóry decydował o wszystkim, czasem nawet i życiu. Pasowanie go na poetę miało wymiar symboliki społecznej. Czarny kolor skóry uczynił z niego artystę i on to zaakceptował. Ten przypadek, a może tylko anegdota, wymyślono ją, aby nadać większego znaczenia poecie. Ona to naznaczyła i utwierdziła go w misji bycia rzecznikiem społeczeństwa o ciemnym kolorze skóry. Hughes zrobił z koloru swojej skóry narzędzie walki z otaczającym go światem białych. To, co dla innych Murzynów było nie do pomyślenia, on wykorzystywał jako swoje atuty. Nie pierwszy raz w dziejach historii literatury poezja wzięła na swoje barki ciężar odpowiedzialności jeśli nie za losy całego narodu, to przynajmniej za mniejszość etniczną.

Z czasem zrozumiał, że bez wykształcenia wiele nie osiągnie. Zdecydował się na powrót na studia. Zapisal się na znany i szanowany, z dużymi tradycjami uniwersytet dla Murzynów Lincoln University w Chester County, w stanie Pensylwania. Dzięki swoim zdolnościom poetyckim dostał stypendium. Szkołę ukończył w 1929 roku, uzyskując tytuł B.A. (bakalarza).

## Debiut

Hughes twierdził, że napisał wiersz „The Negro Speaks of Rivers” (Murzyn mówi o rzekach) (2), gdy miał lat siedemnaście i pisał go w pociągu, gdy jechał przez rzekę Missisipi do ojca w Meksyku. Skończył szkołę średnią, miał lat raczej osiemnaście niż siedemnaście, i wiersz ten został opublikowany w następnym roku (1921) w czerwcowym numerze magazynu „The Crisis”. Do napisania wiersza zainspirowały go wielka rzeka, zachodzące słońce nad jej wodami i poezja Carla Sandburga. Wiersz podobno został napisany na odwrotnej stronie listu, który otrzymał od ojca z Meksyku.

## Murzyn mówi o rzekach

*Znałem rzeki:  
 Znałem rzeki stare jak świat i starsze  
 od nurtu krwi w ludzkich żyłach.  
 Moja dusza rozrasta się głęboko jak rzeka.  
 O wschodzie słońca kąpałem się w Eufracie.  
 Wybudowałem chatę nad Kongo,  
 a ono kołysało mnie do snu.  
 Patrzyłem na Nil, wznosiłem nad nim piramidy.  
 Słyszałem śpiew Missisipi, gdy  
 Abraham Lincoln przybył do Nowego Orleanu,  
 widziałem dno muliste rzeki,  
 złączące się o zachodzie słońca.  
 Znałem rzeki:  
 Stare, mroczne rzeki.  
 Moja dusza rozrasta się głęboko jak rzeki.*

W czerwcu 1926 roku Langston zadedykuje ten wiersz redaktorowi „The Crisis” – W.E.B. Du Bois – człowiekowi o bardzo barwej osobowości.

Nim poeta osiągnął dwudziesty piąty rok życia, w 1926 roku, opublikował pierwszy tomik pt. „The Weary Blues”. Po wydaniu drugiego tomiku pt. „Fine Clothes to the Jews” (1927), został obwołany Poetą Laureatem of the American Negro. Podczas wizyty na Haiti w roku 1931 przedstawiono go wybitnemu haitańskiemu poecie Jacques’owi Roumain (później Hughes został tłumaczem jego twórczości), który zwracał się do niego jak do największego murzyńskiego poety, zaszczycającego swoją obecnością Haiti.

### Początki kariery poetyckiej

Wczesne dorosłe życie poety było barwne i dynamiczne. Sporo podróżował, jako członek załogi na statku *S.S. Malone*, na którym pracował jako chłopiec na posyłki. Statek płynął do Zachodniej Afryki, po drodze zawinął do trzydziestu portów, w tym także do Europy. W 1923 roku poeta zszedł z pokładu i na pewien czas pozostał w Paryżu, gdzie pracował w kuchni na zmywaku w klubie nocnym *Le Grand Duc na Rue Pigalle* (3). Później przeniósł się do Anglii, z której w 1925 roku powrócił do Ameryki, do matki, która mieszkała w Waszyngtonie. Znalazł tam pracę jako chłopiec hotelowy w hotelu *Wardman Park*. W hotelu tym gościł poeta Vachel Lindsay, który był w tym czasie u szczytu sławy.

Po wieczorze poetyckim Lindsaya w hotelowej sali koncertowej, Langston odważył się podejść do niego i wręczył mu trzy swoje wiersze. Były to „Jazzonia”, „Negro Dancers” oraz „The Weary Blues”. Jakie było jego zdziwienie, gdy następnego poranka dowiedział się z lokalnej gazety, że uznany poeta odkrył poetycki talent w hotelowym chłopcu. Poszedł do pracy, a tam czekali na niego reporterzy. Zrobili mu upozorowane zdjęcia, jak stał z tacą brudnych naczyń na środku luksusowego hotelowego pokoju. I tak rozpoczęła się jego kariera. Przed opuszczeniem miasta wielki poeta pozostawił notatkę, na której było napisane: *Nie daj sobą pomiatać. Ukryj się i pisz; Ucz się i myśl.*

Hughes posłuchał Lindsaya i przez kilka lat wykonywał wiele prac dorywczych, ale także pisał i wydał dwa ważne tomiki wierszy: „The Weary Blues” (1926) i „Fine Clothes to the Jews” (1927). Oba zostały dobrze przyjęte z wyjątkiem niektórych murzyńskich środowisk klasy średniej, które były do niego wrogo nastawione. Środowiska te twierdziły, że poezja Langstona to „śmiecie”, opisujące życie czarnych, znajdujących się na samym dole drabiny społecznej.

### The Harlem Renaissance

Przygodę z artystami z Harlemu rozpoczął Langston w tym samym roku, w którym podjął studia na Columbia University, w 1921. Jeśli czołowym przedstawicielem Renesansu Harlemu był Du Bois, to na pewno Langston Hughes był głównym i najzdolniejszym poetą tego ruchu. Obaj bardzo gorąco angażowali się w działalność na rzecz społeczności murzyńskiej. Pisali poezję na wysokim poziomie, chociaż Hughes wiele lat później mówił o sobie jako o poecie ludowym, uginając się pod prężierzem krytyki jego pobratymców ze sfer średnich i wyższych, a także krytyki akademickiej. Świat akademicki był przeciwko poecie, nie znajdując w jego poezji wartości uniwersalnych, nie rozumiejąc jej znaczenia, nawet pomniejszając znaczenie poety, krytykując go za pływaczny intelektualizm, jakby celem poety czy poezji było zastąpienie wierszem filozofii czy metafizyki, nie wspominając już o religii i kapłanach. Ta sama krytyka literacka – po jego śmierci – okrzyknęła go największym czarnym poetą Ameryki, czarnym Waltem Whitmanem.

Dzięki Du Bois wielu murzyńskich młodych poetów rozpoczynało swe kariery literackie. To on na początku XX wieku pełnił rolę murzyńskiego guru w ruchu tzw. Harlem Renaissance, do którego należeli m.in. Wallace Thurman, Countee Cullen, Jean Toomer, Claude McKay, Zora Neal Hurston, Jessie Fausset i inni mniej lub bardziej dzisiaj znani twórcy. Du Bois pierwszy zwrócił uwagę na piękno i bogactwo folkloru murzyńskiego, na podwójną świadomość, podwójną duszę, podwójne myśli, podwójne niepowodzenia w jednym celu. Pisał o tym w eseju pt. „The Souls of Black Folk” (1903). Do tych

samych myśli powrócił 24-letni L. Hughes w swoim sławnym eseju pt. „The Negro Artist and the Racial Mountain” (1926). opublikowanym w „The Nation”. Esej ten z czasem stał się manifestem artystów z Harlem Renaissance.

Hughes otwiera swój esej takim oto stwierdzeniem:

*Jeden z najbardziej obiecujących młodych poetów murzyńskich powiedział mi kiedyś: „Chcę być poetą – nie murzyńskim poetą”, co oznacza, jak sądzę, że „chcę pisać jak biały poeta”, a to oznacza w podświadomości, że „chciałby być białym poetą”.*

I kontynuuje:

*To jest wielka góra, stojąca na drodze do naturalnej, prawdziwej sztuki murzyńskiej w Ameryce – pragnienie wyścigu do bieli, pragnienie wiania swojej odrębności rasowej do amerykańskiej formy standaryzacji, aby być jak najmniej Murzynem, a jak najwięcej Amerykaninem, jak to tylko jest możliwe.*

Po tych słowach można lepiej zrozumieć Hughesa. W tej deklaracji bardzo zasadniczo odnosił się do swojego koloru skóry i swojej murzyńskiej kultury, tworzonej w Ameryce z wielkim trudem przez trzysta lat. Poeta uważał, że odkrywanie własnych korzeni uczyni amerykańskich Murzynów wolnymi ludźmi, wolnymi nie tylko fizycznie, ale i mentalnie, i ta standaryzacja Ameryki, wszystkich i każdego, nie może dotyczyć jego rasy, bo Afroamerykanie są inni niż pozostali mieszkańcy USA. W eseju tym sporo uwagi poświęcił średniej warstwie murzyńskiej, którą obarczył tym, że to ona w szczególności jest odpowiedzialna za tradycję i kulturę swojej rasy, ale warstwa ta nie rozumie, nie zdaje sobie sprawy z wagi tożsamości, stąd też misja artystów murzyńskich, aby zwrócić uwagę tych, co odchodzą od murzyńskości, bo ona jest atrakcyjna i duchowo, i intelektualnie.

## Zapatrywania polityczne

W latach 1932-1933 Hughes przebywał wraz z grupą murzyńskich intelektualistów w Rosji Sowieckiej na zaproszenie Stalina. Miał tam powstać propagandowy film o tym, jak bardzo są gnębieni czarni w Ameryce, ale pomysł nigdy nie został zrealizowany. Z tego okresu pochodzą wiersze „Good Morning Revolution”, czy „Good Morning Stalingrad”.

*Żegnaj,  
Panie Boże Jezu Chryste Jebowo.  
Spadaj stąd teraz,  
Zrób miejsce dla nowego faceta bez żadnej religii,  
Prawdziwego faceta o nazwisku  
Marks Komunista Lenin Chłop Stalin Robotnik Ja  
„Goodbye Christ” (Żegnaj Chrystusie)  
(...)*



*Good morning, Stalingrad!  
 Jesteś pół świata stąd lub dalej,  
 Ale kiedy twoje działa brzmia,  
 One brzmia dla mnie –  
 Dla każdego,  
 Kto chce być wolny.*

„Good Morning Stalingrad” (Dzień dobry Stalingradzie)

Wiersze te przypominają rewolucyjną poezję rosyjską, chociażby Majakowskiego. Z jego twórczością poeta amerykański musiał się zetknąć w czasie pobytu w Moskwie albo gdzieś indziej w Rosji Sowieckiej. Stąd też zapewne wpływ tej poezji na jego twórczość z tego okresu. Przebywając w ZSRS, Langston dużo podróżował po azjatyckiej części sowieckiego imperium, w Turkmennii zetknął się z węgierskim komunistą Arturem Koestlerem, z którym się nawet zaprzyjaźnił. Zanim powrócił do Stanów, podróżował także po Chinach i był w Japonii. Bardzo ciekawa jest jego twórczość z lat trzydziestych i czterdziestych, tj. z okresu II Wojny Światowej i tuż po niej. Poezja, która wtedy powstawała, miała smak ideologii lewackiej.

W latach trzydziestych poeta podróżował po Europie, był korespondentem wojennym w Hiszpanii (dla „Baltimore Afro-American Newspaper” i innych czasopism murzyńskich), odwiedził Francję, Włochy, Rosję, Chiny, Japonię. Spotykał się z wieloma wybitnymi ludźmi pióra, byli to m.in. Pablo Neruda, W.H. Auden, Berthold Brecht czy Ernest Hemingway. W tym czasie tworzył poezję społecznie zaangażowaną, nie stronił od polityki, na przykład napad armii niemieckich na Rosję Sowiecką porównywał do prześladowania czarnych przez białych. W jego poezji z tego okresu daje się odczuć pogroźkę czy ostrzeżenie dla amerykańskiego imperializmu, aby uważał, bo jest jeszcze inna siła na świecie, która weźmie w obronę biednych i słabych, prześladowanych i wykorzystywanych.

W komunistycznej czerwonej gwiazdce widział nie tylko zbawienie dla ludzkości, ale i dla swojej rasy. Twórczość jego była często publikowana w piśmie zbliżonych do komunizmu, a nawet finansowanych przez komunistów. Hughes nie był zwolennikiem udziału Murzynów w armii amerykańskiej, walczącej na frontach drugiej wojny światowej, uważał bowiem, że czarni obywatele Ameryki są za bardzo dyskryminowani w samej Ameryce, w szczególności na Południu, są pozbawieni wielu praw obywatelskich. Dlaczego by mieli walczyć w szeregach armii amerykańskiej, walczyć o wolność innych, skoro oni sami w ich własnym kraju nie czują się wolni. Wiele jego prac mniej znanych lub już zapomnianych a napisanych w duchu komunizmu, gdy był zaangażowany politycznie, zostało zebranych w dwa tomy, które zostały wydane przez oficynę wydawniczą University of Missouri.

Jego radykalizm osłabił w latach pięćdziesiątych. W 1953 roku przed komisją senatora Josepha McCarthy'ego w Waszyngtonie publicznie sam potępił się za okres błędów. Nie uchroniło go to przed atakiem prawicy przez szereg następnych lat.

## Zakończenie

Langston Hughes zmarł 22 maja w roku 1967 w Nowym Yorku. Zostawił ponad tuzin tomików, poza poezją i prozą, uprawiał także dramat, pisał musicale, piosenki i wierszyki dla dzieci, był dziennikarzem. Jego twórczość była publikowana w wielu antologiach i tłumaczona na wiele języków. Hughes jako zjawisko poetyckie funkcjonuje w świadomości społeczności murzyńskiej, jako poeta narodowy.

Jest on uznany za nowego czarnego Walta Whitmana, z którym bardzo dużo go łączyło: od Whitmanowskiego spojrzenia na Amerykę do zagadnień społeczno-moralnych, przechodzących w zaangażowane społecznie. Wielkim jego atutem poetyckim była przenikliwość w obserwacji życia, duże wyczuwanie społeczeństwa, poczucie człowieczeństwa, potoczny język, zrozumiały dla wszystkich, o silnym zabarwieniu indywidualizmu. Jego ballady bluesowe, opiewające losy czarnych, są wzruszającym dokumentem niedawnej historii czarnej Ameryki, która ma swoją kontynuację.

Whitmanowską postawę poetycką godnie reprezentował także wspomniany już Carl Sandburg, wielki wzór poetycki dla Hughesa. Jak dla Whitmana weną poetycką była fascynacja światem i życiem, Ameryką i demokracją amerykańską, której był piewą, a dla Sandburga – Chicago i Środkowy Zachód Ameryki, tak dla Hughesa weną poetycką była murzyńskość. Był Murzynem, który szukał swojego miejsca w świecie białego człowieka, który nie mógł i nie chciał pogodzić się z byciem obywatelem drugiej kategorii. Jego przygoda z lewicą amerykańską czy nawet otarcie się o komunizm, to nic innego, jak tylko forma protestu i cichych nadziei na lepsze jutro. Obaj poeci, Sandburg i Hughes – byli wiernymi uczniami starego nauczyciela Walta Whitmana – barda, poety bratającego się z prostym ludem.

*Adam Liżakowski*

## Źródła

(1) American Literature. The Makers and the Making. Book D. 1914 to the Present. R.W.B.Lewis, Robert Penn Warren, St. Martin's Press, New York, 1974.

- (2) *The Collected Poems of Langston Hughes*. Arnold Rampersad. Vintage Classics. New York, 1995.
- (3) *Toward the Open Field*. Melissa Kwasny. Wesleyan University Press. Middletown Connecticut. 2004

---

**Dr Milutin Djuričković**, poeta, prozaik, krytyk literacki, nauczyciel akademicki, autor książeczek dla dzieci i dziennikarz. Urodził się w 1967 roku w Dečanach (Kosovo). Studia ukończył na Uniwersytecie w Priştinie, a doktorat uzyskał – po obronie pracy z zakresu współczesnej literatury serbskiej – na Uniwersytecie Sarajewskim w 2009 roku. Od roku 1996 mieszkał w Sarajewie, obecnie w Belgradzie. Jest nauczycielem akademickim. Tłumaczony na wiele języków i prezentowany w licznych antologiach, ma duży dorobek twórczy: naukowy, krytycznoliteracki, poetycki i prozatorski.



## Dr Milutin Djuričković

# Liryczny wehikuł czasu

### „Życie w wierszu” – wiersze wybrane Grzegorza Łatuszyńskiego

Grzegorz Łatuszyński jest wielowarsztatowym twórcą, pisarzem i tłumaczem, dziennikarzem i antologistą, w którego dorobku są różnorodne ważne tytuły nie tylko z polskiej, ale i z ex-jugosłowiańskiej literatury. Jest laureatem znaczących nagród i członkiem wielu stowarzyszeń twórczych krajowych i zagranicznych. Pracował jako lektor polskiego języka na Uniwersytecie Belgradzkim, przez kilka lat był korespondentem akredytowanym z Jugosławii, a następnie attaché kulturalnym. Zasłużony jest jako tłumacz wielu serbskich, chorwackich, czarnogórskich, macedońskich, bośniacko-hercegowińskich i słoweńskich pisarzy na język polski, a trzeba do tego dodać również kapitalne antologie poezji ze wspomnianych literatur narodowych, które przyjęte zostały z wielką uwagą i zyskały rozgłos medialny. Jego dorobek przekładowy i twórczość jest ważną kłamrą spinającą naszą i polską literaturę.

Nakładem Stowarzyszenia Tłumaczy Literackich z Podgoricy ukazał się wybór poezji Grzegorza Łatuszyńskiego *Życie w wierszu*, a poza autorem jako tłumacz z języka polskiego pojawia się tu Pero Mioč. Ta niewielka, ale drogocenna i wartościowa książka ukazuje wszystkie metamorfozy twórcze i fazy, przez które przechodził poeta w czasie swojej wieloletniej pracy. Poezja ta, pisana wolnym wierszem, posiada wyrazisty wymiar narracyjny. Niektóre wiersze opatrzone są datami.

Już na pierwsze wejrzenie dostrzec można określone echa i wpływy, względnie cytaty i elementy metatekstualne, które częściowo przenikają całą tę złożoną i niezwykłą poezję. Wiele wierszy, co warto zaznaczyć, powstawało na terenie Jugosławii, gdyż autor był inspirowany naszą historyczną przeszłością, tradycją, folklorem, ale i współczesną chwilą społeczno-polityczną. Wszystko to wpłynęło na liczne retrospekcje i wspomnienia (*Atos, Zgiełk, Korčula, Cetinje*), jak też wiersze poświęcone Crnjanskiemu, Raičkovićowi i innym.

Jednocząc poezję z życiem i traktując jako swój los osobisty, co również tytuł wyraźnie sugeruje, poeta wyraża wierszami różnorodne nastroje liryczne, idee i odniesienia o charakterze etycznym i uniwersalnej wymowie. Retrospekcje poetyckie i spojrzenie wstecz z natury rzeczy wymagają elementów rzeczywistości, jak też odwołań do określonych faktów historycznych z bliższej i dalszej przeszłości (Rzymianie, Wenecja, Bizancjum, Austro-Węgry, Imperium Osmańskie, I i II wojna światowa). W takiej strukturze semantycznej wiersz staje się opowieścią, a relacja liryczna stopniowo przechodzi w epicką z elementami dramaturgii, odniesień osobistych i obrazu

psychologicznego (*Šibenik, Rovinj, Atoš*). Te i inne wiersze obejmują obiektywne odczucia oraz widzenie świata, konkretnie mówią o określonych wydarzeniach historycznych i elementach mitycznych. Podkreślanie relacji kosmicznych i uniwersalnych w dużym stopniu rzutuje na złożoność poetyki Grzegorza Łatuszyńskiego, który nie ciąży ku przesadnym abstrakcjom i obserwacjom duchowym.

W niepowtarzalny poetycki sposób autor transponuje wszystko to, co widział, przeżył i odczuł, tak że konkretyzacja liryczna świata pozornie przypomina opis podróży lub dziennik intymny, prowadzony w różnych miejscach i w różnym czasie. Chwilami rozpoetyzowany i emocjonalny, a chwilami oszczędny i filozoficznie wyważony, poeta tworzy dość rozczłonkowane spektrum tematów i motywów, które w pojedynczych wierszach cechuje reporterski sposób przedstawiania, względnie szukania odpowiedzi na podstawowe pytania dziennikarskie: kto, co, gdzie, jak i dlaczego? Ta metoda twórcza pozwala mu osiągnąć harmonizację asocjacyjności z metaforycznością, szczególnie widoczną w obrębie języka i jego warstw fonicznych.

Zwrócenie się ku przeszłości, przywoływanie tego, co było, jest jedną z podstawowych poetycko-stylistycznych cech tego wyboru, w którym bohater liryczny staje się swojego rodzaju kronikarzem. W tej poezji liczne toposy, symbole, tematy i motywy pełnią funkcję lirycznego ożywiania historii, względnie służą próbom aktualizowania czasu teraźniejszego i spojrzenia na ten czas z kilku perspektyw (historycznej, cywilizacyjnej, etycznej, socjologicznej, osobistej). Ta „rzeczywistość psychiczna”, jak by powiedział Gaston Bachelard, jest tu wyraźnie dominująca i akcentowana, ale to wcale nie znaczy, że ogniskowana jest wyłącznie na jednym wybranym przedmiocie i doświadczeniu osobistym. Można powiedzieć, że na pierwszym planie jest retrospektywa liryczna, przy czym stosunek poety do świata odbierany jest jako autentyczny i bez metaforycznych projekcji.

Recenzent Miraš Martinović podkreśla, że ta poezja, pozornie tylko jest prosta, stworzona z sytuacji codziennych i spraw zwykłych, gdyż spod owego rzeczywistego i zwykłego, wylania się niewidzialny, ale wyraźnie wyczuwalny, tajemniczy świat poetycki, któremu przyrównanie do życia daje siłę i sugestywność, przetwarzając wszystko, czego dotknie, w formuły magiczne. „Łatuszyński jest osobnym poetą. Pod każdym względem zasługuje na ten epitet, którym się obdarza tylko nielicznych” – stwierdza Martinović.

Z szeregu wierszy o wyrównanym, antologicznym, rzec można, poziomie, swoją wyjątkowością i pięknem metaforycznym wyróżniają się poza innymi następujące: *Do dziś się zmagam, Tulaczy los, Codziennosc, Chwila, W tamaryszkach szumi deszcz, Wylączęm telewizor* itd. Łatuszyński jest poetą dojrzałym, o silnym i niepowtarzalnym wyrazie, bogatej symbolice i mocnych opisach, które są w zgodzie z nowoczesną poetyką i współczesnymi tokami poezji światowej.

Przełożył G.L.

Marek Ławrynowicz

## Książka o Ludmile Marjańskiej

Dla środowiska skupionego w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich Ludmila Marjańska była ważną postacią. W latach 1993-1996 pełniła funkcję Prezesa SPP i pozostawiła po swojej kadencji dobre wspomnienia. Dziś w dziesięć lat po śmierci autorki „Żywicy” w środowisku literackim, w radiowej Trójce i w innych miejscach, gdzie została zapamiętana, nie sposób znaleźć kogoś, kto by jej nie wspominał z sympatią. Dlatego nasze środowisko z radością przyjęło wydaną staraniem Muzeum Częstochowskiego (to rodzinne miasto poetki) pracę zbiorową „O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje wspomnienia”.

Redaktorkami książki są panie Elżbieta Hurnikowa i Iwona Skrzypczak-Galkowska.

W środku znajdujemy szkice wielu znanych postaci naszej literatury m.in. Marii Jentys-Borelowskiej, Iwony Smolki, Joanny Papuzińskiej-Beksiak, Stanisława Dłuskiego, obu redaktorek, a także wspomnienie córki Marii Marjańskiej-Czernik. Znacząca, choć początkowo niedoceniana twórczość poetycka Ludmily Marjańskiej, doczekała się w tej książce wszechstronnego i pogłębionego omówienia. A najważniejsze, że przywołała ona wspomnienie skromnej, czarującej starszej pani o nienaganych manierach, która w wolnych chwilach pisała piękne i mądre wiersze.

*Marek Ławrynowicz*

„O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia”, praca zbiorowa pod redakcją Elżbiety Hurnikowej i Iwony Skrzypczak-Galkowskiej, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015, s. 168.



## Maria Jentys-Borelowska

### „Ach, tylko być...”

O życiu i twórczości Ludmiły Marjańskiej\*

Motto:

*Ach, tylko być –  
zanurzyć się w przestrzeni  
ciemniejszego nieba  
Trwać nie odczuwając  
nic prócz istnienia  
Być  
cząstką ciemności*

Urodziła się 26 grudnia 1923 roku w Częstochowie, mieście, którego jedna część była opromieniona blaskiem Jasnej Góry, druga zaś kryła się w cieniu komina huty „Rafał”. Ta pierwsza, jasna, „lepsz” część była inteligentka, druga, „gorsza” – robotnicza, przemysłowa. Rodzice Ludmiły mieszkali w „lepszej” Częstochowie, przy tak zwanej Trzeciej Alei (aleja Najświętszej Marii Panny dzieliła się na trzy odcinki), w domu numer 55, w dużym lokalu, który obejmował pomieszczenia mieszkalne oraz kancelarię adwokacką ojca przyszłej poetki. Pytana dziś o miasto dzieciństwa i młodości Ludmiła Marjańska mówi, że wywarło na nią ogromny wpływ, z czego jednak zdała sobie sprawę dopiero po latach. Wtedy niezwykłość Częstochowy była dla niej codziennością, którą chłonęła zmysłami, bezrefleksyjnie. Pielgrzymki, zwane wówczas kompaniami, które od świtu do zmierzchu przechodziły Aleją, niekiedy na klęczkach, powiewając feretronami i śpiewając *Ave, ave, Maria*, stanowiły po prostu element pejzażu. Dzielnica zaś straszliwej żydowskiej nędzy, a zarazem egzotyki, zaczynała się u wylotu Pierwszej Alei, a więc tuż, tuż. Mężczyźni w jarmulkach, z pejsami nierzadko przychodzili do kancelarii ojca, gdyż bronili ich bezpłatnie (ku niezadowoleniu części adwokackiego środowiska), patrzyła więc na nich jak na wszystkich innych. Byli, należeli do świata,

\* Fragment pierwszego rozdziału książki pt. *O Ludmile Marjańskiej. Szklíce – interpretacje – wspomnienia*, pod redakcją Elżbiety Hurnikowej, Iwony Skrzypczyk-Galkowskiej. Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015.

który ją otaczał, tworzyli jego integralną część. Nie zastanawiała się nad ich odmiennością.

Z czulą uwagą za to spoglądała na rodziców. Ich portrety nakreśliła w dwu powieściach przywołujących czasy jej młodości: *Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny* (1985) i *Życie na własność* (1988). A w rozmowie ze mną – długiej rozmowie przeprowadzonej, z użyciem mikrofonu i magnetofonu, w mieszkaniu Państwa Marjańskich przy ulicy Raszyńskiej – tak wspominała matkę i ojca, a także babkę:

– Było to dziwne, można powiedzieć, bardzo trudne małżeństwo. Matka, Maria, była wspaniałą, mądrą, wychowaną po staroświecku kobietą. Pochodziła z Pomorza, które za czasów jej panieństwa było jeszcze pod zaborem pruskim. Ojciec, częstochowianin, czyli Kongresowiak, był z zaboru rosyjskiego. Jako dziecko nie mogłam pojąć, dlaczego wciąż się spierają o to, kto lepszy: Rosjanie czy Niemcy. Urodziłam się przecież w wolnej Polsce, w roku 1923... Pierwszej lekcji historii udzieliła mi babcia z Chelmy pod Toruniem. Ilekroć do niej przyjeżdżałam na wakacje, chłopcy biegali za mną, wołając: „Kongresowa, Kongresowa”. Nieświadomej spraw przeszłych, babcia wyjaśniała znaczenie tego „przezwiska”. Zarówno ona, jak i matka świetnie знаły język niemiecki, ciotka Konstancja zaś (matka miała siedmioro lub ośmioro rodzeństwa) wyszła za Niemca, urodziła mu dwóch synów i zmarła (piszę o niej w poemacie *Przed wiekami, przed chwila*) [...]

Mama była oczywiście katoliczką. Razem ze swoją matką przyjeżdżała na pielgrzymki do Częstochowy. Podczas którejś z nich poznała swojego przyszłego męża, wówczas młodziutkiego studenta prawa. Pokochali się miłością „od pierwszego wejrzenia” i bardzo szybko pobrali. Ślub odbył się potajemnie, ponieważ zakochany młodzieniec wykradł pannę z internatu zakopiańskiej Szkoły Gospodarstwa Domowego, gdzie wbrew jej woli umieścili ją rodzice. Młodożeńcy wyjechali potem do Petersburga, gdzie mój przyszły ojciec miał kontynuować studia, ale tam tak balowali, że końca tym studiom nie było widać, wrócili więc do Częstochowy na żądanie ojca mojego ojca. Matka została niebawem „panią mecenasową”. Nie miała wykształcenia, ale była bardzo mądra życiowo.<sup>1</sup>

Matce zawdzięczała przyszła poetka praktyczne przygotowanie do życia, przede wszystkim zaś przysposobienie do samodzielności, ojcu – imię oraz umiłowanie poezji.

<sup>1</sup> Cytowane wypowiedzi są fragmentami obszernej, autoryzowanej rozmowy, jaką przeprowadziłam z Poetką w roku 1998, w mieszkaniu przy ul. Raszyńskiej 15 m. 44, które zajmowała z mężem Januszem Marjańskim. Taśma magnetofonowa z nagraniem rozmowy oraz oparty na niej tekst znajdują się w moim posiadaniu, kopie przekazałam Marii Marjańskiej-Czernik, córce Poetki, oraz Pani Iwonie Skrzypczyk-Galkowskiej z Częstochowy. Wszystkie dalsze wypowiedzi autorki Żywicy pochodzą z tej samej rozmowy, zasadnicza zaś treść szkicu – treść biograficzna – to w znacznej mierze esencjonalny „wyciąg” z owej rozmowy.



– Pobierając, jako Kongresowiak, nauki w szkole rosyjskiej – wspomina w przytoczonej rozmowie Ludmiła Marjańska – przyszyły mój ojciec rozmawiał się w rosyjskiej literaturze, i to tak bardzo, że swojej pierwszej (i jedynej) córce, czyli mnie, nadal imię bohaterki poematu Aleksandra Puszkina *Ruslan i Ludmiła*. Ale zawsze kochał poezję. Co roku dostawałam od niego na Gwiazdkę tom wierszy. Lubiałam te książeczki, wydawane nakładem Jakóba Mortkowicza. Czytałam je z wielkim upodobaniem.

W taki to sposób ojciec, mecenas Ludwik Mężnicki, wprowadził córkę w świat poezji, gdy tylko nauczyła się czytać, wyrobił w niej nawyk czytania wierszy, „zaraził” swoją wrażliwością na piękno słowa i potrzebą stałego obcowania z tym pięknem.

– Fascynowali mnie skamandryci – zwierza się Ludmiła Marjańska – głównie Tuwim. Byli żywiołowi. Pod ich wpływem pewnie pisywałam wiersze dla ojca i ojciec był moim pierwszym krytykiem. Był ze mnie dumny, ale ja tego pisania nie traktowałam poważnie. Pochlaniało mnie bez reszty życie, ono zawsze było ważniejsze. Ale widać miałam jednak jakąś skłonność do poezji, jakąś potrzebę pisania, skoro sięgałam po pióro. W wieku dwunastu lat opublikowałam w „Gazecie Częstochowskiej” rymowaną zagadkę.

Grozę wojny poznała przyszła autorka *Żymicy* w wieku siedemnastu lat. We wrześniu 1939, kiedy miała rozpocząć czwartą klasę gimnazjalną, życie jej – tak jak życie wszystkich rodaków – legło w gruzach. Porażona patrzyła na wjazd wojsk niemieckich w czwartym dniu tego miesiąca do Częstochowy. Budynek naprzeciwko domu, w którym mieszkała, został zajęty przez Gestapo, a mieszkańcom miasta kazano wyjść na place. Pierwszą ofiarą hitlerowskiego bestialstwa padł czternastoletni harcerz „uzbrojony” w finkę. Po odesłaniu kobiet i dzieci do domów Niemcy rozpoczęli rzeź. Ojciec Ludmiły ocalał pod zwalami martwych ciał. Dzień 4 września 1939 przeszedł do historii Częstochowy jako „krwawy poniedziałek”. W całym mieście Niemcy wymordowali wtedy ponad trzysta osób. Mężczyzn, którzy wyszli z masakry cało, pognano do koszar. Ojca trzymano przez trzy doby w piwnicy, w wodzie, która sięgała mu do kolan. Wrócił powłócząc nogą, częściowo sparaliżowany. Zmarł w roku 1949.

Nastala okupacja, a z nią wielka bieda. Panna Ludmiła, władająca językiem niemieckim, podjęła pracę w sklepie płytowo-radiowym. Któregos dnia nieznamą kobietą, podającą się za żonę polskiego oficera, zaproponowała jej przystąpienie do konspiracji. Zgodziła się bez wahania. Pałała żądzą odwetu. Narodowa Organizacja Bojowa, wcielona potem do AK, skierowała ją, wraz z innymi dziewczętami, na kurs pielęgniarski. Wkrótce została sanitariuszką, a zaraz potem drużynową z zadaniem werbowania koleżanek do NOB. W AK była sekretarką kapitana.

– Był to dla nas rodzaj harcerskiej zabawy – wspomina poetka – przygody: my im pokażemy! Mimo że na naszych oczach zastrzelono tamtego harcerza, nie mieliśmy poczucia zagrożenia. Za wszelką cenę chcieliśmy coś zrobić. A jednak tak wielu z nas zginęło!

Jeszcze podczas okupacji (po ukończeniu edukacji gimnazjalnej w roku 1942 na tak zwanych tajnych kompletach) rozpoczęła Ludmiła Marjańska studia na Wydziale Dyplomatyczno-Konsularnym tajnej Akademii Nauk Politycznych w Częstochowie, która akurat tam rozpoczęła działalność. Zdążyła wiele egzaminów – na które jeździła do Warszawy – między innymi u profesorów Jerzego Lotha i Henryka Mościckiego. W roku 1946 próbowała dostać się do Wyższej Szkoły Dyplomatyczno-Konsularnej, ale tamtych okupacyjnych zaliczeń jej nie uznano. A potem ktoś wybił jej z głowy dyplomację jednym wymownym zdaniem: „W tym systemie politycznym chcesz iść do służby dyplomatycznej?”. Nie od razu pojęła, o co chodzi. Dopiero w latach pięćdziesiątych, gdy nastąpiły te „straszne – jak je określa – zmiany”. Zresztą wkrótce została żoną i matką.

Przyszłego męża, Janusza Marjańskiego, poznała w Częstochowie. Gdy ona chodziła do gimnazjum żeńskiego, on uczęszczał do męskiego. Spotykali się co dzień na drodze do swych szkół: przed ósmą, pod zegarem. Oto jak we wspomnieniu Poetki wyglądały początki tego uczucia, które przetrwało z górą pół wieku:

– Obowiązywał wtedy jeszcze taki podział i sprzyjał romantyzmowi naszych pierwszych miłości, bośmy nie mieli okazji do poznawania swoich wad. Młody blondyn każdego ranka szedł z Trzeciej Alei, gdy ja szłam z ulicy Kielińskiego i spotykaliśmy się przed ósmą pod zegarem. Zdejmował uczniowską czapkę i kłaniał mi się szarmancko, ja się odklaniałam, i wtedy był dobry dzień. A gdy zdarzyło się, żeśmy się nie spotkali, był zły dzień. A potem na zabawie harcerskiej napisał do mnie „sekretnik”: „Czy mogę do koleżanki podejść?”. Odpisałam: „Proszę, jestem z koleżankami”. Wtedy on: „Ja też jestem z kolegami”. Podeszli wszyscy i tak się poznaliśmy. W parku, na potańcówce. Pobraliśmy się po wojnie.

W latach 1939-1945 Janusz Marjański przeżył całą typową polską historię wojenno-okupacyjną: walczył pod Warszawą, dostał się do niewoli, uciekł, schwytany przesiedział pół roku w obozie karnym, po powrocie poszedł do partyzantki, a następnie został uwięziony za przynależność do AK. Gryps z łódzkiego więzienia, o którym Poetka wspomina w wierszu *Światło*, dotyczył tego właśnie faktu. Ślub odbył się 28 lipca 1945 roku, gdy tylko Janusz Marjański wyszedł na wolność. Zaraz potem młodożeńcy – dzięki hojności rodziców – udali się do Zakopanego, gdzie Janusz miał podreperować zdrowie, nadszarpnięte nabytą w obozach i więzieniach gruźlicą. Ledwo wrócili, zmarła matka Ludmiły. Dwa lata później przyszła na świat córka, Majka.

Tak zaczęło się to, co w poezji Marjańskiej zaistniało pod nazwą: *PRZEZ CAŁE ŻYCIE MIŁOŚĆ*.

Mimo licznych obowiązków młoda żona i matka znajdowała czas na pracę przekładową, twórczą, a potem także zawodową (od 1957 w redakcji literackiej Polskiego Radia w Warszawie) i na regularne studia uniwersyteckie. Jej pierwsze próby translatorskie przypadły na czas okupacji, kiedy pod kierunkiem sąsiadki, Żydówki, Róży Reisler uczyła się angielskiego. Były udane, więc je ponowiła po wojnie. Z przekładami wierszy Roberta Burnsa poszła do Państwowego Instytutu Wydawniczego i – odniosła sukces: wydający akurat wybór poezji tego wybitnego romantyka profesor Stanisław Kryński wziął od debutantki aż cztery teksty i zaproponował współpracę: ona będzie służyć mu pomocą w poetyckiej obróbce tłumaczonych wierszy, on jej w zgłębianiu tajników angielszczyzny. Był dobry rok 1956, Marjańska zapisała się na wydział anglistyczny Uniwersytetu Warszawskiego. Egzamin wstępny zdała *Listem do Roberta Burnsa*. „Miałam wtedy wiele odwagi – mówi – i ta odwaga popłacała. Potem było z tym – z tą odwagą – gorzej”. Zaiste: dyplom uzyskała w roku 1961; niebawem posypały się książki.

Pierwszy tomik poetycki, *Chmurne okna*, ukazał się w roku 1958. Są w nim wiersze – na przykład *Zbudzona ze snu* czy *Obojętne* – które tłumaczą, dlaczego Marjańska, choć dość późno, musiała przemówić: „Pogodne niebo przesłonił obłok/krematoryjnych dymów”, „Porażona, dotknięta martwicą,/pożydowską chodziłam dzielnicą”, „Nie pisałam wierszy. Były we mnie./Czarna nocą wyły potajemnie”.

– Choć życie zawsze było ważniejsze od wierszy – dopowiada – pisałam... Coś, widać, musiałam jeszcze wypowiedzieć. Wiersze moje, co tu dużo mówić, były słabe, nie traktowałam ich zbyt poważnie, a jednak...

[...] *A jednak to one  
mówiły o nim, zatrzymywały  
ulotny błysk, moment zdziwienia,  
gasnącą miłość. Zimą  
przywoływały kaczeńce, konwalie,  
upał chłodziły śniegiem.  
Zmieniały pory roku i miejsca pobytu,  
nie było granic i niemożliwości [...]*

Pisała więc i co kilka lat wydawała tomik własnych wierszy: *Gorąca gwiazda* – 1965, *Rzeki* – 1969, *Druha podróż* – 1977, *W koronie drzewa* – 1979, *Bliźna* – 1986... W prasie drukowała rzadko, jej utwory nie znajdowały uznania w oczach poetek-redaktorek, takich jak Wisława Szymborska czy Anna

Kamieńska... Potrzeba wewnętrzna była jednak silniejsza, nie zrażona więc odmowami Ludmiła Marjańska wciąż pisała<sup>2</sup>.

W roku 1953, pokierowana przez Tadeusza Brezę (który nieco wcześniej wprowadził ją do Sekcji Poezji Związku Literatów Polskich), trafiła do redakcji miesięcznika „Twórczość”. Przyjął ją tam Zbigniew Bieńkowski, przeczytał poetyckie próbki, orzekł, że owszem, ładne są, ale staromodne (skamandryckie!) i do tego niezwiązane z życiem, czyli z polityką, a więc... nieprzydatne. Od polityki początkująca poetka trzymała się jak najdalej, ale czysto ludzki dramat Ethel Rosenberg – matki, która musiała dokonać niezwykle trudnego wyboru – to był temat jak najmocniej związany z życiem i... ponadpolityczny. Wiersz o nieszczęśliwej Ethel – jako jeden jedyny z wierszy Marjańskiej – dostąpił łaski druku w „Twórczości”.

Pracę przekładową traktowała poważnie, poważniej niż własne pisanie, aczkolwiek nieraz zrywała się żartobliwie na to ciągle „i bycie, i niebycie sobą”, uzależnienie od „łaski i nielaski” drugiej osoby (*Nad przekładami*). A przecież poprzez przekłady zaspokajała potrzebę obcowania z innymi, doświadczania ich odmienności, zachwycania się nią i zdumiewania. Sam dobór poetyckich indywidualności zdaje się o tym świadczyć: Emily Dickinson, Marianne Moore, Elizabeth Barret Browning, także Edwin Arlington Robinson, William Butler Yeats, Richard Wilburg, Theodor Roethke. „Pustelnica z Amherst” była jej pierwszą poetycką fascynacją. „Odkryła” ją dla siebie podczas pobytu stypendialnego w USA w 1961 roku. Dwukrotnie odwiedziła jej dom, urzeczona bogactwem poezji wywiedzioną wrażliwością tylko i wyobraźnią z pustelniczego „ubóstwa”. Przywiozła sobie do Warszawy zbiór wierszy Emily Dickinson z zamiarem wydania go we własnym przekładzie, ale – ku swemu gorzkiemu rozczarowaniu – musiała ustąpić pola Kazimierze Illakowiczównej, a potem Stanisławowi Barańczakowi. Owemu rozczarowaniu dała upust w pełnych żalu słowach wypowiedzianych pod adresem Barańczaka, który „nie zostawił kobiety kobiecie”, choć powinien był to zrobić, bo przecież – widać to gołym okiem – nigdy „nie czuł pustelnicy z Amherst”. Jego przekłady wierszy Emily są często bardzo piękne – stwierdziła – ale „są to bardzo własne wiersze Barańczaka”. Oddają jego wnętrze, nie zaś wnętrze „pięknej samotnicy”. Odkładane przez lata do szuflady subtelne tłumaczenia Marjańskiej ukazały się dopiero w roku 1998 w wyborze *I jestem różą*, a „ostatnie przekłady” podała do druku po śmierci matki w roku 2005 Maria Marjańska-Czernik w tomie *Przeżycie*, który wyszedł staraniem Biblioteki Telote. Elizabeth Barret Browning zdobyła serce polskiej poetki swoim „pięknym” życiem: uczona, odczytana, w wieku lat czterdziestu poślubiła z wielkiej miłości – i wbrew woli ojca

<sup>2</sup> Nie tylko wiersze tworzyła Poetka, ale także powieści, najpierw dla dorosłych (*Powrót do miłości* 1971, *Stopa trzeciej Graji* 1980), potem także dla młodzieży (*Pierwsze śniegi, pierwsze wiosny* 1985, *Życie na własność* 1986) i dla dzieci (*Zakochany zuch* 1989 i inne).

– Roberta Browninga, stając się wybitną poetką. Marianne Moore przeciwnie: obca, niezrozumiała, była dla polskiej tłumaczki jedynie wyzwaniem, które podjęła – nie z własnego wyboru zresztą, ale na prośbę wydawcy – by zmierzyć się z innością tej „dziwaczki”, jak ją nazywa we wstępie *Wierszy wybranych* Moore, i „przez tłumaczenie ją pokonać”.

Doświadczenia translatorskie nie pozostały bez wpływu na wzrost jej świadomości literackiej, dzięki uważnemu pochyleniu nad cudzymi wierszami zgłębiła tajniki warsztatu poetyckiego, a być może dotknęła tajemnicy poezji. Ujawnił to wydany w roku 1992 tom *Zmrożone światło*, który wyniósł autorkę wysoko i postawił obok „wielkich dam” poezji polskiej, jako równą im, choć przecież nieporównaną w lirycznej ekspresji uczuć i stanów duszy. W przekonaniu Ludmiły Marjańskiej ów przełom w jej twórczości, owo nagle pełnia zaistnienie miało ścisły związek ze śmiercią Anny Kamieńskiej i pojawieniem się Jerzego Krzemińskiego.

– Myślę – mówi poetka – że cezurą była tu śmierć Anny Kamieńskiej. Anna była dla mnie zawsze wzorem. Ledwie o trzy lata starsza, wydawała mi się dużo mądrzejsza, doświadczeńsza. Czulałam się wobec niej zawsze jakby trochę skrepowana i zażenowana, ale zarazem dumna i szczęśliwa, że chce ze mną przebywać. Do mojej poezji odnosiła się zawsze krytycznie. Ona i w sobie, i w innych szukała głębi, moja poezja była dla niej ładna i powierzchowna. Niemniej byliśmy szczerze zaprzyjaźnione, zwłaszcza od śmierci jej męża, Jana Śpiewaka. Jej śmierć w roku 1986 bardzo mocno przeżyłam. Ale właśnie wtedy, i to za jej przyczyną, zyskałam nowego przyjaciela. Zainspirowany wcześniej przez Annę, zaprosił mnie do Sandomierza na wieczór autorski kustosz tamtejszego muzeum Jerzy Krzemiński. Zainteresował się moim pisaniem i wkrótce stał mi się życzliwym i wnikliwym krytykiem. Prywatnym, osobistym. Na tym oparła się nasza przyjaźń. A owe dwa fakty: zniknięcie Anny Kamieńskiej i pojawienie się Jurka Krzemińskiego, który ją zastąpił, lecz nie jako surowy krytyk, tylko jako życzliwy doradca, spowodowały ów widoczny przełom w mojej twórczości. Dopiero wtedy zaczęłam sobie uświadamiać, o co w poezji chodzi, i traktować ją poważniej.

Skutki nie dały na siebie długo czekać, a krytycy od razu je dostrzegli. Iwona Smolka w szkicu *Światło nad wodami* napisała wówczas: „Twórczość Ludmiły Marjańskiej, tyle lat już przecież obecna, choć jakby na obrzeżu liryki polskiej, staje się nagle jednym z piękniejszych i ważniejszych głosów współczesnej poezji. Uroda świata, piękno pejzażu, nocnego nieba, kilku drzew, każe zatrzymać się, spojrzeć uważnie, posłuchać, jakie dźwięki składają się na *harmonia mundi*”<sup>3</sup>.

3 W zbiorze szkiców Iwony Smolki *Dziwięć światów. Współczesne poetki polskie*. Ośrodek Wydawnictw Naukowych PAN, Warszawa 1997.

Wiersz *Harmonia mundi to credo* Marjańskiej; wyraz zgody na świat ze wszystkim: „ładem symfonii i warkotem samolotów”, „wrzaskiem głośników, reklam i niemowląt”, belkotem pijaków, grzechotem salw, wybuchem Etny; na człowieka ze wszystkim: „glupotą, sentymentem, śmiechem, dodekafonią, bólem i strachem”. Słowem: wyraz zgody na życie. Tom wierszy *Przez całe życie miłość* to także *credo*: wyraz zgody na miłość ze wszystkim.

– Miłość, jak życie, składa się ze wszystkiego. Bo jest życiem – mówi poetka. – „Ten obcy obok mnie – to mój najbliższy” pisze w wierszu *Po latach*, a „Mój niekochany, to ty jesteś mym oczkiem w głowie, światłem źrenicy, ciepłem, o które grzeję ręce” – pisze w liryku *Mój niekochany*. I tu jest zgoda na wszystko, co niesie miłość. Bo cóż nam pozostaje prócz zgody? Bunt? Jest nie tylko bezcelowy, ale i niszczący. Nawet więc buntując się, szukam w życiu choć odrobiny radości. W „kosmyku włosów”, który można jeszcze poprawić, chociaż nic już w sobie zmienić nie można, w widoku wody, jaskółki, brzozy, wszystkiego, z czego bierze się wiersz. Bo wiersz można poprawić. A pisanie daje radość.

Po *Żywici* (2001) chciałoby się zapytać: tylko radość? Liryki pomieszczone w kolejnych, przedśmiertnych tomach Marjańskiej: w *Córce bednarza* (2002), w wyborze *A w sercu pełnia* (2003) i w przejmującym pożegnaniu *Otwieram sen* (2004), świadczą, że pisanie daje nieskończenie więcej. W obliczu śmierci najbliższego człowieka pisanie zrównuje się z życiem: wyposaża w zdolność współuczestnictwa w procesie umierania, a nawet daje moc wskrzeszania z martwych:

*Wiersz jak sen  
przywraca życie zmarłym  
siadają z nami za stołem  
piją herbatę  
patrzają w oczy  
zrywają  
zupełnie jak żywi  
Trzymamy ich za rękę  
i jesteśmy  
nieziemsko  
szczęśliwi*

Może też pisanie ocala przed poczuciem daremności cierpienia, wiążąc „ważne” życie z „nieważnym” pisanem w nierozdzielne życiopisanie. Liryk tytułowy w genialnym skrócie ukazuje proces krystalizacji i sublimacji tego procesu:

*Pogłaszcz mnie –  
 wola sosna  
 Spod szorstkiej kory  
 kropla za kroplą  
 żywica  
 Podstawiam  
 blaszany kubek  
 Wykrwawi się  
 zakrzępnie  
 żalsni*

*Żywica*, tom małżeńsko-wdowieński, będący zwieńczeniem tomu narzeczęsko-małżeńskiego *Przez całe życie miłość*, to najszlachetniejszy spośród klejnotów współczesnej polskiej liryki lamentacyjnej, żalobnej. A przy tym jakże nieodparty, jak przejmujący dowód na moc słów, które rozpacz i mękę, ból i pustkę potrafią zakląć w piękno: „Każdy dzień jest otwartą raną / jak czarne wnętrze tulipanu”; „Zamilkł szczygiel zgasły ogrody / Złote liście zrzuciła brzoza / Tylko schody kamienne schody / na dno morza”; „Dzień za dniem/dzień za dniem / puste wagony / przetaczane po torach / Szarpnięcie stukot / Wstrząs bezruch / Skręt szarpnięcie / Wokoło znane krajobrazy/i stacje męki ludzkiej”; „Niebo zaniósło się szlochom / nad zamkniętym życiem / nad prochem”; „Jak gdyby wyszło źródło / przestał śpiewać drożdź / zgasło ognisko / nawet gałązka / nie trzaśnie pod stopą / idącego samotnie”.

Mąż Ludmiły, Janusz Marjański, architekt, urodzony 9 stycznia 1921 roku w Częstochowie, zmarł 9 lipca 1999 w Warszawie. Umierał przez kilka długich lat na alzheimera, prawie do końca pod jej opieką, w ich małżeńskim mieszkaniu przy ulicy Raszyńskiej. Prawie do końca, bo na dwa, może trzy tygodnie przed śmiercią, skrajnie wyczerpana, zgodziła się oddać swego „najbliższego jeszcze, choć nie tego samego człowieka” pod opiekę obcych – profesjonalistów. Jej chore serce nie wytrzymało bezsennych nocy i o wiele za trudnych dla siedemdziesięciosześcioletniej kobiety dni, lękająca się o życie matki Maja prawie wymusiła na niej tę dramatyczną zgodę, ale dopiero wtedy, gdy chory przestał i ją poznawać, ją, kobietę, z którą ponad pół wieku temu (28 lipca 1945 roku) złączył się „na wspólną radość, / na wspólną biedę, / na chleb codzienny / i na poranne otwarcie oczu / w blasku słonecznym”. A przecież poznawał swoją żonę nawet wtedy, gdy jego „spętana dusza” nie mogła już „przebić się na jasność dnia”. Poznawał ją, jedną jedyną, dotykiem, może czuciem. Jakże więc mogła pozbawić go „ratunkowej liny” swojej ręki?! Wytrwała prawie do końca, sama bliska śmierci.

Aż do przeprowadzki na ulicę Królowej Marysieńki 19/34, czyli do jesieni 2003 roku, Poetka zmagala się z pustką „martwego domu”, z bólem utraty,

z dojmującym doznaniem braku, coraz bardziej też świadoma bliskości własnego kresu. Jej wiersze z tych trzech lat – wiersze opublikowane w tomach *Spotkanie z Weroniką i Córka bednarza* – to świadectwa dramatycznych wdowich dni i nocy: istne kryształki bólu, ale i zachwytu (cudem istnienia), rozpacz, ale i szczęścia (z powodu „coraz słodszych przyjaźni głębokich”), krople zakrzepłej krwi lśniące blaskiem rozumiejącej akceptacji.

*Tak niewiele*

*a i tak w nadmiarze*

*Szczątki szczęścia*

*ułamki marzeń*

*Pusto w rękach*

*a w sercu pełnia*

*jak łowicki wielobarwny wetniak*

W wymienionym już obszernym wyborze wierszy Ludmiły Marjańskiej z 2003 roku, w króciutkim liryku, od którego i wybór ów, i jego ostatni cykl biorą tytuły, mądrość sędziwej Poetki, dojrzewająca przez dziesięciolecia w tygłu dobrych i złych doświadczeń, uzyskała w końcowym, iluminacyjnym błysku zrozumienia kształt jeszcze pełniejszy i doskonalszy – znak zjednoczenia z Wszechświatem:

*Ach, tylko być –*

*zanurzyć się w przestrzeni*

*ciemniejącego nieba*

*Trwać nie odczuwając*

*nic prócz istnienia*

*Być*

*cząstką ciemności*

*Maria Jentys-Borełowska*



## Janusz Andrzejczak

### Daj znać...

Czyjeś oczy w mroczni  
pies gdzieś z lasu wyje  
wciąż biegiesz. Odpocznij  
daj choć znać, że żyjesz

Gdy jesteśmy sami  
wreszcie słuchać mogę  
jak wiatr trzaska drzwiami  
jak nawiewa trwogę

A może ty jesteś  
już po tamtej stronie  
daj znać jakimś gestem  
jak wygląda... koniec

### Przeproszenie zeszytów

Proszę cię kartko, znów mnie przytul  
ptakiem i pąkiem wiosną pękni  
znów chcę do ciebie, do zeszytów  
do liter skapujących z ręki

Znów chcę cię nosić wśród bezdroży  
w szmacianym sercu, tym na plecach  
pod drzewem skrzydła twe rozłożyć  
zielony ogień z liter wzniecać

Zaszeleść liściem, trzcina zaszum  
na śniegu zapisz moje ślady  
cokolwiek, coś, z mojego czasu  
przechowaj na dnie swej szuflady

**Poeta odkryty**

By z martwych powstać  
musi się zachlać, zaćpać  
w wieczności zapaść letarg  
Poeta

Wydął książkę  
już trzecią  
By ktoś jej zapragnął  
musi sobie  
drobnostka  
tylko żyły przeciąć

Jeden, drugi, trzeci tomik  
przyjaciele, znajomi  
rzadko w monecie ktoś zechciał  
w cenie słomianego wiechcia

Z samotności, z udręki  
coś tam wypił, coś tam zażył  
na czytelnika w oprawach miękkich  
czekało głupich  
trzysta egzemplarzy

Minął miesiąc  
pięć miesięcy  
nakład już sześćdziesiąt  
tysięcy

Podąża tomików trzysta  
kroczy za trumną asysta  
poety  
wydawcy  
krytyki  
sędzie  
ustalają  
że dla takiego jak on  
GENIUSZA  
nawet jeszcze dodruk będzie  
Jak świeże bułeczki się rozeszły

[Gdy on już

gdy on już w czasie przeszłym

Gdyby nie pił, nie ćpał  
od tego nie umarł  
byłby bez szans  
zachlał się, zaćpał, umarł  
znalazł się lans

Nie mógł się przebić, dopchać  
przez sitwy, koterie, układy  
gdy żył, nikt go nie chciał  
teraz chcą, drapia, wyją o niego  
ścierwojady

Po to go Thanatos  
w kwiecie wieku usiekl  
żeby go odkryli  
nadwrażliwi chłoptasie  
egzaltowane panusie

Przyszedł wreszcie do głowy  
świat ze wszech miar rozumny  
i odkrył wreszcie poetę  
jak wieko od trumny

*Janusz Andrzejczak*

## Jerzy Binkowski

**Do Marii** – czyli testament mój

Mario wejdź w mój cień  
W moje oczy nierozumne jak umierający błękit  
W ciemność niedotykalną na krawędzi wzgórz  
Gdy w dolinach wołam Mario

Mario moja cisza nie jest pustką  
Ściśnięta pomiędzy opadłymi ramionami  
Nie godzi się na zwiedle belki drewno  
Wysuszone surowym spojrzeniem Mario

Mario w cieniu i ciszy mej tańcz poloneza Mario

**Świt w drodze do niebieskiego gaju**

Świat i ja otwieramy oczy  
strumień światła i jaskrawość snu  
chmury ocierają się o płamę słońca  
romans nocy z różem i błękitem trwa jedynie chwilę

Buk jest na miejscu

Rozłożysta w polu zieleń  
na gałęziach rozwieszona  
równo płasko żółto i brązowo  
przybiegnijcie do mnie słowa

Buk jest na miejscu

Słowa kwitną na jabłoni  
w szyszkach świerku stada wiatru  
lodowato dmą w historię i muzea  
mielą wiatr w Pompianach na mąkę na mgłę

Buk jest na miejscu swoim

### Westchnienia

1

Ptak jak cień zawieszony pomiędzy kroplami  
Chłopiec we mgle

2

Pytałaś czy wie że to koniec lata  
Aster w rabatce otwiera koszyk płatków

3

Uniesienie o poranku  
Wiewiórka tańczy w rudych liściach

4

Wielobarwne sójki wstrzymują oddech  
Odkładają na jutro szum skrzydeł

5

Miał swój rytm  
Opóźniał objawienie swej twarzy

6

Pozwalam dniom wybierać komórki mego ciała  
Dęby stoją wpatrzzone w księżyc pełen pełni

7

Wydawało się że pociąg się spóźnił  
a na peronie że nikt już nie czekał

8

Nie otwiera albumu  
Dłonie zatrzymuje na okładce

9

Kąt ostry widzenia:  
popękane ściany

10

Wolność stóp:  
mierzy odległość od lipy do dębu.

11

Kim jesteś  
Wykrzykuje

12

Tętni tętnica tętentem krwi  
Dokąd tak śpieszysz - serce

13

Łydki drżą  
I szept drży

14

Brzozowy krzyż:  
biała kora i cień śmierci

15

Jest we mnie księżyc za mgłą  
I wschód słońca nad zatoką

*Jerzy Binkowski*

## Tamara Bołdak-Janowska

## BYCIE I LU!

(fragment poematu)

## 1. Kosmonautyka wewnętrzna

\*

Jak ze starych zdjęć, które w pamięci gdzieś tam,  
wciąż kochanym luzem,  
tak jak u ciebie,  
jaśniej drogą twarzę.  
Zmacona pełnia. Poszczerbiony nów.  
Martwe od lat, a wietrzne znieca, a  
smagną podmuchem klisz.  
Wywoła je natychmiast pracownia umysłu,  
i popchnie w przemarsz żyłek z twarzą,  
ze śmiechem w oczach, w angażującej  
sesji *stamtąd*. Z krajobrazem ujęte patrzą we mnie –  
w jedyny obiektyw, jedyną dal.  
I *tamtą* egzystencja niczym zegar ciosów  
kapiąc jak owoc, lecz zabiegając drogę,  
tyknie w dobrze widzący policzek  
pojedynczą przeszłą twarzą, rozpostartą jak dłoń,  
i z krajobrazem.

Obecność przeżytych młodszych. Tak samo dotkliwa,  
jak kopnięcie w dom,  
to nieustające, coraz bliższe, coraz weselsze  
czyjeś barbarzyństwo,  
gdy od przywiązanych do rozumów bomb  
z każdej ściany w duszę wbija się to:  
rwący, jak ten w kolanie i łydce, ból z wykręconą stopą.

Aż w końcu zdziwienie: pamięć jest i nie jest zbytkiem.  
Ja i jeszcze ktoś.  
Schadzka? Nie moja. Wszystkich.

Jeszcze ktoś,  
 teraz w taki sposób bliski.  
 Pamiętam wielu, bo widziałam.  
 Widzę: są, bo się we mnie mieszczą.  
 Noszę bycie egzystencji w wysuniętym fragmencie:  
 sobie *są*.

*A jednak sobie.*

To nie to samo, co opowiedzieć.  
 Wlokę rosnący ogon z ludzi,  
 a to przeinacza pamięć w niemożność opuszczenia.  
 Ja i oni to długie milczące uczucie.

\*

Żyli. Żyją. Z rozwianą stopą.  
 Ciemni. Blaskami pogięci.  
 Wiozę *stamtąd* twarz na skroni,  
 na błyskawicy, realnej jak z samochodu  
 o nowoczesnym szczerzym spojrzeniu.  
 Jedziemy, czasie.  
 Przed siebie, czasie, z ludźmi wspomnienia.  
 Razem. Oni są razem. W ścigającej gałęzi,  
 która pieszcząc falą z niczego, przygarbi.  
 Głęboko. Oni są głęboko. W ścigającym echu,  
 które plując ogrodem, wyraźniej z nich,  
 nie kończy sylaby.  
 Mam ich grzywą na karku i przez nią oglądam się  
 widzącym oddechem, i umiem tak się przesnuć  
 nad trawą na sobie. Zabiorę wszystkich do domu –  
 jest przygotowany – jest ciałem – ciałem ciała,  
 i zmieszani z miękącym oknem, z zieleniejącym dachem,  
 przez krzywo wiszące obrazki, razem się pościelimy,  
 razem,  
 śpiąc się z uderzonych krzeseł.  
 Martinie Ha, to Tadeusz Er miał rację: człowiek to dom  
 z przeżytymi, z przeżywanymi gośćmi.  
 Mam ich i nie mam.  
 Mam.  
 Bo wciąż nie dość bezimienni.  
 Bo jeśli słowami wybiegli naprzód, daleko naprzód,  
 a mowa to gwałtowna i nowa, to nadal ją Kocham



i albo ciągle się o nią boje,  
albo ciągle boję się jej.

\*

Mówię: ja to widzę. Nie widzę trzewi,  
a słyszę ich mowę, *sproszkowany szum*. Mała dzika  
papaverka to jest. Trzęsę sobie ten mak. Że też żyje  
tak stary.

Gdzieś jest twarz. Pamiętam:  
obraca się dookoła głowy w osłonie palców  
ubiegłowiecznego dziecka.  
Odciski. Czy to jeszcze jest? Dotykałam.  
Mocna głowa. Gruby karton w karby. Nie mięknie.  
Brwi marszczą się po szyję. Nos, oczy  
w zlepionym okopie. I to wtedy twarz jest wszędzie.  
Potrząsam rytmicznie. Sieję pyzate fajerwerki  
z nieczynnego ziarna. Pызaty utwór gram:  
charczę po ścianach pyzatej chaty.  
Szczelna. Zarośnięte lufty pod koroną –  
misterną taką filigranową rzeźbiła gruba Ziemia.  
Uszczelnil zagląający kurz – on ma wiele głów. Ja:  
mam: zabytkowy instrumen. *Cik*.

Jeszcze raz. Trzęsę sobie stary mak.  
W dobrze zachowanej starej głowie. Dzika. Polna.  
Trzymam głupstwo w dłoni. Dziką polną kukielkę.  
Przecież martwa. Ożywiam.  
Uczłowiczam. Wstrząsam. Trzęsę. Potrząsam.  
Słyszę szloch.  
Mak szlocha.  
Tak się szlocha.  
Gdzieś w świecie. Ciężko. Głucho.  
W ciemnym kącie z dłoni.

Jeszcze raz po kropce na *Ciku* zagram coś dla Martina.  
Stwarzam przypuszczenie: gdyby mną olbrzym tak trząsł,  
jak ja starą dziką makówką, słyszałby skoczność  
męczonych słów. Bez obrazów.  
Przypuszczam wrażliwy udział olbrzyma,  
poprzez jego przypuszczenie

bycia  
 we wrażliwych palcach większego: hierarchiczni grajkowie  
 tej bajki, tej zasady pręta, a on się nie zgina,  
 bo to westchnienia w pionie, że *ktos żył*.  
 musieliby przypuścić odciski palców  
 ubiegłowiecznego dziecka na truchle zabawki.  
 Nie? Ech.

Jeszcze raz. Trzęsę makówką.  
 Trzęsę Martinami. Trzęsę starym ziarnem.  
 Trzęsąc Martinami, naruszam autonomię  
 pogrzebanych. Wybacz, chłopie, liczbę mnogą.  
 Zależysz od mnogiej interpretacji.

\*

Motto? Smykiem.  
 Niech wydźwięczy miód i błoto.  
 Błoto. Miód. Gładko. Surowo. Bez cmoków.  
 Niech zdrapie w to, co na pewno jest dniem,  
 i gdzie słycać głos.  
 Niech się znajdę w szparce oka ptaka –  
 on umie przymknąć również dolną powiekę,  
 by zwalniał podróż smyk  
 patrzący.  
 Niech Ten Scyzoryk mnie zagra,  
 jak to on potrafi,  
 zbierze punkt po punkcie,  
 sobie tylko.  
 Są we mnie ludzie – powiem mu.

*Tamara Bóldak-Janowska*

## Cezary Dobies

### Modlitwa o człowieka

pozwól mi, Panie, lęku nie czuć  
przed ludźmi i nie doznać głodu

wyróżnić się – ale nie szokować  
być dobrym – ale nie naiwnym

nie biec z tłumem – i nie zostać  
w tyle

znać swoją wartość – i nie popaść  
w pychę

i niech odpoczynku nie szuka  
w pośpiechu

a mocy nie czerpie z cudzego  
zmęczenia

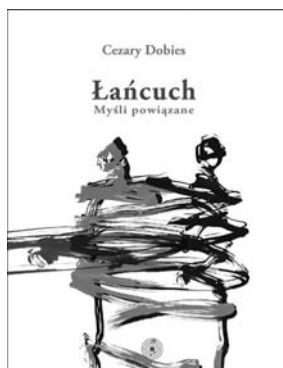
niech za nic nie ściera sobie dłoni  
i umysłem nie włada  
jak przy słabym świetle

### Owca

kiedy żyję prawem mięsa i wełny  
to w rzeczy nie wnikam, podobnie jak puch  
jak owca w stadzie nie pytam o drogę

wszystko, co idzie lub płynie po wierzchu  
rozlewa się szybko i łatwo suszy  
z głębin zaś uchodzą treści mocne

jak ze źródła lub z krwi, kiedy się burzy  
– gdy dłużej nie mogę słuchać barana



---

Wiersze z tomiku „Łańcuch. Myśli powiązane”, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu  
Mikołaja Kopernika, Toruń, styczeń 2016.

## Danuta Gałęcka-Krajewska

### Pytania do autora

Gdyby spytać poetę  
 czy jest gotów zaparkować  
 swoje rozpędzone ego  
 czy może odejść teraz  
 czy woli poczekać na następny pobór  
 do Armii Zbawienia  
 Co go zmuszało  
 do rzucania metafor  
 w odległe konteksty historyczne  
 i co go teraz pozbawia wiary  
 w rozpasaną maskaradę uczuć  
 w scenach rodem z Bruegla  
 Jako człowiek prostopadły  
 nie będzie kłamał  
 więc powie bez ogródek,  
 że jego płaszący umysł  
 przygniata roszczeniowe ciało  
 w postępie geometrycznym  
 i że każdy dzień  
 przybliża echa znękanym wspomnień  
 gdy tymczasem przez ciasne gardło bólu  
 przekrada się kolejny epilog  
 sennego spektaklu  
 który ma niewiele wspólnego  
 z obiecany parkiem rozrywki  
 zawieszonym nad naszą jaźnią tuż po urodzeniu

### Przestój

Nienapisany wiersz żyje wielosłowiem  
 boli to przelotnie i nie zostawia bliźn  
 Pora odejść od przedawnionej obietnicy przygód  
 w nieznanym miejscu  
 na wyboistej osi znaczeń

[Gdy dalej]

Gdy dalej nienapisany wiersz  
przybiera postać niemego oskarżenia  
o plagiat własnych wyobrażeń  
znowu robi się ciemno  
i przez uchylone skrzydła okien  
wlatują kolejno:  
stracone lata szkolnych zawirowań  
tabuny zapomnianych twarzy  
frywolna druhna z wędrownego obozu  
z dwuznacznym uśmiechem  
i tatuażem węża na obwisłej szyi  
a także woźna w stylu retro  
czyniąca hałaśliwe uroki  
mosiężnym dzwonkiem  
tuż przed spienionym zrywem '56  
Więc przerwa na refleksje  
A zaraz potem radosna krotchwila a la Fellini  
lub może uroczysta zachęta  
do tańca bez gwiazd  
Nigdy dość płasów wokół pierwotnego paleniska  
w którym tli się jeszcze utajona nadzieja  
na bilet w pierwszym rzędzie  
by lepiej słyszeć nienapisany wiersz  
który mimo późnej pory  
jest nadal wierszem  
a nawet skrywa pewien żal  
gdy bisy przerywa nierówny odgłos  
upadających metafor

*Danuta Galecka-Krajewska*

## Eugeniusz Kasjanowicz

### Z pamiętnika Anne Sexton

Jestem bezbronną małą dziewczynką  
która nauczyła się uciekać z domu  
Uciekam stąd  
uciekam byle dalej  
z Alfredem „Kayo” Sextonem II  
nerwowo szukam miłości  
po omacku byle szybciej  
Pewnego dnia „Kayo” wyjechał  
na wojnę  
moja samotność stała się płomieniem  
dlatego gaszę go  
jedną drugą trzecią miłością  
wieloma romansami  
odrywam się od ziemi  
jestem ptakiem obłokiem  
gwiazdą  
czasem staję się kamieniem  
zaciska się pętla samotności  
nie mogę uciec od siebie  
terapię i szpitala  
leki i alkohol  
przyjaciele i kochankowie  
próbuję się otworzyć  
dla nich dla siebie  
płynę po Zatoce Long Island  
morze jest stare i nieuleczalnie chore  
piszę coraz szybciej i więcej  
widzę koło ratunkowe  
ale ono jest złudzeniem  
jak ludzie idący po pokładzie  
to widma  
świat nierealny  
śmierć jest ucieczką  
ucieczka nie jest śmiercią

[Tylko cisza

Tylko cisza  
za drzwiami garażu  
jest realna  
jak nigdy przedtem

\*\*\*

*Elizabeth Bishop*

Wiem że nie umarłaś  
i nie oszuka mnie  
twoja towarzyska życia  
śmierć  
Jesteś małą dziewczynką  
biegającą po nabrzeżu  
portu rybackiego  
zatrzymujesz się  
i patrzysz w morze  
woda jest płynną tajemnicą  
jak twoje życie  
jak przyływ i odpływ  
Ogniste balony  
które zobaczyłaś w Rio de Janeiro  
były piękne i tajemnicze  
jak migocące gwiazdy  
dopóki nie spadły na łękę  
i ogień zaczął osaczać  
króliczą norę  
płonący młody królik  
przywołał rewolucje i wojny  
przerażenie matek  
i płacz dzieci  
utrata przyjaciół

W sztuce tracenia  
nie mogę dojść  
do wprawy  
dlatego nie umarłaś  
jak wschód i zachód słońca

\*\*\*

*Sylvii Plath*

Dlaczego ziemia jest taka zimna  
jak spojrzenie Teda  
szukasz swojej gwiazdy  
a ona jest bladym odbiciem  
twojej twarzy  
która chowa się w cieniu cisu  
w głowie tkwi cierń  
cierń samotności  
i stada kruków  
które trzepoczą czarnymi skrzydłami  
tuż nad twoją głową  
Umierałaś już tyle razy  
powietrze drga i gęstnieje  
w oddali słychać  
ciche brzęczenie pszczół  
jakby ktoś grał na gitarze  
w której pękło pięć strun  
została jeszcze jedna  
czarna struna powietrza  
która odpływa  
Umierałaś już tyle razy  
sen coraz lżejszy  
i obłoki płynące powoli  
unoszą ból gdzieś daleko  
jestem z tobą  
co dzień  
co noc  
zabijany  
„Księżyc tego nie widzi. Jest nagi i dziki.  
A przesłanie cisu to ciemność – ciemność i milczenie”.

*Eugeniusz Kasjanowicz*



## ks. Janusz Adam Kobierski

### Godzina w Kaplicy Sykstyńskiej

1.

Stając na progu  
chlone przesłanie  
o dziejach spraw  
między Bogiem i człowiekiem.

Spiętrzone kolory,  
procesja postaci  
w scenach biblijnych.

Wizja przypominająca akt stwórczy,  
który trwa.  
Podnosi ku sobie.

Zapisały ją ręce malarzy.

A w niej ludzkie drogi,  
co splatają się w znaki  
i niosą światło.

2.

Oto ściana  
fresk *Sądu*.

Węzły znaczeń:  
piękno i brzydota,  
wzniosłość i upodlenie,  
*profanum* i *sacrum*.

Nagość  
przykrycie  
dla duszy.

ON widzi wszystko.

I w myślach czyta  
jak w osobnych księgach.

W centrum Zbawiciel  
oraz Matka.



I aniołowie, którzy  
chronią przed jadem kusiciela.

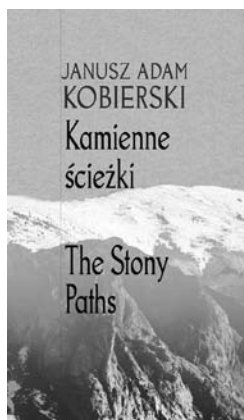
Z boku poniżej  
święty Bartłomiej odarty ze skóry,  
trzyma ją w ręku  
jak zwój płótna,  
na którym Michał Anioł  
zostawił podpis –

twarz wyzbytą piękną,  
zatrwożoną,  
swoją.

... ..

Nadzieja podpowiada,  
że Pan wybaczy mu winy  
widząc jak wypełnił  
darowany zamysł.

*V-X 2015*



## Rzym

*Krzysztofowi Myszkowskiemu*

Miasto przebite włócznieą  
historii,

jak serce tego, który patrzy,  
przeszyte zachwytem.

Rzym jak stal,  
tak stoi  
z cegły i z kamienia.

*Wieczny.*

Na dowód istnienia.

*V 2015*

## Gabriela Kurylewicz

### Inaczej nie umiem

Wiszące w powietrzu miasto  
zauważono w Chinach  
w prowincji Fos-han.

Kominy dźwigi mury druty  
zakopcone blokowiska  
ponad linią obłoków.

Internetowy dowcipniś  
odgadł że przez pomyłkę  
spadła zasłona kamuflażu

I ukazało się Miasto  
Wybranych zwane Niebem.

Powstają spekulacje  
że to być może nowa broń  
lub nadchodzący kataklizm.

Jednak to miasto brzydkie  
i chore trwało tylko minutę

I było efektem mirażu  
widziadłem optycznym.  
Z różnicy światła i brudu

Utworzyło się w chmurach  
diabelskie lustro –

Już miało się potluc  
Lecz Aniołowie je schwytali  
i przemienili w śnieg.

*18 X 15*

## Jerzy Marcinia

### Piosenka dla tych co milczą

*Pamięci dziadka Piotra, żołnierza wyklętego*

Skończy się noc i nastanie noc  
I wiatr nadleci  
Bo nadlecieć musi  
Białym skrzydłem o liście uderzy  
I śpiących pod drzewem pobudzi żołnierzy

I oni wstaną  
Strzepną z mundurów ślady krwi  
Trąbka zagra melodię im znaną  
I ze zgrzytem otworzą się niebiańskie drzwi

Odejdą takim długim szeregiem  
I tą inną drogą  
Tą za życia brzegiem

Ten wiatr nadleci  
I zacznie szumieć melodię gorzkich słów  
I echa trąbek  
W podmuchach wiatru powrócą  
I razem z nim milczące pieśni zanucą

Aż to co dawne  
Znowu zachwyci i zauroczy  
Widać też będzie jak z białej czaszki  
Wypłyną z łzami czyjeś młode oczy

Później ich twarze  
Zakryje ziemia  
Zatopi woda i pochłonie mul  
I zniknie wszystko i... wszystko zostanie  
A kret wyryje pod dołem dół

Ten wiatr nadleci  
I będzie brzask a potem dzień i kracząca wrona

[I ciemna noc

I ciemna noc nad ranem konająca  
I stara kobieta szukająca mogił  
I znowu wiatr i trochę dalej ona  
Polną drogą bez celu idąca

I będzie lato a po nim jesień  
I dawnych trąbek na pobudkę  
Granie  
I rżenie koni w wilcze noce  
I w jasnym świetle kogutów  
Pianie  
I będą mgły po których słońce świeci

A liście z dawnych grobów  
Zbierały będą cudze dzieci

Ten wiatr nadleci  
A za nim stary kruk w górze błędzący  
I będzie długa noc  
A potem taki inny dzień  
Ciemnym brzaskiem się wolno budzący  
I zmierzch i... wiatr

I sznur żołnierzy odchodzący

### **Dwie Siostry i Tłumacz**

*Pamięci Iwy baronowej Bennet z Lund*

spotykalem się z Iwą  
ona lubiła mówić i słuchać swojej mowy  
a czasami i mojej  
ja uczyłem się od niej jednego i drugiego  
a moją trzecią drogą wiodącą w bezdroża  
było udawanie wielkiego twórcy  
jej słowa nieraz jasne jak błysk noża  
tłumaczyłem na polski  
wtedy  
w notesie obok moich utworów

---

kladły się słowa Iwy o siostrze Stanisławie Przybyszewskiej

której nie znałem  
wiedziałem jednak  
że taka była  
i że musiała się kiedyś  
narodzić  
a później  
coś tam sobie rysowała  
pisała  
czy na fortepianie grała

trochę piła  
kokainę brała  
do kina namiętnie chodziła  
żyła jak umiała  
szybko odeszła  
w zapomnienie też  
po latach weszła  
ożyła  
na chwilę zeszała  
z góry  
do teatru wróciła  
patrzyła jak ludzie  
bili oklaski po przedstawieniu  
więc  
otarła łzę wzruszenia  
i odeszła  
jak cień odchodzi od cienia

spotykałem się z Iwą baronową Bennet  
i ona  
mówiła dużo o siostrze Stanisławie  
że miała dużo z życia innych  
i mało miejsca na to co własne i swoje  
ja uważnie słuchałem

i było nas wtedy jakby troje

*Jerzy Marciniak*

## Piotr Müldner-Nieckowski

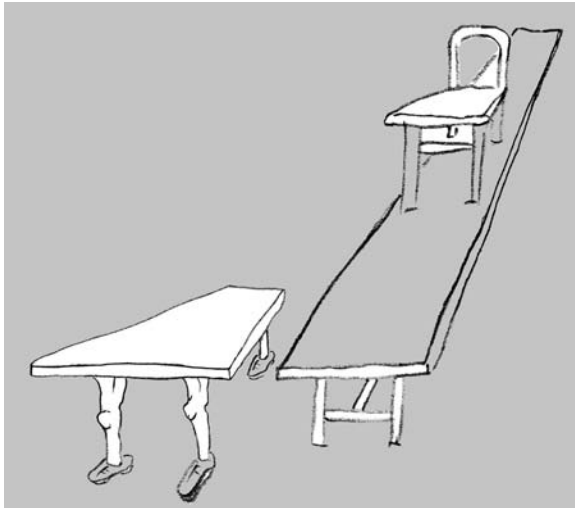
### Cztery drogi do nieba

*(do skandowania na uroczystościach)*

To takie proste  
Cztery szybki jeden haczyk i zasłona  
Jak to takie proste –  
Dwa przewody halo! światło  
Cztery razy cztery kolki  
Na dnie woda  
I skrzypią żurawie  
Jedna kula świeci  
Druga kula w nocy  
Jeden orgazm dwojga ciał i dobrze  
Trzecia kula w serce  
Jeden Bóg stu niedowiarków  
Stu bogów siedem wskazówek  
Sto zegarów i jedno wahadło  
Sto dwadzieścia osiem pięter  
Jedna bomba tysiąc dwieście zabójstw  
Trzyście pięćdziesiąt  
Z jednego chleba siedemnaście kromek  
Jeden haczyk jedna łyżka  
Cztery główki osiem rączek jedno wiadro  
Jeden kanał w jeden kosmos  
Dwa pudełka sześć podobizn  
Dziewięć rodzin  
Jeden uśmiech dwa uśmieszki  
Niepoliczalne złotko zdobień  
Trzy groby jeden Kochanowski  
Wszyscy jedźmy do Zwolenia  
Za kołami linie proste  
Jeden słup i dwa ramiona  
Wóz kuśtyka w jedną stronę  
Jedno słowo to początek  
Jedno słowo koniec

Początek bez końca a tam dwie ciemności  
Życie się zaczyna raz w miesiącu  
Na końcu jednej z dwóch trąbek  
To takie proste  
Jedna wędka jedna pętla ostrze  
Milion oczu przez jedną kamerę  
Za szybą trąba powietrzna  
Na drugiej półkuli wulkan  
Trzydzieści cztery kręgi  
W pięciu kątach domu  
Zbieraj szukaj zmieniaj

Wiersz z tomu „Schody”, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2015



Rys. Piotr Müldner-Nieckowski



## Krzysztof Piechowicz

### Jakub walczący

Jestem bez szans

Z tą rozoraną gliną biodra  
Zmorzony głodem  
Pragnieniem

Bezkresną jawą snu

Sypiąc na oślep iskrami  
Bólu

Jak kot  
Któremu wydarto źrenice

Spleciony w jedno z nagim  
Płomieniem

A jednak nie zwolnię z uścisku

Choćby ramiona me i stopy  
Z gliny  
Miały się rozpaść wypalone  
Z sil

A me usta z gliny  
Dotknięte rozżarzonym do białości węglem  
Nadludzkim nakazem zwierzęcym  
Krzykiem

Odrzucić musiały ostatnią posługę  
Gęstego jak noc powietrza

Nie przerwę tej nierównej  
Walki

Dopóki moje serce  
Ziemia moja jałowa  
Krwia zbrukane rozłogi  
Otwarte włóczęgą  
Zorzy

Nie trysną w lustrzaną  
Żrenicę

Całopalnym ogniem  
Twoim i moim i ich  
I tamtych  
Co będą po mnie.

### **Kołysanka Matki Boskiej**

Sama  
Na kolumnie nocy

Ze szczelnie zamkniętą  
Z kości skleconą kolebką

Jeśli będzie trzeba  
Bez anielskich mocy

Połknę siedem ostrzy  
W kosmicznym cyrku  
Sama

Byleś  
Ty mi zdążył

W białą gołębicę  
Przemienić się

Synku.

Byś zdążył  
Ulecieć

[Przed pierwszym

Przed pierwszym  
Kura pianiem.

### **Tryptyk w bieli**

Prawe skrzydło  
W runicznej bieli obłoków

Nagich  
Perel ciał.

Po lewej stronie biel  
Jednaka

Ze zgrzytem lejących się  
Strug  
Stali i siarki

Na biały węgiel kości  
Na wybielony  
Proch krwi.

Pośrodku czyli  
Tu

Gdzie ty właśnie  
Jesteś

Biel światłoodporna  
Gęsta jak mleko

Mgła  
Skrawek całunu bielmo  
Na pulsującej w ciemnościach źrenicy

Lub smuga prześwitu  
W szczelinie grotty

Wybór jest twój  
Synu ciemności.

**Pierwszy śnieg**

W swej nagłej czystości  
Oślepiający

Obcy  
Jak biały kostur  
Kulawym i ślepym

Stopom i dłoniom  
Gdy je prowadzi

Podobny do światła  
W jego wędrówce

Po skóry szorstkich  
Rozłogach

W otchłań  
Bezpowrotnie ginących  
Komórek

Przez uśmierzone zmysły  
Jakby to było martwe  
Po burzy jezioro

Z samotną łódką księżycą  
W złudnym polowie  
Pogrążoną.

Więc jest pośród sieci rybackich  
Prostym  
Jak pas startowy

Nad siwą wodą  
Płowiejącym płótnem

Lnianą tkaniną –

Zajęcze tropy  
Tam gdzie nos złamany

[Gdzie ust

Gdzie ust zarys płochliwy  
Przełot łani kuropatw  
I lasic

Wiewiórczych pazurków flagellum  
Skośne i niecierpliwe

Na piersiach brzuchu  
Udach

Zakrzepła czerwień  
W boku  
Liścia tłące się szkliwo

W wilgotnych płomieniach brzasku  
Pod łąk obłokami  
Rozwłóczonymi

W chmurach paproci  
Korzeni.

A ponad nimi tylko lament  
Kawki  
Zakłóca ciszę

Tej niepewnej bieli.

*Krzysztof Piechowicz*

## Krzysztof Rudziński

### Dziura

W poszukiwaniu tematu  
nowego wiersza  
natknąłem się niespodziewanie  
na dziurę.

Gdyby była w płocie  
lub porzuconym garnku  
(temat epicki)  
przeszedłbym obojętnie obok.

Tymczasem moja  
już na pierwszy rzut oka  
zdawała się być  
– dziurą w całym.

Mając taki temat  
nie wolno wypuścić go z rąk.  
Opanować ich drżenie.  
Nie dać nic poznać po sobie.  
Przechadzać się dalej,  
jak gdyby nic się nie stało.  
Jakby podczas grzybobrania  
znalazło się żyłę  
białych trufli.

Najlepiej pluć sobie w brodę  
albo dla niepoznaki poprawiać łańcuch  
przy kuli u nogi.  
Położyć uszy po sobie.  
Paluszki lizać.  
Szukać w trawie zielonego pojęcia  
albo deski ratunku.

Nie wolno schodzić na psy,  
ani po nitce do kłębka.  
Nie być na ustach wszystkich,  
ani w stanie wskazującym  
mieszane uczucia.

[Najlepiej zawisnąć

Najlepiej zawisnąć na włosku,  
słowem – czekać.

Dopiero po wyprowadzeniu w pole,  
z wysuniętym pomiędzy wargami  
języczkiem uwagi,  
należy przyjrzeć się dziurze.

Trzeba przyznać, że nie jest to łatwe.  
Dziura jest w stanie przyszłym  
niedokonanym.

Służy do szukania  
pustki, która nastąpi,  
który będzie, kształtu.  
Echa, gdy nie powróci  
na wzroku wołanie,  
za którym się przecisniesz  
w jej odmiennym stanie.

Dziury przyszła natura  
bujnie się obnaża,  
to nic ją nie kosztuje,  
teraz oczy twarzy  
jej patrzą szczelnie zamknięte,  
niewiadomych planet,  
lecz pierwsza myśl już padła,  
wnet zamiar się stanie.

Sto lat świetlnych to chwilka  
obojętna dziurze.  
Ona, że w stanie przyszłym –  
może czekać dłużej.

Więc śni się płasko sen o dziurze,  
antrakt w materii doskonały,  
co swoim kusi ideałem.  
Roi się wielki ścieg po dziurze,  
po dziurze przyszłej, mówiąc ściśle,  
po dziurze w całym oczywiście.

Dziura, gdy dokonana,  
ruchy odśrodkowe  
zwykle przejawia często,

swą lepszą polowę  
roztaczać pragnie dalej,  
nazwać po imieniu,  
a więc się rodzą dziury  
– choć nie na kamieniu.

(Na nim, coś z nimi krucho,  
odporny jest na nie).

Podobno drzwi nie staje  
mu, ale organ słuchu  
i mowy ma jak trzeba.

A to jest przecież dziury  
dalszy krok do nieba,  
gdzie po niej śladu  
w całym próżno wypatruję.

O, bycie na wskroś  
Bramo,  
dróg na skróty ciszo,  
okrągła nowej skarpetki rocznico,  
twarda sztuko materii,  
stacjo na żądanie,  
miniaturu przepaści,  
słów tabula raso.

O Tobie rozmyślanie –  
to jest,  
dziura w dziurze,  
dziura przedziurawiona  
dostrzeżona w dziurze,  
jak igła w stogu siana.

W końcu dziuro w całym  
jesteś wyszana z palca  
w otwór doskonały,  
przez który można nawet  
przejść samego siebie.

*Krzysztof Rudziński*



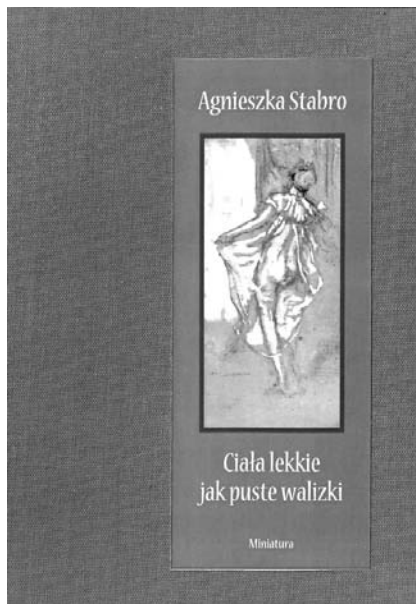
## Agnieszka Stabro

\*\*\*

Na lustrach  
zostały ślady po naszych oddechach

Odlamki czasu niewidoczne dla oka

Wiersz pochodzi z tomiku *Ciała lekkie jak puste walizki*, wydawnictwo Miniatura, Kraków, grudzień 2015



## Agnieszka Syska

### wraca Arka

wszystkie wiersze wracają do swoich początków prapoczątków trwania  
początków stworzenia przed stwórcą początków stworzenia przed  
archaniołem początków stworzenia przed aniołem początków stworzenia  
przed stwórcą archaniołem aniołem człowiekiem

najmniejszym zgoła najlichszym zgoła  
pośród zwierząt pośród ssaków pośród gadów pośród płazów pośród  
ptaków pośród owadów pośród judy  
najmniejszym zgoła najlichszym zgoła pośród proroków słowa

słowo było początkiem prapoczątkiem prastworzeniem pratrwanieniem  
unaszalo się ponad wodami nie nazwanymi wodami unaszalo się ponad  
ładami nie nazwanymi ładami  
słowo nie nazwane słowem słowo nie nazwane słowem pośród  
nienazwanych

potrzebowało wód by się unaszać potrzebowało łądów by osiadać  
potrzebowało wód potrzebowało łądów by trwać  
było jako stwórca nie nazwany stwórcą było jako archanioł nie nazwany  
archaniołem było jako anioł nie nazwany aniołem było jako człowiek nie  
nazwany człowiekiem było jako zwierzę nie nazwane zwierzęciem

jak je opisać prażęglarza pośród wód rozbitka pośród łądów pośród dni  
stworzenia  
spragnionego pośród początkowych wód nienasyconego pośród końcowych  
łądów  
pradryfiarza który nie może pokrzepić się ósmym dniem

zagubione pośród pierwszego dnia nie odnalezione pośród siódmego dnia  
męczy się odpoczywa odpoczywa męczy się samo trwanie nadaje mu imię  
słońce słońce słońce nad słońcami co rządzi dniem księżyc księżyców księżyc  
nad księżycami co rządzi nocą

wraca do siebie arka ponad wodami przymierze ponad łądami  
wiersz którym był stwórca stworzony ze słów w którym ciało ma  
odpocznienie

*Poemat do wydania 2., poszerzonego, książki Agnieszka Syska „stworzony z prawiersza”.*

## Jerzy Śleszyński

### Film

Rozmawialiśmy o filmie  
nie było wyrafinowania  
zwykle przerzucanie się słowami  
argumenty i spostrzeżenia  
targowisko próżności  
od fortyfikacji „jestem pewien”  
przez pustynię „no nie wiem”  
aż po wysypisko „podobalo mi się”  
nikt jednak nie stwierdził  
nie podjął tytułu  
nie zamilkł  
że to była opowieść o tym  
jak grande belezza znika  
przez nas staje się  
bezpowrotnie  
pospolitą brzydotą

### Cisza

Jest  
a jednak  
jej  
nie ma

w godzinie wilka  
kiedy zasypiają telewizory  
ślepną ściany mrówkowców  
ruch zmienia się w bezruch

można wsłuchać się w odległe  
mlaskanie samochodowych kół  
w ciurkający strumień wody  
do wanny sąsiada za ścianą

kuchenny mebel na chwilę ożywa  
strasząc rozeschnięciem desek  
z duchowym szelestem przechyła się  
plastikowa torba oparta o regał

chyba nie ma lepszej ilustracji  
idealnego bytu  
jest cisza  
a jednak jej nie ma



Dom. Mal. Agnieszka Syska

## Janusz Wasylkowski

### Myśli cokolwiek zezowate

- Stracił dobre imię. Wyrobił sobie nazwisko.
- Przesądni już dziś się martwią, czy Sąd Ostateczny nie wypadnie przypadkiem trzynastego i w piątek...
- Nie ma pracy dla wszystkich. Pieniądzy jest jeszcze mniej.
- Policja wszędzie ma swoich ludzi. Także i w policji.
- Gdy ideowców nie można przekupić, kupuje się ich idee.
- Bici mają lepszą pamięć od bijących.
- Kazano nam nie szczędzić krwi i potu. O spermie nie było mowy.
- Powiadała, że debilizm erotyczny to najniższy szczebel rozwoju umysłowego człowieka.
- Zdobył ją bez wysiłku. Ileż jednak trudu i wydatków musiał ponieść, aby się jej pozbyć?!
- Wybierali sobie sąsiadów. Stratowali po drodze tych, którzy nie wybrali...
- Rzekł Pan Bóg, posyłając anioła: - Będiesz żył na najlepszym ze światów! Westchnął anioł: - Znowu na tej choliernej Ziemi!
- Rozeszły się pogłoski o powstaniu. Niektórzy zaczęli się dopytywać, czy dotyczy to tych, którzy siedzą, czy tylko tych, którzy kłęczą...
- Niektórym się pomyliło: zamiast zażegnać burzę, próbują ją przeżegnać...
- – Żyj wiecznie! – takim okrzykiem witano Cezara. Później go zabito. Może właśnie dlatego...
- Powiedział: – Zagonią nas do uczciwej pracy! Wyczułem w jego słowach niepokój, ale nie bardzo wiem, czy dotyczył on słowa „zagonią” czy też „uczciwej”...
- Kładłem mu łopata do głowy. Teraz twierdzi, że zatrudniał mnie do wykonania prostej pracy fizycznej...
- Człowiek jest śmiertelny, głupota nieśmiertelna. Trudno żyć, mając takie perspektywy...

## Zbigniew Zbikowski

# Strażnik z Beauregard

(fragment powieści)

### Czternasta dwanaście

Jakiś nieuchwytny kształt na jedno mrugnięcie powieką przecina światło słońca. Mgliste nie wiadomo co przemyka cieniem po narożniku kawiarnianego stolika jak trzy klatki szybko wyświetlanego filmu. Po drugiej klatce tor lotu ciała gwałtownie się zakrzywia, cień umyka pod stół i w tej samej chwili rozlega się głuche *klast*. Odgłos, jakby z ostatniego piętra wyrzucono na ulicę worek dojrzałych, pękających arbużów.

Przeleciał gołąb, a nagły podmuch wiatru strącił donicę? *Klast* mogło wydać też coś, co spadło z bagażnika samochodu. Takie rzeczy na ulicy się zdarzają, po cóż zawracać sobie nimi głowę. Zwłaszcza, gdy mózg wrzeszczy: Stop! Żadnych koniunkcji ni implikacji! Przynajmniej nie teraz, gdy od pnia po płaty czołowe przepelniają go obrazy słane bez opamiętania z przeciwnego kierunku przez rozpalony nerw wzroku.

Rutynową czynność, polegającą na unoszeniu co chwila filiżanki do ust, wykonuję niczym automat do picia kawy. Cała moja uwaga, czucie i nadzieja skoncentrowane są w żrenicach, podążających od paru minut za czerwoną płamą elastycznej bluzki opinającej biust zmysłowej brunetki. Takiej bluzki, którą błyskawicznie się wkłada i równie szybko ściąga w jednym z tych pokoiów nad kawiarnią, wynajmowanych u gościa za barem na dobę, na pół dnia, na sześćdziesiąt minut. Pan sobie życzy na kwadrans? Niestety, krócej niż na godzinę nie wynajmujemy, rozumie pan, ale przecież można pan wyjść szybciej, jeśli jest życzenie...

Szerokie wycięcie pod szyją odsłania raz jedno raz drugie ramiączko czarnego stanika. Zapinany czy może elastyczny, z haftkami z tyłu czy zakładany przez głowę? Jedna połowa mózgu z perwersyjną przyjemnością leniwie poszukuje odpowiedzi na nieistotne pytania, druga z pęczniącym niepokojem obserwuje tę pierwszą: człowieku, przestań, opanuj się, są teraz ważniejsze sprawy niż twoje erotyczne fantazje! Tam coś się stało!

Trwająca ułamek sekundy szamotanina realizmu z wyobraźnią ustaje dopiero po zbiorowym jęku przerażenia, jaki wdziera mi się przez uszy pod czaszkę i jednym podmuchaem przepędza wszystkie bezrozumne imaginacje. Jęk wypłuło kilkanaście gardel kawiarnianych gości siedzących przodem do wąskiej uliczki schodzącej ze wzgórza Montmartre ku opływającym je bulwarom. Ci siedzący tyłem gwałtownie się obrócili.

O mój Boże, jasny gwint, cholera, Jezusie, uuu-laa!

Nagle spojrzenia czerwonej bluzki i moje podążają w tym samym kierunku. Ona zrywa się, by z innymi podbiec do niewidocznej linii odgradzającej stoliki od ulicy (...) muszę więc i ja wstać, żeby się dowiedzieć, co tam się stało, na tej cholernej, biegnącej w dół ulicy.

Człowiek leży na brzuchu na środku jezdni, dwa metry od krawężnika, w nienaturalnej pozycji, z przedziwnie wygiętą ręką. Wytrącona ze stawu barkowego i złamana w nadgarstku, sprawia wrażenie sztucznej.

Młodzieniec. Jego wygląd podpowiada łatwy sąd: Algierczyk bądź Marokańczyk, ach, ci, wiadomo. Ubrany jest w wytarte dżinsy i białą bawełnianą koszulę. Jego głowa z twarzą w dziwnym grymasie, skrzyła się po upadku w naszą stronę. Otwarte czarne oczy o obojętnych źrenicach patrzą w nicłość. Prawy but, chińska podróbka sportowego adidasa, wyśladował trzy metry dalej, na przeciwległym chodniku. Pewnie oderwał się od stopy w momencie uderzenia ciała o beton.

Bezruch ogarnia solidarnie but i ciało. Tylko biel koszuli w okolicy kołnierzyka zachlustyje się nagłym przyplywem czerwieni w odcieniu soku, jaki zwykle wypływa z pękniętego przejrzałego arbuza.

Zerkam na czarną w czerwonym. Nie wygląda na poruszoną. Patrzy na wszystko chłodno, bez egzaltacji ogarniającej innych świadków, jakby wyrzucanie gości przez narożne okno na trzecim piętrze podejrzanego hoteliku zdarzało się tu co poniedziałek. Wyciąga nie wiedzieć skąd komórkowy telefon i wybiera numer alarmowy. Mówi spokojnie, co się stało, że mężczyzna, że upadł, że leży bez ruchu.

(...) Mam wrażenie, że zostałem w kawiarnianym ogródku sam, otoczony przez karny zastęp plastikowych stolików i gromadkę zdezorientowanych pustych krzeseł w komendzie na spocznij. Z daleka słyszę sygnał nadjeżdżających pompierów. Wystarczyli im dwie minuty od telefonu. Są przy ofercie szybciej niż policja. Nic jednak po nich. Leżący na ulicy Algierczyk czy Marokańczyk nie żyje. Strażacy przykrywają jego ciało czarnym workiem.

Obserwując beznamietnie ruch wokół zwłok człowieka wyrzuconego z trzeciego piętra, czuję na plecach świdrujące spojrzenie. Wwierca mi się pod łopatkę, drapie po karku, wbija w podstawę czaszki. Nie obejrzę się jednak. Wytrzymam, jak długo się da. On także nie zrobi kroku. Wiem, że jeśli gwałtownie się odwrócę, zobaczę tylko rozedrgane gorące powietrze, sztywniejące niczym płynna galareta w chłodzie kamiennych paryskich murów.

– Przypatrz się, przypatrz! – słyszę gdzieś w swoim wnętrzu jego głos. – Z nim było tak samo. Jota w jotę. Wyleciał przez okno, upadł na bruk i się zabił. Tu, w tym miejscu, w czterdziestym szóstym.

Próbuję wywołać w wyobraźni jego wygląd. Niski wzrost. Starannie zaczesane jasne włosy. Twarz charakterystyczna dla wschodnich Europejczy-

ków, z lekko wystającymi kośćmi policzkowymi i echem fałdu mongolskiego w oczach. Płaski, rozszerzony u dołu nos. Stoi z lekko wysuniętą do przodu prawą stopą w mocno schodzoną, niegdyś brązowym butie. Ma na sobie mundur czerwoarmisty, jego głowę przykrywa budionówka z pięcioramienną gwiazdą. A może jest w mundurze pomocnika niemieckiego oficera, bez dystynkcji, jedynie z trójkolorową rosyjską naszywką? Albo pojawia się jako *maquisard* w brytyjskim *battledressie* i francuskim berecie? Albo jako obozowy strażnik w furazerce? Mógłby być każdym z nich i zawsze byłby sobą.

– No więc... – szepcze mi prosto do ucha, lecz nie czuję na małżowinie jego oddechu. – No więc zobaczyłeś, jak zginął. Zadowolony? – Nie wiem, czy potrafi czytać w moich myślach. Na wszelki wypadek się nie odzywam. – Tak, tak... – skrzeczy. – To nie było samobójstwo. Tak napisano w kronice wypadków, ale naprawdę został wyrzucony przez to okno – oznajmia. – Kiedy znajdował się w locie, jeszcze żył. Wyobrażasz sobie tę sekundę? Ten wyścig krwi z tlenem? Najpierw duszenie i ciemność w oczach, potem ostatni haust powietrza i spotkanie z brukiem. I ta nagle utracona, ledwo odzyskana nadzieja. I znowu czerni...

Dłużej nie wytrzymuję. Oglądam się. Żadnego zaskoczenia. Tylko rozedrgane powietrze. Trzy metry za mną stoi kobieta w czerwonej bluzce. Odsłoniła lewy bark przekreślony w pionie czarnym ramiączkiem. Przygląda mi się, patrząc pod światło (...)

– To straszne, prawda? – mówi, jakby dla sprawdzenia, czy odezwę się po francusku.

Kiwam głową. Szukam słów.

– Zaskakujące – odpowiadam. – Siedziałem blisko, tu, prawie na samym rogu, niczego nie zauważyłem.

Mój akcent mnie zdradza.

– Rosjanin? – próbuje zgadnąć.

Zaprzeczam gwałtownie poziomymi teraz ruchami głowy, najpierw o dużym zasięgu, potem coraz węższym.

– Polak – stwierdzam na zakończenie cyklu drgań.

– Ach, tak... – odzywa się, nie kryjąc zaskoczenia, i zaraz układa usta w zagadkowy półuśmiech, po czym obciąga bluzkę, odsłaniając drugi obojczyk.

– Zna pani jakichś Polaków? – pytam.

– Może znam... – odpowiada dwuznacznie i zaraz zmienia temat. – Policja będzie pytać... – informuje, nie kończąc zdania. – Już są. – Pokazuje dużymi oczami niewidocznych jeszcze dla nas funkcjonariuszy.

(...) Wykonuje głową szybki gest, oznaczający idź za mną, i rusza ku wyjściu. Pozwala mi przez kilka sekund napawać się widokiem swej figury w ruchu do przodu i na boki jednocześnie. Mija schody na górę, ach, dlaczego tam



nie idziemy, no tak, tamtych na górze będą szarpać w pierwszej kolejności, dlatego. Wprowadza mnie do sali na parterze, przeprowadza przez kuchnię, otwiera drzwi na podjazd dla dostawców. Pozwala, bym przeszedł bardzo blisko niej, ale nie daje spojrzeć sobie w oczy. Sama nie wychodzi.

– Jak pani na imię? – pytam beznadziejnie, jak uczeń.

Uśmiecha się.

– Juliette – mówi.

Nie jest ciekawa mojego imienia, ale chyba wyczuwa, na co czekam.

– A pan? – pyta uprzejmie.

– Żorz – odpowiadam.

– Czyżby? – dziwi się, ściskając klamkę, którą za chwilę pociągnie ku sobie. – Jest takie polskie imię?

Skąd ona może o tym wiedzieć?

– Jerzy po polsku – poprawiam się i tłumaczę: – To po dziadku, którego nie poznałem. Zginął...

Nie chce słuchać tej historii. Już zamyka drzwi, ciągle się uśmiechając.

– Do widzenia – mówi, gdy zostaje jej tylko domknąć szparę.

– Do widzenia, Juliette – zegniam się, zostawiony sam sobie. – Miło było cię poznać – dorzucam, patrząc na zamknięte drzwi, które przyjmują moje wyznanie bez poruszenia, z chłodną obojętnością.

Czy zapłaciłem za espresso? Chyba nie... Na pewno nie. Zostało niedopite na stoliku. Wrócę tu jutro i zapłacę. Chcę zobaczyć ich miny, gdy powiem, że tak się złożyło, wicie, ten wypadek i to całe zamieszanie, ale chcę być w porządku, proszę, oto cztery euro.

Liczę, że przy okazji znowu zobaczę Juliette w czerwonej, a może tym razem w ciemnoróżowej bluzce.

Chciałbym jej wytłumaczyć, że nazywali go w domu Żorz, dlatego ja tak odruchowo, bo ja swe imię dostałem po nim, jak mówiłem, choć nigdy, ani ja, jak mówiłem, ani moja matka, nazywająca mnie pieszczotliwie Żorzykiem, nie widzieliśmy go żywego na oczy. Tylko co ją to obchodzi?

Wielki czarny Citroën, który jakby czekał na moje pojawienie się na podjeździe, bo nikt przy mnie do niego ani nie wsiadł, ani z niego nie wysiadł, rusza nagle spod ściany budynku ku bramie, by wytoczyć się na zewnątrz dziedzińca i zniknąć w potoku aut mknących bulwarem. Nie chcę niczego widzieć, co mnie to obchodzi, ale coś dzieje się wbrew mej intencji. Moje oczy na ułamek sekundy nadziewają się na obojętne spojrzenie pasażera obok kierowcy. On omiata mnie wzrokiem jak przydrożny słupek, który trzeba omiąć, ja w tym czasie topię swój wzrok w zimnej głębinie jego oczu. Na jej dnie dostrzegam roztrzaskany o beton arbuz, z którego wypływa strużka czerwonego soku.

*Zbigniew Zbikowski*

## Krzysztof Beška

# Rikszą do nieba

(fragment)

Ojca nie zastałem w mieszkaniu. Obyło się więc bez litanii. Na stole w kuchni leżała za to kartka, na której napisano kilka równych linijek. Lubilem charakter pisma taty. Uspokajał mnie.

– „Jeśli czytasz tę kartkę, to żyjesz i nie jesteś na Pawiaku. A to oznacza, że powinieneś coś zjeść. Odgrzej sobie zupe śmieciową, a potem zarób z łaski swojej parę groszy. Ja pojechałem zwiedzać okolicę. Tradycja musi być tradycją. Będę wieczorem” – przeczytałem na głos.

Zrozumiałem, że pisząc o tradycji, tata wciąż myślał o Wielkanocy. Był to okres żniw dla wszystkich szmuglerów, grzech było więc nie skorzystać. Zrobiłem, jak sobie życzył i jak życzyły sobie moje kiszki: zjadłem pierwszy tego dnia posiłek. Następnie, w myśl wytycznych, udałem się do pracy. Tego dnia miałem znów wykład, ale dopiero o trzeciej po południu. Można było więc pokręcić nieco za groszem.

Miałem szczęście, bo pierwszy klient trafił się tuż za bramą kamienicy.

– Na Nowogrodzką – rzucił.

Wyjechaliśmy na Sienkiewicza. Szacowałem, że droga zajmie mi dziesięć, może siedem minut. Pod warunkiem, że nie natkniemy się na kolumnę Wehrmachtu, co było w Warszawie obrazkiem coraz częstszym i nie pozostawiało wątpliwości co do dalszych planów Hitlera i jego marszałków. Nie dotarliśmy jeszcze do arterii, gdy mój pasażer się odezwał. Nie skrzył przy tym głowy w bok, żebym mógł lepiej słyszeć, jak miało w zwyczaju wielu przewożonych przez nas ludzi, który lubili zabić czas miłą pogawędką.

– A tata w trasie, co? – rzucił przed siebie.

Udałem, że nie słyszę. Nie znałem tego człowieka, byłem tego pewien od pierwszych chwil jazdy. Nie uważałem więc za właściwe rozmawianie o tym, czym się zajmuje mój ojciec.

– Kupiłbym coś – nie ustępował nieznajomy.

– Polecam sklep pana Bajtla. Tylko trzeba mieć kartki...

Zaśmiał się. Dziwny był to śmiech, zduszony, jakby czarci.

– Żarty się pana trzymają – rzekł nieznajomy po chwili. – Ciekawe, czy na Szucha też by pan tak żartował, gdyby czarni wzięli w obroty...

Zahamowałem ostro. Tak ostro, że pasażer omal nie spadł. Mimo to uśmiech nie zniknął z jego twarzy. Wstał powoli z miejsca i wszedł na krawężnik, dokładnie naprzeciwko wejścia do dawnego Instytutu Oftalmicznego.

– O co panu chodzi? – warknąłem.

Dopiero teraz spowaźniał.

– Dwa tysiące złotych do soboty, do szóstej po południu – oświadczył, gładząc się dłonią po czerwonym policzku.

Ten wąsik. Czy to nie on papił się na mnie, gdy z profesorem Lorynowiczem jedliśmy kapuśniak? – przeszło mi przez głowę.

– Szósta pięć jadę na Szucha – dorzucił.

Poczułem nagle gorąco w stopy. Jakby ktoś mi je zaczął przypalać. Wiedziałem już przecież, z kim mam do czynienia i czemu miała służyć ta krótka przejażdżka. Mimo to próbowałem zachować zimną krew.

– Co takiego?! – prychnąłem. – Nie wiem, o czym pan mówi.

– Wiesz, dobrze wiesz. A jeśli cena wydaje się wam za wysoka, to gwarantuję, w ciągu trzech godzin wylądujecie z tatulem tam, skąd nikt nie wychodzi. Wystarczy jedno słowo, a na wielkanocne śniadanie zjecie własne jajka.

– Ja mam dla ciebie nawet trzy słowa: spieprzaj, kpie zajebany!

Ale on często chyba słyszał tego typu nieprzystojne słowa i spływały one po nim jak po przysłowiowej kaczce.

– Dwa tysiące złotych. Może być w góralach. Czekam pojutrze od piątej do szóstej w kawiarni „Za kotarą”. To będzie czwartek. Zapamiętaj.

– Won!

– Radzę się nie spóźnić.

To powiedziawszy, szantażysta odwrócił się, splótł ręce za plecami i skierował kroki w stronę witryny sklepu z wełnami i jedwabiami. Równie miękkie jak towar, którym kiedyś tam handlowano, były moje uda i lydki.

Nie pojechałem nigdzie, aby szukać klienta i zarobić, jak polecił ojciec i wspólnik, trochę grosza. Odechciało mi się zupełnie oglądać ludzi. W każdym widziałem szantażystę i szpicla. Wróciłem do domu, drżącymi wciąż ze zdenerwowania rękami zamknąłem klódkę w komórce Wasiaka i ze zwieszoną głową powlokłem się na górę. Wciąż brzmiały mi w niej słowa tamtego człowieka, a przede wszystkim jego irytujący śmiech.

Wiedziałem bardzo dobrze, że warszawskie ulice noszą i takie indywidualia, których chlebem powszednim jest żerowanie na innych. Tych, którzy aby przeżyć, łamali wprowadzone przez Niemców zakazy. Niewiele zresztą trzeba było, by je złamać, a przez to zasłużyć na czapę.

Usiłowałem sobie przypomnieć, czy człowieka tego rzeczywiście już gdzieś spotkałem, w knajpie na Marszałkowskiej, a może gdzie indziej. Nie trzeba było zresztą znać nikogo, by stać się celem ataku. Starczyło, że się dowiedział od kogoś, usłyszał nazwisko szmuglera, poświęcił dzień czy dwa na obserwację. Tak się złożyło, że propozycję nie od odrzucenia usłyszałem

ja. Póki co jednak nie mogłem tej hiobowej wieści przekazać adresatowi, więc męczyłem się z problemem sam.

– Gdyby chociaż Bela był w Warszawie... – westchnąłem.

Bo takie rozwiązanie przyszło mi do głowy, zresztą jako jedno z pierwszych: iść na miejsce spotkania, do niecierzącej się dobrą renomą kawiarni „Za kotarą”, zabierając ze sobą Franka, który był wprost wymarzoną towarzyszem podobnych wycieczek. On i jego dobrze leżący w dłoni przyjaciel. Wyszlibyśmy na zewnątrz pod byle pretekstem, doszli tam, gdzie ludzie chorują na głuchotę i ślepotę. Ech, że też wybrał sobie moment mój kolega, by wyjechać.

Chodziłem po mieszkaniu jak skazaniec po celi śmierci. Widok z okna przyniósł ulgę, ale tylko na chwilę, zaraz sobie bowiem pomyślałem, że ten skurwiel czai się gdzieś za rogiem i pilnuje, czy aby z ojcem nie dajemy drapaka z miasta. Co to byłby za problem, szepnąć o nas słówko choćby żandarmowi na dworcu? Albo żołnierzowi kierującemu ruchem na skrzyżowaniu? Nie mówiąc już o zawsze pomocnych granatowych policjantach...

Pochłonięty rozmyślaniami, nie zauważyłem, że zbliża się pora, kiedy powinienem wyjść z domu, by nie spóźnić się na komplet. W biegu wzięłem buty, mknąłem po schodach, walczyłem z rękawami płaszcza. Na szczęście na Warecką nie było daleko.

Zbliżałem się właśnie do rogu ulicy, za którym było już widać wejście do lokalu, gdy nagle czyjaś ręka wciągnęła mnie do bramy.

– Co jest?! – krzyknąłem, bardziej zdenerwowany niż przestraszony.

– Morda w kubel, jeśli chcesz jeszcze pochodzić po tym świecie – dobiegło z półmroku, a uścisk zelżał.

Ujrzałem jakiegoś faceta w średnim wieku. W kąciu ust tkwi tłący się pet. Nieznajomy wykonał ruch głową w kierunku, w którym szedłem.

– Masz, student, szczęście, że zaspaleś – powiedział.

– Bo co?

– Wsypa była na uniwerku.

– Wsypa?!

– Ciszej, do cholery! Przyjechali chwilę temu, wzięli wszystkich. W sumie będzie z dziesięć osób. Nie licząc profesora i woźnej.

Zamilkł. Usłyszałem szczekanie psów i warkot samochodowych silników, a może to tylko wyobraźnia pracowała zbyt mocno.

– Ktoś nie wytrzymał i puścił farbę. Szkoda dzieciaków. Każdy będzie miał swoją Golgotę... – westchnął mój wybawca.

– Szkoda – powtórzyłem głucho.

\*

Za cholereę nie mogłem sobie znaleźć miejsca. W domu źle, w mieście jeszcze gorzej. Miałem wrażenie, że z każdego rogu ulicy gapi się na mnie szpicel. Gapi i notuje. Czego się dotknąłem, rozpadalo się jak domek z kart. Do tego tata nie wracał z trasy, co prowokowało domysły, że znów mu się co złego przytrafiło. Albo że szmalcownik już wcielił w życie swoje groźby. Trzymając mnie w szachu, a ojca na Pawiaku, miał przecież o wiele większe szanse, by uzyskać to, co chciał. Swoje dwa tysiące. A może i więcej.

Jedyne, co wydawało mi się sensowne, to pojechać na Ochotę. Chciałem zobaczyć Izabelę. Wizyte usprawiedliwiłbym troską o dziewczynę, która minioniej nocy przeżyła przykrą przygodę. Tak też zrobiłem. Zabezpieczyłem riksę jak ostatnio i wbiegłem na górę. W oczekiwaniu na otwarcie drzwi chuchnąłem jeszcze w dłoń, by sprawdzić, czy nie odstraszaam swoim oddechem, i kilkoma ruchami przyglądałem włosy.

Ale nikt mi nie otwierał. Może Izabela spała. Zadzwoiłem ponownie, ale bez skutku.

– No trudno...

Zbiegłem na dół. Ledwo jednak znalazłem się na niższym piętrze, otworzyły się drzwi. Być może były to te same drzwi, przez które ktoś nasłuchiwał wczoraj późnym wieczorem. Tym razem jednak ów ktoś przez nie wyjrzał. Mało tego: odezwał się!

– Proszę pana.

Między futryną a krawędzią drzwi zobaczyłem głowę starszej kobiety. Typowe. Musiała czatować przy judaszu.

– Tak?

– Pan do pani Izabeli? – zaskrzeczała jak sroka.

Co za pytanie! Co za wścibskie babsko! Normanie prychnąłbym z pogardą i pokazał jej plecy. To byłoby i tak najgrzeczniejsze. Ale nie wiadomo czemu zareagowałem inaczej.

– Tak. Dzień dobry pani. – Zdjąłem na chwilę czapkę. – Jestem jej... bratem.

– Bratem?

– Tak. Przyjechałem z Mokotowa. Nie wie pani, kiedy siostra będzie w domu?

Słuchałem tych bzdur, które zadziwiająco wartko płynęły z moich ust, i chciało mi się śmiać. Nie mogłem jednak tego zrobić. Rolę trzeba było grać twardo dalej. Miałem nadzieję, że rzeczywiście dowiem się dzięki temu, kiedy Izabela wróci do domu. Tacy sąsiedzi wiedzą zawsze o wiele więcej, niżby nam się wydawało.

Nie miałem pojęcia, że moje kłamstwo pociągnie za sobą konsekwencje. Oczy starszej pani powiększyły się. Żwawo wyskoczyła z mieszkania, wymachując rękami.

– Panie kochany, sąsiedzie najmiłszy! – zaczęła trąkotać, gestykując przy tym, co nie było bezpieczne, ponieważ trzymała w prawej dłoni widelec. – Serce moje. Pan na pewno nie odmówi starej kobiecie, na pewno...

Nie miałem pojęcia, o co jej chodzi. Przepchać rurę? Wbić gwóźdź w ścianę? Mężczyzn w warszawskich domach z wiadomych względów było jak na lekarstwo, więc dlaczego nie? Mogłem to zrobić. Jako riksarz czasami wnosilem ciężkie toboły pasażerów nawet na najwyższe piętra, otrzymując za to napiwek, chociaż nie zawsze.

– Ale o co chodzi? – zapytałem.

Stara, zamiast odpowiedzieć, zaczęła ciągnąć mnie do mieszkania.

– Znam życie i wiem, że tylko pani Izabela może nam pomóc – wysapała, gdy byliśmy już w przedpokoju, długim i ciemnym jak jakieś kazamaty. – Tylko państwo jedni...

Pozwoliłem się zaprowadzić jak małe dziecko do jednego z pokoi, chyba największego w tym mieszkaniu, gdzie przy okrągłym stole, przy filizance do połowy wypełnionej herbatą siedziała inna starsza, szczupła pani. Ubrana była na czarno, na głowie miała toczek bez woalki.

Kobieta ta na mój widok wstała z miejsca, ale równie szybko usiadła.

– To jest pani Maria Teresa Zdunek z ulicy Mokotowskiej – z sapką i przejęciem przedstawiła swojego gościa sąsiadka. – Czekamy tu we dwie na panią Izabelę. Ja mówię: pani Zdunkowa kochana, ja sobie tę rękę uciąć dam, jak ona nam nie pomoże. No bo kto, jak nie ona, serce moje. Ona na pewno nie odmówi starej kobiecie.

– Ale o co chodzi? – zapytałem nie swoim głosem.

Jednak to nie sąsiadka, a sama Maria Teresa Zdunek odezwiała się na wezwanie. Łamiącym się głosem, robiąc częste przerwy na zaczerpięcie oddechu, kobieta opowiedziała, jak to gestapo aresztowało dwa dni temu jej jedyne dziecko.

– A przecie mój Michalek nie jest niczemu winien, nie należy do konspiracji. A w tym miejscu, skąd go wzięli, w jednym z tych magazynów na Stawkach, był przypadkowo!

– Bardzo pani współczuję. Naprawdę, z całego serca... – wybąkałem.

Obie kobiety wbiły we mnie spojrzenia. A ja zaczynałem już chyba powoli rozumieć, czego ode mnie oczekują. Właściwie nie ode mnie, a od Izabeli. Przypadkiem stałem się pośrednikiem. Że też wpadło mi do łba przedstawić się jako brat... Ale nic, słowo się rzekło.

– Tylko pani Izabela może wyciągnąć go z Pawiaka! – powiedziała sąsiadka niemal uroczystie, a matka aresztowanego chłopaka otarła łzę z policzka.

Z największym trudem powstrzymałem się, żeby nie prychnąć śmiechem. Potem zrobiło mi się gorąco. Izabela wyciąga ludzi z Pawiaka?! Trudno mi było w to uwierzyć. A po chwili przyszła refleksja. Tak naprawdę przecież bardzo

slabo ją znalazem. Poza tym nie widzieliśmy się prawie dwa lata. Przez ten czas mogło się wiele zmienić. Pozostawało pytanie: czy moja dawna kochanka robi to z pobudek patriotycznych, *ergo*: działa w konspiracji, czy też bierze za to pieniądze. Ledwo pomyślałem o tej drugiej możliwości, przypomniałem sobie jej garderobę. A także to, co miała w kuchni i w łazience...

Moje przedłużające się milczenie wzbudziło chyba niepokój kobiet. Wymieniły spojrzenia. Pani w toczku postawiła na blacie torebkę, otworzyła ją, po czym wyjęła kopertę i położyła ją na stole. Tylko głupiec nie domyśliłby się, co zawiera pakuneczek.

– To wszystko, co mam – powiedziała Zdunkowa. – Proszę wybaczyć śmiałość, ale wierzę, że koneksje pani Izabeli pozwolą uwolnić mojego Michałka.

Chrząknąłem, przelknąłem boleśnie ślinę.

– Ile tego jest? – zapytał ktoś obcy moimi ustami

– Dwa tysiące – odpowiedziała szybko pani Zdunek, jakby czekała na to pytanie.

Zapiekle mnie policzki. Nie, to nie mogło dziać się naprawdę!

– Złoty? – jęknąłem.

– Dolarów amerykańskich – uściśliła, by dodać płaczliwie: – Naprawdę nie mam więcej! Wierzę głęboko, że pani Izabela pomoże...

Czułem, że za chwilę diabeł, który siedzi mi za uchem, wypowie jedno, proste słowo. Nie musiałem na nie czekać. Wystarczyło sięgnąć i capnąć za kopertę. Potem jak najszybciej wyjść z mieszkania, w którym nie było prawdopodobnie nikogo prócz tych dwóch kobiet. Nie odpowiadać na pytania, potakiwać.

Wyciągnąłem rękę. Złowiłem zachęcające spojrzenie Zdunkowej. Czułem jednak, że chwili tej nie mogę przeciągać w nieskończoność...

– Przepraszam, ale to niemożliwe – wyrzuciłem z siebie wraz z dużą porcją powietrza.

Maria Teresa Zdunek zerwała się z krzesła. W jej oczach pojawiło się przerażenie. Sąsiadka capnęła mnie za łokieć; na szczęście w drugiej ręce nie trzymała już widelca.

– Dlaczego?! – krzyknęły jednocześnie, a matka aresztowanego zapytała ze łzami w oczach: – Czy to za mało?

– Nie wiem, proszę pani. Być może tyle właśnie wystarczy. Tylko że ja nie mogę przekazać tych pieniędzy siostrze, ponieważ za godzinę mam pociąg. Jadę do rodziny na święta...

– A ona?

– Zostaje. Jadę tylko ja, do dalekiej kuzynki... Zresztą nieważne! Przyszędłem się tylko pożegnać. Proszę spróbować, gdy Iza wróci.

To powiedziawszy, ukloniłem się osłupiałym kobietom i wyszedłem z kuchni. Minutę później jechałem Grójecką w stronę Śródmieścia. W pewnej chwili ujrzałem na chodniku Izabelę. Poznałem ją z łatwością, mimo że miała na sobie zupełnie inny kostium niż wczoraj. Zmierzala w stronę domu. I nie była sama. Towarzyszył jej mężczyzna. Szli pod rękę. Był to niemiecki oficer.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego to właśnie do niej pani Zdunkowa z Mokotowskiej zwróciła się o pomoc przy uwolnieniu syna. Czy była pierwsza? Czy sprawa miała w ogóle szansę na dobre zakończenie? Jeśli ten Niemiec był kimś znaczącym, to prawdopodobnie tak.

Zastanawiałem się też, co może czuć Izabela, idąc z tym lejtnantem Kurtem czy Hansem pod rękę warszawską ulicą, widząc nienawistne spojrzenia ludzi. Nikt z nich nie wiedział, dlaczego tak naprawdę to robi. Ja znałem prawdę, choć wcale nie było mi dzięki temu lżej...

– Uwolnij tego Michałka, dziewczyno – powiedziałem cicho, ocierając rękawem łzy, które pęd powietrza wycisnął spod powiek.

*Krzysztof Beśka*



Frank Jaszuński

## Powrót do Kopenhagi

W pierwszej chwili myślałem, że po prostu źle skręciłem, ale wróciłem szybko po własnych śladach i znalazłem się dokładnie w miejscu, gdzie zjechałem z autostrady. Tylko że nie było żadnej autostrady, gdzieś znikła.

Podjechałem kawałek do przodu, żeby skręcić tam, gdzie poprzednio, ale nie było już tego zakrętu. Ulice się przesunęły.

Wysiadłem i podszedłem kawałek chodnikiem wzdłuż niskiego, biało malowanego, płotu. Schludnie, czystutko, jak to w peryferyjnej dzielnicy Kopenhagi.

Gdyby nie dziwne zachowanie ulic, wiedziałbym, jak stąd dojść do wujka Freda w mniej niż dziesięć minut. Kiedyś to był koniec zwartej zabudowy, jakiś park, potem podmokła łąka przecięta pojedynczym pasmem szosy. Trochę krótkich uliczek i małych domków, ogrodzonych białymi płotkami, jeszcze zostało, lecz dalej w kierunku lotniska budowano nową dzielnicę o nazwie Ørestad.

W jakiś dziwny sposób znalazłem się w samym środku budowy. Przed sobą miałem gładką, betonową ścianę, z prawej ogromny wykop, nie było jednak żadnych rusztowań ani niewykończonych domów. Stałem na równo ułożonym, świeżo zamiecionym chodniku. Wzdłuż krawężnika, w regularnych odstępach wyrastały młode drzewka, do wysokości kolana chronione zieloną siatką przed zdeptaniem. Gdzieś musiałem o tym czytać, bo wiedziałem, że projekt nazywa się „Mieszkania modułowe”. Ściana przede mną była jednolita tylko do wysokości pierwszego piętra, powyżej wyrastało coś, co przypominało przerośnięte kiście winogron z betonu i stali. Szkielet był stalowy, a betonowe moduły mieszkań były przyłączone bardzo luźno. Niektóre robiły wrażenie ruchomych.

– Tak, tak, one się naprawdę ruszają – odpowiedział mi głos z prawej strony – jeżeli zwróci pan wzrok bardziej w prawo, zobaczy pan jeszcze niewynajęte mieszkania zgrupowane w klastry. Kiedy klient podpisze z nami umowę, jego mieszkanie zostaje przesunięte na miejsce przewidziane w umowie. Najdroższe są mieszkania na wyższych piętrach z widokiem na zatokę.

– Ja tylko oglądam – powiedziałem, żeby wyjaśnić sytuację.

– Naturalnie – odparł głos – nikt nie podejmuje tak poważnej decyzji bez odpowiedniego namysłu. Nie ponaglamy naszych klientów, chciałabym tylko, żeby pan wiedział, że nawet po podpisaniu z nami umowy ma pan możli-

wość dokonania zmian. Pańskie mieszkanie można w każdej chwili przesuwać – oczywiście tylko na miejsce, które nie jest jeszcze zajęte. Kto pierwszy, ten lepszy – to podstawowa dewiza. Niektórzy nasi klienci wybierają moduły z ręcznym sterowaniem, ale to kosztuje drożej.

– Mam przyjaciela Hindusa, zna ludzi, którzy mieszkają w lepiankach wartych mniej niż tutaj drzwi do pokoju.

– Pewnie – odparła agentka – ale czy pan wie, że w tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym roku w Nowym Jorku było czterdzieści sześć osób posiadających telefony? A czy z tego wynika, że Aleksander Bell był niegodziwcem, tworząc urządzenie, na które nie każdego było stać?

Jeden z modułów wysoko nad naszymi głowami właśnie ruszył z miejsca. Obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni, po czym zaczął sunąć po stalowej kratownicy w naszym kierunku.

– Sam pan widzi – odpowiedział głos – architekt w naszym projekcie często pracuje na miejscu i kieruje zmianami ze sterowni tam na górze.

Młoda kobieta – włosy koloru kwarcowego piasku, sto osiemdziesiąt centymetrów na płaskim obcasie, nienaganna higiena ciała – która udzielała mi tych wyjaśnień wskazała kierunek ręką. Istotnie, gdzieś tam na wysokości zawieszony był moduł większy od innych z ogromną panoramiczną szybą zamiast przedniej ściany. Nad górną krawędzią widniał zespół potężnych reflektorów, ułatwiających obserwację tego co się dzieje poniżej.

– Kiedy pan się zdecyduje – kontynuowała informująca mnie agentka – zapraszamy do sterowni skąd będzie pan miał lepszy widok na możliwości lokalizacji swojego mieszkania. Po podpisaniu umowy, może się pan wprowadzać natychmiast. W mieszkaniu jest wszystko, łazienka i kuchnia są wyposażone całkowicie. W lodówce znajdzie pan podstawowe produkty i kilka dań do szybkiego podgrzania, gdyby pan życzył sobie zjeść pierwszy posiłek u siebie. Jest też coś do picia: soki, mrożona herbata i butelka wina do obiadu na koszt firmy.

– To rzeczywiście imponujące – powiedziałem – to chyba wymaga niezwykle sprawnej organizacji?

– No, cóż, to właśnie jest nasza specjalność. Jak pan słusznie zauważył, to skomplikowane przedsięwzięcie i oczywiście czasem może się zdarzyć jakieś niedopatrzenie, ale nie robimy z tego problemu, niedoskonały moduł jest natychmiast wycofywany z projektu i zastępowany przez sprawny w stu procentach. Nawet nie zauważy pan, kiedy.

Nad nami znów się coś poruszyło, tym razem dwa sąsiadujące moduły ruszyły w przeciwnych kierunkach. Przy wymijaniu jeden zaczął się obracać i zawadził o sąsiada. Odpadł kawałek fasady z połową balkonu, a właściwie loggii, ze środka też coś się wysypało, ale spadło tylko na rozpiętą poniżej siatkę widocznie przewidzianą na takie okoliczności.

– Niestety nie wszyscy lokatorzy obchodzą się właściwie z ręcznym sterowaniem – wyjaśniła agentka, a architekt nie może być wszędzie na raz. Jeżeli jednak coś ulegnie uszkodzeniu lub nie funkcjonuje jak należy, przyjmujemy reklamację z chwilą zgłoszenia. Nawet źle umyta podłoga w kuchni stanowi wystarczającą podstawę do uznania reklamacji.

– A co się dzieje z takim niedoskonałym modulem – zapytałem.

– Kierujemy do rekultywacji – wyjaśniła agentka – nie oplaca się badać uszkodzeń – to zbyt uciążliwa procedura, która opóźniałaby tylko produkcję. Za tydzień będziemy stawiali domy gdzie indziej. Mamy najlepszy w świecie system ekologicznej utylizacji odpadów i to, co niepotrzebne, do wieczora zostanie usunięte.

– A jak usuwanie beton?

– Tym zajmuje się dział utylizacji.

– A czy to nie wpływa na cenę waszych mieszkań?

– Cenę ustala pan z naszym przedstawicielem handlowym – odpowiedziała agentka i zaczęła odjeżdżać w kierunku wykopu.

Patrzyłem zafascynowany na kolejny jadący dwupoziomowy apartament gdy nagle poczułem, że ja też odjeżdżam. W nawierzchni betonowej powstawały rozszerzające się szpary. Fragment chodnika z panią agent zapadł się w głąb wykopu. Chciałem uciekać, ale chodnik się przechylił i musiałem pięć się pod górę pod rosnącą stromiznę. Straciłem oparcie i poczułem, że się ześlizguję.

Obudziłem się.

Chwilę jeszcze usiłowałem chwycić się czegoś rękami nim wróciłem do rzeczywistości. Następnie sięgnąłem po latarkę, którą zwykle kładę na nocnym stoliku żeby nie wstawać, jeśli chcę tylko sprawdzić, która godzina. Bez sensu! Piętnaście po drugiej po południu. Zdrzemnąłem się na kwadranski po obiedzie. To normalne w moim wieku. Na czytanie książki jestem za mało rozbudzony, w telewizji o tej porze nic nie ma. Pozostaje pomarzyć.

Szkoda, że nie jestem leśnikiem. Pomysł wyprowadzenia się na wieś bardzo mi odpowiada. Próbowałem nawet zdziałać coś konkretnego w tej sprawie. Przeglądałem ogłoszenia o sprzedaży domków i działek, niektóre jeździłem sprawdzać na miejscu. Zadałem sobie sporo trudu, ale jak dotąd nie znalazłem niczego zachęcającego w granicach moich finansowych możliwości.

Teraz wszędzie mamy demokrację. Na całym świecie. Zdaniem politologów każdy kraj to albo demokracja, albo bandytyzm. To tak jakby ornitolog dzielił ptaki na skowronki i pozostałe. Może kiedyś tak było, do traktatu pokojowego w Paryżu, w którym usankcjonowano niepodległość amerykańskich kolonii, świat był wyraźnie podzielony. Rządziła nim królowa brytyjska, której władza rozciągała się również na znaczną część Azji południowo-wschodniej, Australię, Kanadę i spore polacie Afryki. Poza tym były dżungle, dzikie pust-

kowia zwane też Orientem, Dalekim Wschodem itp., ale tam nie mogło się zdarzyć nic poważnego, co by zainteresowało centrum, nie licząc informacji o charakterze handlowym, które oczywiście cieszyły się wielkim zainteresowaniem w kręgach londyńskiej giełdy. Trzeba było trzech pokoleń by stworzyć gentlemana, więc żaden chłystek nie mógł dostać wpływowej posady.

A teraz, co? Poezję już mamy – przed wyborami, a rządy? Kiedyś sprawował je dziedziczny monarcha – głupio czy mądrze, ale w zasadzie dbał o swój folwark, bo był jego – nikt mu nie zagrażał – chyba że ktoś z rodziny podał mu trutkę na szczury. Ale wówczas zamachowiec był w tej samej sytuacji. Państwo było jego. Dlatego o nie dbał. Jeżeli był mądry, to nawet dbał o dobrobyt obywateli, bo zadowolona krowa daje więcej mleka. Zasady były ustalone. Pewien utalentowany Włoch sformułował je w pierwszym podręczniku politologii pt. „Książę”. Jednak w demokracji nie jest to możliwe – facet, który dostaje się do żłobu na cztery czy osiem lat, robi wszystko, żeby się zabezpieczyć na resztę życia, a kraj czy ludzie go nie obchodzą – jeżeli coś sknoci, to tym lepiej – bo konkurent będzie musiał to naprawiać. Wiadomo więc, jak Książę ma rządzić, ale nie ma już książąt.

A życie indywidualne? To labirynt z ogromną przewagą ślepych uliczek. Najdalej się zajdzie, nie tracąc czasu w zaułku, nie drapiąc ślepych ścian, nie waląc głową w mur i nie przeklinając swego losu, zakładając jednak kalosze, gdy pada.

*Frank Jaszczowski*

*(Fragment książki, która nie ukaże się nigdy)*

Anna Nasiłowska

## Dyskont słów \*

*(fragment)*

**Cydr** – napój niskoalkoholowy z jablek. Jego ojczyzną jest Normandia. Ze względu na klimat w Normandii nie rosną winogrona, ten region używa więc do wyrobu alkoholu jablek. W ten sposób powstaje normandzki *sidre*, a także *canados*, jabłkowy odpowiednik koniaku. Oba cieszą się we Francji sporym prestiżem. W Polsce nadprodukcja jablek i zahamowanie sprzedaży na wschód ze względu na embargo, wprowadzone w 2014 roku przez Rosję, będące odpowiedzią na zachodnie sankcje po aneksji Krymu, sprawiły, że picie cydru poza bąbelkami zyskało lekki polityczny dreszczyk, a uwolniło alkohol jabłkowy od tradycji PRL-owskiego jabola, czyli wina patykiem pisanego. Cydr brzmi dumnie i konkuruje z piwem. Konkuruje skutecznie z innymi alkoholami także w pubach na Wyspach Brytyjskich, gdzie napotyka na jedną przeszkodę, dotyczącą francuskiego pochodzenia nazwy napoju. *Sidre* po francusku wymawia się ‘sidr’, czyli mniej więcej tak jak po polsku, co dezorientuje anglojęzycznych klientów. *Pronounced incorrectly since 1947* – brzmi zachęcający stempel na cydrze nowozelandzkim oferowanym w Londynie. A więc kłopoty powstają też przy transferze w tę stronę. Powołanie się na tradycję dowodzi, że wolno mówić: ‘sajder’.

**Selfie** – lub **sweetfocio**, a jeszcze bardziej swojsko: **fotka z rąsi** – gatunek autoportretu fotograficznego lub portretu pary, zawdzięczający swoje istnienie możliwościom telefonu komórkowego lub tabletu, które pozwalają na fotografowanie się przy odsunięciu urządzenia na odległość wyciągniętej ręki. Ponieważ ręce bywają nieco zbyt krótkie, specjalnie dla amatorów selfie powstał kijek lub rączka, umożliwiająca kliknięcie z nieco dalszej odległości. Takie przedłużacze oferowane są masowo przez ulicznych sprzedawców w miejscach turystycznych, razem z parasolami i niemającymi nic wspólnego z lokalnością pamiątkami z podróży, wytwarzanymi masowo w Chinach, Indiach czy Pakistanie. Selfie (indywidualne lub grupowe) charakteryzuje typowe dla zdjęć z bliskiej odległości zniekształcenie twarzy, niska jakość, pikseloza oraz wykazywana przez fotografujących tendencja narcystyczna w powiązaniu z ambicjami fotografowania się na tle: piramidy, statku, wieżowca, wielkiej imprezy (eventu) czy znanego zabytku, który jednak zostaje przysłonięty przez autoportret. Selfie zwykle natychmiast wysyłany jest na FB, stwarzając okazję do narcystycznego doładowania, jeśli nie za pomocą jakości wizerunku, to przy udziale szczątkowego tła.

\* Książka Anny Nasiłowskiej „Dyskont słów” ukaże się w 2016 r. w wydawnictwie IBL PAN.

## Piotr Müldner-Nieckowski

### Osservatore d'amore

(z cyklu „Jednym zdaniem”)

Został wysłany z zadaniem, a ponieważ przez dziurkę od klucza, ani tym bardziej przez szpary górną i dolną nie było nic widać, przeszedł schodami, piwnicą i korytarzem na zewnątrz, tam gdzie była tylna strona bloku, wdrapał się na gzyms pod parterowym oknem i się zasadził, przywierając do ościeżnicy, tak aby mieć wgląd między zasłonę, firanę i wysoki kaktus na parapecie, co dawało obraz o szerokości mniej więcej dwóch centymetrów i wysokości półtora metra, a licząc powierzchniowo trzydzieści tysięcy milimetrów kwadratowych, zatem o wielkości idealnie nadającej się do raportu, który miał zrobić wrażenie na szefach, kompletnych idiotach, bo im więcej cyfr, tym dla nich lepiej, po czym wpisał to do smartfonu, zamknął w nim notatnik i otworzył aparat fotograficzny, nastawiając czynności zdjęciowe na HDR, czyli high dynamic range, technikę polegającą na wykonaniu kilku fotek, z których część jest niedoświetlona, a reszta prześwietlona, i kiedy to się nałoży jedno na drugie, to wychodzi duża rozpiętość tonalna, więc mógł się nie obawiać, że jakaś część zdejmowanego pokoju będzie za ciemna, a jakaś za jasna, w każdym razie figurantka, która tam była, mogła być ubrana na przykład w czarne dessous i białą bluzkę albo odwrotnie, a i tak byłoby widać faldziki materiału, które się ślicznie układają na jej powabnym ciele, gnącym się smacznie przed lustrem, gdy tak tam tyłem do niego stała i się prężyła, jak to aktorka, która ćwiczy przed jutrzejszym występem w teatrze, przed którym weźmie udział w równie jutrzejszym wczesnopołudniowym, jakie to skomplikowane ma taka dziwna życie, wiecu o szesnastej trzydzieści przeciwko zastępcy burmistrza, gdy rozluźniona przed wykonaniem artystycznej pracy zawodowej posłuży za celebrytkę, na którą liczy ludność dzielnicy zdenerwowana tym, że ów nędzny urzędnik rzekomo w interesie mieszkańców zamierza odwrócić kierunek ruchu samochodowego na ulicy prowadzącej do szkoły tylko dlatego, że jemu nie odpowiada jazda w przeciwną stronę, bo ma zbyt skośny wyjazd ze swojej willi z ową szkołą graniczącej, jego sprawa, po co w to od razu mieszać Polaków, a tymczasem aktorka zaczęła zdejmować z siebie górne rzeczy, tak że stała teraz w ubraniu dolnoczęściowym, gole były jeszcze tylko na razie plecki, plecki, niżej jednak jakiś kocyk owijał jej pupę, piersiątko ciągle do przodu, w stronę tego pieprzonego lustra, a szkoda, bo zwierciadło kończyło się

na wysokości obojga jej obojczyków, a on ją brał z tyłu smartfonem bez lupy, jakiś na bioderkach grubszy był ręcznik, wzrokowo nie do przebiccia, i nic tu smartfon ani nawet genialny w nim aparat o ogromnej rozdzielczości nie był w stanie zdiagnozować, ale pani w tych ruchach scenicznych przed lustrem zdecydowanie zaczynała się utaneczniać i gdyby nie podwójna szyba okna, pewnie można by usłyszeć jakiś rytmiczny utwór bluesowy lub walenie pałką w bęben, bo szkło przy uchu zaczęło z lekka drżeć w takt jumpa typu Louis Thomas Jordan z Los Angeles, les, tak podniecająco, że trudno się dziwić, iż ta pani zaczęła gubić kocyk i przechodzić coraz więcej w szparkowość, tylko że tam była jeszcze spódnicza, a to przypomniało mu o tym, że ta małpa Agnieszka, żona spódnicowa właśnie i w barchanach, zamiast pilnować odrabiania matmy przez dzieciaki, chodzi po sklepach i wyszukuje najtańsze czipsy, obżera się i tyje do dwóch centymetrów obwodu biustu miesięcznie, tak że dwóch i trzech rąk już obecnie nie wystarcza na łapanie tego, bo dawniej było cud miód, a następnie aktoreczka małpim ruchem węża zrzuciła spódnicę i została w samych spodniach, szkoda, bo luźnych, machała rękami, coś rozpięła z przodu jednym gestem, chyba jakiś guziczek, jakaś pantomima, a może intymna rozmowa z drugim bohaterem tej sztuki, w której miała grać jutro wieczorem, autor francuski, a że rolę umiała, to nam mówili na odprawie wszystko dokładnie, co to za sztuka jakiegoś kandydata na noblistę, kto ona jest i na co zwracać uwagę, gdy bierze coś do ręki albo wyjmuje coś z ust, następnie wykonał kilka fotek przez tę szczelinę między firanami, a kiedy chwyciła nagle za telefon, natychmiast wysłał esemesa do chłopaków, żeby włączyli nasłuch, gdy tymczasem on obserwował, jak ona zaczyna się w czasie tej rozmowy coraz bardziej drapać po całym ciele, jakby ją oblaźła alergia, to musiała być rozmowa najwyraźniej dla niej hamująca, a kiedy przestała, coś krzyknęła i odłożyła komórkę, jedwabiście się przeciągnęła i pokazała buzię w lustrze, śliczną, apetyczną, bez żadnego pęknięcia, co za ząbki jak pod sznurerek, i te ramionka bez ramiączek, tylko złoty zegareczek, niech zegarek nawet zostanie, ale zdejmij tę resztę, do jasnej cholery, nagle zgasło światło i cała obserwacja została zakończona – w jego rozumieniu – zdarzeniem losowym, bo to ona naumyślnie nacisnęła pierwszy z brzegu wyłącznik, będzie się kłaść, rozkładać, leżeć jak mała diabliska, nóżka w lewo, kolanko w górę, brzunio jak brzoskwinia, a on sobie po ciemku przypomniał, że w końcu jest policjantem i się pozapinał, bardzo słusznie, bo temperatura powietrza była podciśnieniowa, w tej meteo, orologii, to przecież nie lato, ale przednówek, nówek, wiośnie, no a to wszystko, co nerwowo wypocił, i tak poszło w bawelnę, tak że mógł

wracać na komendę z całkiem fajnymi fotkami i świeży jak młody bóg, nie budząc zazdrości tych dupków, albowiem w raporcie napisze, że wszystko okej, chociaż to, co miał zrobione przez aparat na karcie pamięci, to niekiepski hak na nią będzie, ale prywatnie, po co w to mieszać służby państwowe, które stają się coraz bardziej niskopłatne, tych fotek to oni nie dostaną, chyba że jakiś awans będzie i małżonka do zmiany, a w telewizorze nocny kanał Forza Italia, tak że ona się obudziła, wylazła z łóżka i nagle napała na niego w fotelu całym brzuszным ciężarem, a w nim jednak obudziła się sprawiedliwość i momentalnie dał jej to, czego nie dokończył z tamtą, dosłownie w ciągu minuty, aż sobie krzyknęli.

*Piotr Müldner-Nieckowski*

*Z przygotowywanego do druku zbioru opowiadań monounosekwencyjnych naprzeciwbieżnych.*



*Rys. Piotr Müldner-Nieckowski*



## Wiesława Oramus

## O godności

Od kiedy przeniósł się do tamtej dzielnicy, kontakt był z nim utrudniony. A poza tym ciągle narzekał na natłok zajęć, powodujący, że nie zawsze mógł dotrzeć tam, gdzie był zaproszony mimo zapewnień, że na pewno przyjdzie, rodzinne problemy jak zawsze, jak u każdego, powodujące, że trzeba się było zająć chorymi. Z przestrzeni publicznej też zaczął tak powoli znikać, pewnie też z tych samych powodów, chociaż twierdził, słysząc o jakimś tam wydarzeniu, że był, że akceptuje, albo nie do końca, albo gdyby nie drobne uchybienia warsztatowe, byłoby to do zaakceptowania, albo przeprasza, że się nie przywitał, ale wyszedł w trakcie. Tych wyjść w trakcie było coraz więcej, coraz częściej stawało się to jedynym powodem niemożności spotkania się, przywitania, wypicia kawy. Za zaproszenie na tę kawę też dziękował, pamiętał jej smak, pamiętał gościnność i serdeczną atmosferę, jaką stworzyli gospodarze, ale z tych samych powodów powtórka była taka trudna.

Zmiana miejsca zamieszkania nie zmieniła wiele w życiu człowieka rozrywanego, bywającego wszędzie, zabierającego głos w najważniejszych sprawach dotyczących żywotnych spraw nie tylko środowiska, w którym oboje funkcjonowali. On znał szersze wymiary. Może dlatego już po kilku minutach rozmowy przeproszał serdecznie, że musi kończyć, jest już właściwie gotowy do wyjścia, musi jechać do miasta, ma tyle spraw do załatwienia. I prosił o następny kontakt telefoniczny. To pismo zgodził się jednak podpisać, gdy już wszyscy inni ze środowiska odmówili. Zgodził się jednak tylko podpisać gotowy tekst, oczywiście przygotowany, przepisany.

Oczywiście, był przygotowany, przepisany, przeczytany przez telefon, z zapewnieniem, że wszystko to można znaleźć w dokumentach, ogólnie dostępnych, znanych, również jemu, ale, wiadomo, procedury są, jakie są.

Procedury znał, sam kiedyś przyczynił się do ich tworzenia. Oburzało go jednak, że tak je wykorzystywano, że zamiast coś oczyścić, wpędzało w system uzależnień od czyichś humorów.

Tak więc mimo natłoku zajęć, bo przecież wiadomo, o tym wszyscy wiedzieli, był człowiekiem wręcz rozrywanym, zgodził się złożyć ten podpis pod pismem, które zaakceptował. Oczywiście zapraszał do siebie, wiadomo, nie ma wiele czasu, ale...

Nie zgodził się jednak podpisać po prostu przy furtce, na swoim podwórku, zaprosił do środka, wprowadził do salonu, zaproponował herbatę, poprosił o przeczytanie tekstu, bo musi wiedzieć, co podpisuje. Zdziwiło to trochę, ale życzenie zostało spełnione. Dostał do ręki kopię – na wszelki wypadek.

Czytał długo, uważnie, chyba analizował każde słowo. Podpisu jednak nie złożył. Położył kartkę na stole, wstał, ruszył przed siebie, przeszedł przez próg i zawrócił. Usiadł przy stole i z uśmiechem stwierdził, że przecież trzeba się napić herbaty.

– No tak, nie przygotowałem herbaty, muszę iść do kuchni. W kuchni rządzi żona, ale herbatę przygotowuję zawsze ja.

Wstał, wyszedł, wrócił po kwadransie. Słychać było skrzypienie schodów, kończące się gdzieś w okolicach strychu.

– Przepraszam, ale jestem zajęty porządkowaniem biblioteki, tyle pracy, tyle pracy, a wszystko muszę przecież zrobić sam, nikt tego za mnie nie zrobi. Ale... Coś jeszcze miałem zrobić...

Zawsze sływał z roztargnienia, krążyły o tym legendy, tak jak i o niezwykłych możliwościach, zdolności do pracy nawet po najdłuższych biesiadach powalających innych na wiele dni.

Teraz. Nie wiadomo było, czemu to przypisać. I co powiedzieć, gdy zaproponował napić się herbaty, bo dobrą herbatę w tym domu tylko on umie przyrządzić.

Zauważył, że nie podał herbaty. Wyszedł, słychać było kroki, jakby nakładające się kroki, co najmniej dwóch osób.

Wrócił z czajniczką, szedł powoli, ostrożnie, ale wyprostowany. Postawił czajniczek na stole, wyszedł, wrócił z filiżankami.

Udało się w ostatniej chwili uratować kartki przed zalaniem, obrusu już nie, ale nie zauważył tego, postawił czajniczek na wielkiej płamie. Po chwili, po pierwszych łykach stwierdził, że pomylił herbaty, że dla gości ma inną, i że o czymś zapomniał. Chyba chodziło o cukier, bo herbata była gorzka, smakowała jak gorzki napar z piołunu, ale okazało się, że zapomniał o okularach, bo bez okularów nie może czytać, a coś musi przeczytać.

Okulary leżały na stole, przy wazonie z kwiatami, obok długopisu.

Trzeba było pomyśleć o strategii w tej sytuacji. Okazało się, że podanie okularów, długopisu było dobrym pomysłem. Zareagował na to uśmiechem. Założył okulary, zaczął czegoś szukać.

– Wystarczy tylko podpis. Tu, pod tekstem, przeczytanym już i zaakceptowanym.

– A tak, tak – uśmiechnął się, ożywił na chwilę.

To było jak chwila powrotu do przeszłości, dynamizmu, energii, z której też sływał.

– A jednak zaproponuje herbatę, w tym domu tylko ja potrafię zaparzyć dobrą herbatę.

– Tak, jest znakomita. Ma niepowtarzalny smak.

– Dziękuję za uznanie, to ważne, ale... Coś jeszcze miałem zrobić... Tyle pracy, tyle zajęć...

– Wystarczy tylko złożyć podpis. Pod tekstem.

Wziął kartkę do ręki, długo czytał. Po chwili sięgnął po długopis. Z uśmiechem, pobłażliwym, patrzył na palec wskazujący miejsce na kartce. Prośbę; może tu, może trochę niżej, potraktował tak samo.

To miał być zamaszty podpis, ogólnie znany, ale po pierwszym energicznym, dynamicznym ruchu ręki nastąpiło zatrzymanie, po wielu sekundach, koncentracji powrót do czynności, jak do zadania kopisty, i ożywienie, całej postaci, po zakończeniu pracy.

– O cukrze zapomniałem – stwierdził, zaraz...

– Nie trzeba bez cukru smakuje znakomicie...

– To musimy się napić herbaty...

Wstał, podszedł do okna, długo patrzył, jak gdyby odkrywał coś nieznanego.

– A co do tego człowieka, bez skrupułów, jak wszyscy stalinowcy...

Obrócił się chyba zbyt gwałtownie, potknął o stolec przy pianinie, zachwiał, wydawało się że upadnie, a jednak nie, wyprostował się, powoli, z godnością podszedł do stołu. Wziął pióro...

– Coś muszę pisać, coś muszę napisać... Tyle do napisania, tyle do napisania...

– To ja już może nie będę przeszkadzać, bardzo dziękuję za ten podpis...

– Tyle pracy, tyle pracy – powtarzał, jak znaleźć czas... Jak się z tym uporać. Tak bardzo brakuje czasu.

– Nie chce zabierać cennego czasu, bardzo dziękuję. Pozwolę się pożegnać.

– Ale coś miałem zrobić, coś napisać... A tymczasem... Napijemy się herbaty. W tym domu tylko ja podaję dobrą herbatę.

Wyszedł z pokoju, przekroczył próg... I wrócił – ożywiony, uśmiechnięty.

– Jak dobrze witać gości, w moim życiu ostatnio nieczęsto się zdarza, bo tyle pracy, tyle pracy.

– Tym bardziej należy się wdzięczność za uprzejmość, poświęcenie cennego czasu... Nie każdego na to stać. I dziękuję bardzo, dziękuję... I pożegnaliśmy już...

– Ależ skąd, ależ skąd... Przecież napijemy się herbaty, pogawędzimy.

Zadzwonił telefon. To go ożywiło, wróciła energia, dynamizm, pomaszewował przed siebie wręcz wojskowym krokiem. Zostawił otwarte drzwi, słychać więc było każde słowo. Radość wyrażał, że ten ktoś zadzwonił. Po chwili zamilkł, chyba słuchał. A słychać było jakieś kroki; w innych zakątkach domu, a po chwili...

– Przepraszam bardzo, ale jestem bardzo zajęty, muszę jechać do miasta, mam tyle ważnych spraw do załatwienia, jestem już gotowy do wyjścia...

Wrócił prawie natychmiast po zakończeniu rozmowy... I to ten czas, może odgłos szurania kapci pobudził umysł do błyskawicznego opracowania strategii, podjęciu decyzji o włożeniu kartek do teczki, obu egzemplarzy, jednej bez podpisu pod tekstem, drugiej pokrytej bągrotami, jakimiś znakami nie do odszyfrowania.

Koniec

*Wiesława Oramus*

## Jacek Pankiewicz

## Aż tyle

*Emie T.*

## 1.

Że przez całe życie nie ma odzewu, mówisz?

Są, którzy nie znali swego ojca. Bardzo cierpiąc z tego powodu.

Są i, którzy nie poznali nigdy swojej matki. A to przecież matka nadaje ważność i sens twojemu istnieniu.

Przez całe życie potem uczyłem się, jak by to nie cierpieć z tego powodu. Człowiek się uczy, uczy, aż nauczy. Zostałem w końcu i nauczycielem od niecierpienia.

Bo w życiu jest tak, każdy to wie, że musisz mieć coś własnego na początek, co cię ustanawia, ot, niby hasło do startu, swój kamień założycielski na początek –

I miałem ja swoje hasło, wywoławcze do startu –

i mogłem już zacząć szukać ludzi, którzy by mi dali odzew.

Bo z życiem naszym, każdego z nas, jest tak, że stanowi ono tylko połówkę. Drugą część musisz sobie potem dorobić, stworzyć ją po prostu.

Czyli samo hasło nie wystarczy, musi jeszcze mieć odzew. Stworzyłeś już hasło – poszukaj sobie odzewu.

To nie tylko tak u ludzi; u roślin, zwierząt także; wszelkie żywioty i góry, woda, powietrze tęsknią do siebie, chcą być jeszcze z ogniem,

a ta na przykład mrówka,

też pragnie czasem być jak na przykład tamta gwiazda, roje innych gwiazd –

I zeszło mi się wpraw na budowaniu hasła, potem na wywoływaniu odzewu z ciemności wszelakich, zeszło pierwsze osiemdziesiąt lat życia, choć to i daremne,

lecz mam już spełnione przynajmniej pierwsze zadanie –

a muszę się i ograniczać co dnia, choć tu są następne zadania, albo zamilknąć, ograniczyć do cna... czy jeszcze trochę sobie powyc w chwili wolnej do kosmosu, póki mnie do reszty naiwność spodziewań, owa natrętna naiwność spodziewań nie sparaliżuje;

wszak zdobyć drugą połówkę, nowe życie sobie po osiemdziesiątce stworzyć nie jest łatwo;

jednakowoż jak ktoś cierpliwy i ponad własne siły wytrzymały, czeka na odzew! i niech czeka! może mu się przytrafi? tyłu mamy ludzi wokół!

A jakich – każdy widzi.

Choć człowiek to nie koń – a reszty już nie widać tak łatwo. Lecz do spodziewań możliwszy znacznie byłby już koń! Wtedy i odzew trafi się łatwiej!  
ale człowiek to nie koń.

Człowiek nie sprzyja ludzkim zamiarom. Jak kiedyś bywało – koń.

Człowiek już przecież od dawna nie zapowiada się, ot, sam z siebie, tak by się po nim wiele spodziewać, bo żadnej w nim ludzkości.

Choć on i zwierzęcości już nie zapowiada. Ani klonowatości, różowatości, kwiatodrzewności żadnej! nawet gdyby cały świat chciał zapachnieć, on nie! rumiankiem się zawachlować – on twardo nie! zostaje sobą; on jest jak każdy. I nic więcej.

Na żadne wspomnienie dla ciebie, wzmocnienie, przyspieszenie gwarancji w nim nie ma; i na swoim grzbiecie, gdy padniesz, nie przeniesie cię w bezpieczniejsze miejsce. Na nic nie da ci gwarancji swej ludzkości.

To jeszcze dzięki choć Tobie, Boże, że czasami tak zdarza się, że jesteś ze mną, bo Ty wiesz, jak to bywa, czasem w jednej chwili... i pozwalasz mi porozmawiać z sobą, dziękuję Ci za to: przy Tobie i snuć własne jakie tam zamiary mogę, zgadywać co mnie czeka? Jestem wdzięczny za okazaną mi czasem przychyną ludzkość!

Przez osiemdziesiąt lat, gdziekolwiek byłem, na ziemi, w powietrzu, na morzu, tam gdzie się człowiek w nurt fali jak wąż nitka w ucho igielne wkręca, tam nie pragnąłem już więcej nic jak tylko wzmocnić swe poczucie ciągłości, to swoje niby hasło na wieczność, by iść tylko w dalszy świat, jeszcze nie poznany, przypasować się doń jak fala do fali; byle choć na jeden, ten następny moment zostać ocalonym!... a świat po swoim lubi okazać się coraz bardziej bezwzględny i twardy; więc i ja stopniowo dojrzewałem do twardości betonu –

już coraz mniej się spodziewałem życzliwego odzewu.

Choć czasem to miałem i świadka; jak gdy do najdrobniejszej trawy się zwracał, do byle łopianu i – wsłuchiwałem się w jego konchy długo! może coś tam i zaszumi...

czasem tylko w powietrzu coś brzęknęło niby, blisko, niby to w moich uszach –

a czasem, przez grzeczność, już na podobieństwo gromu, wybuchalo coś daleko wysoko, w nagrodę może, żem się wysilił.

...bywa, że przypadek się odezwie, przemówi do człowieka.

Ale człowiek już nie słucha, on jak każdy, chce tylko ważnym być zawsze, tym najważniejszym pośród innych! I by na jego byle chrząknięcie, co mówię, jazgot! natychmiast ktoś na baczość stawał!

ktos to najlepiej i cały świat.

## 2.

A żyje już sam, w środowisku rozproszkowanym; tam nikt nikogo nie lubi. Nikt nie pomaga drugiemu. Nawet i nie odklania się z ochotą. I żaden drugiego nie wspiera. Bo i nie interesuje się nikt nikim. Chyba że patrzą w ekran, podziwiają. Wtedy ich cała inteligencja dmie w gwizdek zazdrości.

Ale kiedy ja jestem tu, a tamten tam – jak można się spodziewać odzewu od takiego kogoś, kto wciąż tylko chce imponować!

ludzie dziś wszyscy żyją nie tu, a gdzie indziej.

I nie tam, gdzie się ich spodziewamy.

Toteż z powodu tak nadzwyczajnych okoliczności w aglomeracji naszej całej panuje Zastój. I nikt nie ma na nic najmniejszego wpływu.

A już tym bardziej na siebie!

Ten student nie interesuje się sobą, choć niby po to szedł na psychologię. Ale już, na wzór innych, zresztą i profesorów, nie interesuje się już tym, co kto i jak przeżywa, nawet i przestał zachwycać się sobą; kiedyś kochał psy, więc co najwyżej interesuje się psami, ale teraz i ma dziewczynę, kocha ją jak psy tak samo, i jedną już tylko ma, bo tak wygodnie. Bo dziś panuje władza bezwzględного zadowolenia. A filozofowie, choć po dawnemu zajmują się jeszcze cytatami, ale biorą je... od dzisiejszych polityków; to narzuca się samo; a nauczyciele znów – to nawet i humoru z zeszytów szkolnych nie znają, bo nie rozumieją, bo są poważni!

a dziennikarze, ci po swojemu, w nagonkach są coraz sprawniejsi, na tych co z przeciwnego obozu, i obryzgują ich błotem, żeby ci nasi, co za plecami stoją, im się kiedyś odwdzięczyli. Tak władza rządzi światem, bez władzy ani rusz; samodzielność w powszechnym zaniku; a jak władza jest taka byle jaka, to coraz powszechniej rządzi mafia, ta co nad władzą; mafia ma zrozumiały język dla każdego, wynagradza wiernych, kiedy zechce; i ma do tego odpowiednie środki chemiczne, bo trzeba prać brudy; i wyprać wreszcie do cna świat z wszystkich naszych przeciwników!

...a czy o to walczyliście, Tysiącletni?!

wy, którzyście między pasmami wzgórz, morzem jednym a morzem drugim, parliście się przez setki lat tu do nas!

bo jeśliby dziś kto jeszcze z tego naszego świata chciał się, broń boże, o zgrozo! wydzielić, bo się nas wyparł, i tego naszego wygodnego życia – to najpewniej pochowa się go w betonie, i bezimiennie, bo zasłużył!

jeśliby nawet i z młodych ktoś, buntowników, głupiego coś palnie, ot, dla ochłody, w powietrzu by zrobić przewiew –

ten i ten drugi, i trzeci niech wie, jakiego się może spodziewać odzewu! że chciał uniknąć tylko tego nurzania się w błocie?!

– a my tu jesteśmy i tak nikomu potrzebni?! mruknie, nadto rozpaczliwym głosem się zdradzi –

To wszystko i tak jest na nic!

Niech nieprzygotowana do dojrzałego życia młodzież w swej bezbrzeżnej tęsknocie ugrzeźnie, pośród zbiorowego wrzasku –

bo i tak dla wszystkich tu wszystkiego za mało;

a jest i tak aż tyle!

Niech nasiadacze po telewizjach krążą, ci sami ważni wciąż, wszędzie; w pospólnym kociokwiku niech sobie nadal poryją,

niech po staremu to się nazywa i grą w salonowca,

to wciąż jest nic;

tu trwa już tylko CZARNA GODZINA PRÓBY! nie będzie wyników!

bo z tego poziomu o własnych siłach nie wychodzi się nigdy.

... i czy o taki poziom chodziło wam, którzy przez tysiąc lat do nas tu szliście, dla nas walczyliście?

Tu i Wyobraźnia już nie panuje nad niczym;

klaustrofobia tylko woła niemo o sufitu rozparcie.

*25 grudnia 2015*

*Jacek Pankiewicz*



Krzysztof Rudziński

## Mistrz Haftowanego Listowia

*(fragment)*

Wtedy odjął pióro od papieru i przez chwilę się zastanawiał, przypominając sobie kierunek drogi. Myśl jego pobiegła naprzód, szukając w dawnej pamięci znaczącego punktu odniesienia. Utwierdziwszy się w przekonaniu, zamasyżycie postawił kropkę nad i obróciwszy się na pięcie, dalej już bez wahania kontynuował wędrówkę wzdłuż kolejowego toru. Podążyłem ochoczo za nim.

Tor ciągnął się prosto jak strzelil i gubił za horyzontem, zdawało się, w syberyjskim wymiarze, wiorsta za wiorstą. Ogarnęło mnie dziwne wzruszenie. Znałem ten dawny, historyczny pejzaż z dziecięcych lektur i przedwieczornych opowiadań starszych, przywołujących odległe wspomnienia. Na pewno byliśmy na właściwej drodze, wiedziałem już, że niedługo, a nie będziemy sami. Przewidywałem za tym horyzontem malutką stacyjkę z zarośniętym chwastami peronem, naftowymi lampami sygnalizatorów, zardzewiałymi zwrotnicami i zbiornikiem na wodę dla lokomotywy. Niosłem ze sobą ten obraz, który stopniowo wyluskiwał się z pamięci, jak otrzymana w dzieciństwie pocztówka o papuzich kolorach, rodem z egzotycznych kolonii Ligi Morskiej i Kolonialnej. Była to stacyjka położona na najdalszych Kresach, ostatnia już na końcu wolnego świata, przed granicą barbarzyńskiej Bolszewii.

Sobie tylko znaną metaforą przeprowadził mnie poza peron, poprzez pustą poczekalnię, obok zamkniętej na glucho kasy. Zawiadowca w czerwonej czapce, z chorągiewką w uniesionej dłoni, oddawał honory. Nie zatrzymaliśmy się, aby ulegając czarowi tego miejsca, nie postawić tu już na zawsze naszych namiotów, niczym na Górze Przemienienia. Odeszliśmy czym prędzej przez uchylone drzwi, z trudem dostrzegając przejście oczami zwilgotniałymi od wzruszenia.

Pociągnąłem go za rękaw i uszczypnąłem się. Zagłębiliśmy się po uszy w rękopis, który ruszył z miejsca. Jechaliśmy teraz furką ciągniętą przez ochwaconą, kulawą chabetę. Mój towarzysz wdał się w rozmowę z siedzącym na koźle brodatym bałagula, lecz treści tej ich rozmowy nie rozumiałem. Napływała do mnie usypiająco jak melodia opowieści z tysiąca i jednej nocy.

## 4.

Widzę, że autor tej opowieści zupełnie nie zwraca uwagi na szczegóły, omijane tak samo skrzątnie i przez naszą furkę, jakby wcale nie interesowało go to życie przycupnięte na przedmieściach, niejako za kulisami celu, do którego jednoznacznie zmierza ten rękopis. Zdaje się on nie zauważać, puszczając nawet na stronie perskie oko, tego nie przebranego bogactwa, którym broczą sklepy przywołane tam niegdyś do istnienia, teraz wydziedziczone i zamknięte ogryzionymi przez czas okiennicami o masywnych sztabach.

Wydawać by się mogło, że jak gdyby kierowało nim inne powołanie, przeznaczenie, rzec można, wyższego rzędu, posunięte aż do granic dziejowej misji. I nie zajmując się sprawami poza marginesem śródmieścia, co najwyżej zakonotowuje sobie na tym marginesie od niechcenia, dla pamięci, to i owo, dorzucając jakieś trzy po trzy, poza nawiasem tego zaułka, w którym spełni się ostatecznie Zakon i wszyscy prorocy.

Tak skrzypiąc i chybocząc się na wybojach drogi, wturlaliśmy się wreszcie na sześciokątny rynek, krocząc po kocich łbach, które stały gęsto głowa przy głowie na całej polaci placu, milczącym, wbitym w ziemię tłumem, jak makiem zasiał. Niektóre z nich, mając nas właśnie na głowie, kładły uszy po sobie i mruczały, przeciągając się pod naszymi stopami, wypolerowane od lat i przyzwyczajone, oswojone w swej uległej roli od pokoleń. Tłum ten, tutaj gęsty i dobrze ułożony, rozpraszal się ze środka placu dwunastoma promieniami otwierającymi się uliczkami, na których rzedł i rozchodził się ku pokrytej ogrodami krawędzi zielonej doliny.

Cicho zsunęliśmy się z wozu, który odjechał, zapomniawszy o nas wkrótce w jednym z pobliskich zaułków.

Skrajem błotnistego, nigdy nie wysychającego, permanentnie zasmarowanego i siorpiącego chronicznie nosem rynsztoka, taplając się w oślizłym błotku, dobrnęliśmy do wilgotnych wnętrzości Żabiego Zaułka. Z tej jego żabiej perspektywy otwierał się nam na wyciągnięcie ręki kres naszej pociągającej za sobą i wciągającej z kretesem wędrowki, jej dworzec główny i sławny od pokoleń port przeznaczenia – zaułek Soroczce Nózki.

Ale ten najdalszy, legendarny fiord, ten najbardziej wybaluszony jak oko ślimaka jezor naszej drogi, gorący, miękki i pulsujący oślizłym mięsem, był dopiero Betanią dla tej Jerozolimy, którą ujrzeliśmy później.

Czasami udaje się na moment zobaczyć w snach, snach odległych najniewinniejszego dzieciństwa, snach śnionych jeszcze poza pasmem wzroku – ten świat zza krawędzi; niezatruty i niepokalany jeszcze dzień przed pierwszym grzechem.

Idzie się tedy lekko i bez oporu we wszystko przed sobą, przed Kainem i Ablem, nie wie się, że jest się nagim ani co to znaczy, krzeszą ogień kardynalne cnoty. Wołamy: „Idzie się” i wszystko jest utworowane.

A kiedy się już dojdzie, widzi się dom zamknięty na słowo honoru i rozumie się to słowo, mające wagę, obraca się to w dłoniach z nabożeństwem i namaszczeniem, to nie do stracenia, bezcenne i dobre imię.

Z drugiej strony, dom ten jest zamknięty na cztery spusty legendy, która wyrosła ponad nim przez te wszystkie wiosny i lata, kiedy krzewił się był bujnie, obrastając wciąż nowymi nadbudówkami, budami i komórkami, piął się bluszczem mansard i poddaszy pośród ciasnych strychów. Na samym szczycie było w nim jeszcze dość miejsca dla wystrychniętego na dudka wysokiego C, którym kurek na dachu zanosił się do rozpuku, coraz wyżej i wyżej, aż do zatrącenia na rozstajach dawnych dni i nocy.

W takich zakwefionych domach, z zewnątrz martwych i opieczętowanych, z których uszło już życie, tłucze się jeszcze tylko jego pozór, wyzbyty z istnienia, miazmat sztuczny i jałowy, bezpłodny żubroń i muł jego, w jednej osobie. Trzeba ominąć te sienie zakorkowane jak stare buklaki, te labirynty nicujące się wzajemnie: świreni, lamusów, kleci i drewni, te ich drzwi urywające się za progiem, drzwi do niczego...

Tak sobie pisząc i pisząc, przystajemy dla zebrania myśli, pocieramy bezwiednie w zamyśleniu palcem na kolejnej stronie. Papier mięknie pod nim i ciemnieje od potu i wnet poczyna się luszczyć i zacierać. Walcuje się już pierwsza gródka i pączkuje dalej, kartka matowieje bezładną mgielką unoszącą się z samego dna, ludzi się, żyłkuje przepoczwarza w otwierające się na oścież, w pewnej chwili, skrzydelka dziewiczego motyla kalkomanii.

Towarzyszę mu na całej linii. Patrząc jak zaczyna znów pisać dalej, jak składa, to znów rozkłada jeszcze wilgotne skrzydelka, jak prostuje pomięte nóżki. Żeby mi tylko nie odleciał.

Ale gdzie tam, obawy moje okazują się być nad wyraz płonne. – Nie będzie żadnego odlotu. Nie po to tutaj zśliśmy. Inne nam grozi niebezpieczeństwo.

Prowadzi nas do głębi ukrytej izby. Człowiek, który nas wiezie, podąża wciąż przed nami tak, że twarzy jego nie mogę dojrzeć. Głos jego wydaje mi się jednak znajomy, tak jakbym go już gdzieś... kiedyś... słyszał. Sylwetka widzi mi się także znajomą, musieliśmy się spotkać i to nawet niedawno. Napawa mnie to, nie wiedzieć dlaczego, niepokojem, który widocznie daje się zauważyć, gdyż mistrz uspokaja mnie łagodnym głosem:

– Nie ma się pan czego obawiać. Osoby, które możemy tu spotkać nie towarzyszą nam na całej linii, a właściwie to my im nie nazbyt gruntownie towarzyszymy. Jeżeli nawet spotkały nas tam, skąd przychodzimy, tutaj nas nie będą w stanie rozpoznać. Nie jesteśmy jeszcze dla nich dostatecznie dojrzały, aby mogły one się z nami w pełni utożsamić. Dlatego niech pan będzie spo-

kojny, on pana nie rozpozna. Nazywa się Zygmunt Igel i jest ostatnim z rodu sławnych księgarzy i bibliofilów, którzy od czterech pokoleń pełnią szlachetną służbę zaopatrując najszacowniejsze ze zbiorów bibliotecznych kraju w poszukiwane przez nie cymelia. Odnajdujących sobie tylko znanymi sposobami, drogę do koh-i-noorów światowego piśmiennictwa – dodał półgłosem.

Słyszałem już wcześniej o tym kresowym klanie tajemniczych tropicieli rzadkich książek, a teraz dane mi było kroczyć obok jednego z nich.

Szliśmy jeszcze dość długo krętymi korytarzami, przechodząc od czasu do czasu przez ukryte w głębi domu dziedzińce, patia i podwóreczka. Wstępowaliśmy na drewniane schody wiodące do położonych dalej, nieoczekiwanych partii domostwa.

Prowadzący nas zatrzymał się wreszcie przy masywnych, okutych drzwiach, na których widniał napis: „Salomon Igel – Księgozbiór”. Staroświeckim kluczem otworzył je i wskazując ręką w kierunku pomieszczenia za nimi, odwrócił się do mojego towarzysza, chcąc go przepuścić przed sobą. O mnie zdawał się nie wiedzieć.

Poznałem go od razu. Przed nami stał we własnej osobie, nie kto inny jak znajomy właściciel pensjonatu, z którego tutaj przeszliśmy.

Stałem niepewny, czy mnie czasem nie rozpoznał, z drżeniem serca spoglądając w jego kierunku. Patrzył na wskroś przeze mnie niewidzącymi oczami. Nie zauważając mnie wcale, zwrócił się do mojego towarzysza:

– Oto miejsce, w którym znajdzie pan wszystko, czego pan potrzebuje do swojej pracy.

Jego oczy spotkały się na chwilę z moimi, tak mi się przynajmniej wydawało, lecz on, nie zatrzymując na mnie wzroku, jakby mnie wcale nie było, ciągnął dalej:

– Po lewej stronie znajdzie pan książki już napisane. Innych proszę szukać po prawej stronie...

*Krzysztof Rudziński*

## Iwona Smolka

## Skarpa

*(fragment)*

## Turbulencje

Wydaje mi się, że mnie ktoś woła, słyszę: Ania, Anna, śpisz? Wypływam na powierzchnię, obok mnie, z prawej i lewej strony, ciche pochrapywanie. Długi lot, ciemno, miarowy szum, lekkie drgania. Jestem w brzuchu wieloryba, który mnie połknął razem z mrokiem, nocą, realną ziemią. Jestem Jonaszem, który powtarza: chcę do domu, do bałaganu warszawskich ulic, do domu. Ocaleję z tej katastrofy. Wiozę urnę z prochami mojej matki, której nie miałam, odnalazłam ją, straciłam. Kręci mi się w głowie. Myślę i śpię jednocześnie, mam kilka godzin lotu, aby uporządkować to, co się wydarzyło. Coś tam zapisałam z tego pobytu, w ostatniej chwili wysłałam ojcu, chyba nie skasuje, to sobie przeczytam. To były listy pisane na gorąco. Wstukujesz w komputer, naciskasz i poszło! Bez poprawek. Na pewno nie zapisałam tego, co mnie najbardziej zabolalo. Nie lubię go martwić, staruszek lubi się przejmować. Rozbudowuje w sobie poczucie winy i im czuje się bardziej bezwartościowy, tym mu z tym lepiej. Zupełnie porąbane. Może go krzywdzę, ale tak chyba jest. To jest miły facet ten mój father. Skrupulatny, uporządkowany, szaleństwa na boku, żebym czegoś się nie domyśliła. Dyskretny. Nie wtrąca się, on sobie, a ja sobie. Tak żyjemy. Czasami mu odbija i go ponosi. Są tematy tabu, a najważniejszym z nich jest moja matka. Kiedy byłam na niego zła i chciałam mu dokuczyć, robiłam z siebie rozjechanego kota. Taki rozmazany, miauczący dzieciak, który piszczy: dlaczego wyjechała, powiedz, dlaczego? dlaczego? I ryk. To go brało.

Wytrenowałam tę sztukę do perfekcji. Jak dorosłam, to już bez mazania się, jasne. Przed samym wyjazdem jeszcze mu powiedziałam:

– Odkryj tę waszą tajemnicę, spoko, możesz dalej nie główkować.

Nie był wściekły, kiedy powiedział:

– Odkryj, zobaczysz, że nie było nic oprócz pieniędzy i dostatku. Taki wybór, a reszta to pretekst. Na pewno coś wymyśliła przez te lata, żeby się usprawiedliwić, może naprawdę się zakochała, czy miłość wymaga usprawiedliwienia?

Tak powiedział, a mnie odbiło i zaczęłam na niego krzyczeć, ale to nie był krzyk na serio, i on to wiedział, zresztą zawsze unikał prawdziwego zwarcia, teraz też tylko mnie poklepał, co znaczyło: nie martw się, będzie dobrze.

No jasne. Tajemnica to tajemnica. Jak zobaczyłam tę amerykańską rezydencję, to pomyślałam, że papcio miał rację. Przykre, ale zanim ją spotkałam i zawołałam „cześć!” wiedziałam, że wszystko, co zechce mi powiedzieć, będzie oszukiwaniem siebie i mnie, że dawno temu wymyśliła bajkę, którą zasloniła banalną prawdę, a imię jej: luksus życia. Teraz nie jestem tego pewna, przecież ani razu na serio z nią nie porozmawiałam, ale było mi jej szkoda. Nie wiem, dlaczego tak pomyślałam, że szkoda, żal mi jej. Muszę się zastanowić, dziwne, ale nie mogę się skupić. Raz widzę coś i za chwilę to się zamazuje. To jak jazda samochodem, kiedy wycieraczki szorują po szybie, brak płynu, więc to, co się miało wyczyścić, tym bardziej się zaciera, trzeba stanąć, wysiąść. No właśnie, wysiadam. Nie, nikt mi nie powiedział: spadaj mała! Ale ja to usłyszałam. Oczywiście niechcący. Taki niefart. Kiedy to było? Chyba drugiego dnia po moim przyjeździe. Czas mi się pokręcił, nie mogłam spać. Poszłam do kuchni. Widzę ją. Lśniące laboratorium. Szkło, błyszcząca stal, stół, w którym można się przejrzeć. Nigdzie ani okruszka, żadna mysz by się tu nie pożywiła, zresztą skąd by się tu miały wziąć myszy? Zatrzymałam się w progu, nie wiem dlaczego nie weszłam. Siedzieli przy tym ogromnym stole. Moja matka patrzyła jak jej mąż nalewa herbatę, ustawia talerzyk, który ona odsuwa, to nie był gest przyjazny, a ja wtedy, stojąc w tych uchylonych drzwiach usłyszałam jak mówi:

– Wiedziałaś, że to nie ma sensu. Pomyłka. Jej przyjazd to była pomyłka, rozumiesz? Nie mów mi, że mam się uspokoić. Jestem spokojna. To ty chciałaś, żeby tu przyjechała. Nic nie czuję, rozumiesz?! Nic, a nic! Oprócz tego, że znów czuję się winna. Wszystko wróciło, cały ten koszmar wrócił!

Nie wiem, o czym ona mówi i nie rozumiem Eda, który głaszcze ją po głowie, tak jak się głaszcze dziecko i coś do niej szepcze, a ja boję się drgnąć, bo teraz nie mogą mnie zobaczyć.

– Przestań sobie wmawiać niestworzone historie, mówi Ed, nie jesteś niczemu winna. Ile razy mamy przerabiać ten sam temat! Ja już nie mam siły. Wyjechałaś, zostałaś, tak się złożyło, przecież jest nam dobrze razem?

To jest pytanie pełne wątpliwości i teraz rozlega się chlupanie, jej płacz, więc na palcach, tyłem wycofuję się, za chwilę wejść do kuchni, tym razem głośno, szurając kaptami, niech mnie usłyszą, niech mają czas, żeby się przygotować na spotkanie.

Nie wiem, co mam o tym myśleć, oprócz tego, że mój przyjazd do matki, której nie widziałam dwadzieścia lat, był absolutnie głupim pomysłem. Trudno, tak wtedy pomyślałam, to ona mnie zaprosiła, teraz niech się męczą.

Ja się też męczyłam. Siedzę w samolocie, wracam, nadal nie rozumiem, co wtedy powiedzieli. Jaki koszmar wraca? Co ona sobie wmawiała? Nieważne.

Jeszcze raz muszę spróbować. Wchodzę, udaję zasnęłą. Moja piżama nie pasuje do jej szlafroczka. Szaro-perłowa mgielka otula moją matkę, która

patrzy na mnie, a ja nie widzę na jej twarzy żadnych łez. No i dobrze. Teraz zapytam: wy też nie możecie spać?

– My wcześniej wstajemy – mówi Ed – co pijesz: kawę czy herbatę?

I wtedy ona stwierdza, że na pewno kawę, bo mój ojciec zawsze tak zaczynał dzień i to się pewnie nie zmieniło. I popatrz – mówi to do Eda, nie do mnie, kiedy byłam w kraju marzyłam o tym, żeby móc się wyspać, żeby nie wstawać o szóstej rano, nie wychodzić do pracy, a potem nie przewijając, nie karmić, tylko leżeć i spać. O tym marzyłam. I nic z tego.

– Przecież możesz spać, mówi Ed, nie musisz schodzić ze mną do kuchni, wszystko możesz.

– No właśnie, odpowiada, kiedy już mogę wszystko, to mi się odechciało. Nie potrafię teraz spać. To ten przymus mnie zabijał.

Patrzy na mnie i wiem, że jeszcze raz mnie ocenia, mój wygląd, zachowanie. Uśmiecha się wreszcie. Jej dłoń ściera niewidzialne pyłki ze stołu.

– Usiądź, mówi, kawa prawie gotowa. Sterczysz jak kat nad dobrą duszą. Co się dziwisz, pamiętam różne powiedzonka, chciałam zapomnieć, ale nie udało się.

Siadam koło niej i zadaję to idiotyczne pytanie:

– Dlaczego mnie zaprosiłaś? Dlaczego chciałaś, żebym do ciebie przyjechała?

Nie patrzę na Eda ale wiem, że trochę kawy, którą nalewa, kapnęło na spodek. Czekam na mile kłamstwo mojej matki. Ona się nie spieszy.

– Nie wiem – mówi – to był impuls. Często działam pod wpływem impulsu. Nie jestem pewna, czy to był dobry pomysł. Trudno. Stało się. W końcu jesteś moją córką. Innej nie mam.

Wtedy zostałam zraniona. To zdanie chciałam sobie przypomnieć. Udało się. Nie, nie skłamała. Powiedziała mi prawdę. Potwierdziła to, co usłyszałam. Domagałam się prawdy i dostałam ją. Zastanawiam się, czy chciała być okrutną, czy tylko tak jej się od niechcenia powiedziało. Wszystko jedno.

Powinno być wstać, wyjść, no, coś zrobić. A ja tylko siedziałam.

– I pozamiatane! – tyle powiedziałam, a ona nie zrozumiała, i tak miało być.

Piłam wolno kawę, wzięłam sucharka, pomyślałam, że zjadłabym kanapkę, najlepiej z twarożkiem i rzodkiewką. Dlaczego pamiętam takie duperele?

Ona coś jeszcze powiedziała, że możemy się przecież zaprzyjaźnić, jakieś takie kawalki wstawiła, ale wszystko było jasne, gdybym wtedy spakowała walizkę i pojechała na lotnisko, nie pilnowałabym teraz urny. Wiedziałam, że nic dobrego mnie nie czeka, a jednak byłam ciekawa. Mogło się jakoś między nami ułożyć, tak też sądziłam. No, trudno. Jadę, lecę do domu. Zaraz zasnę. Ten pobyt u nich wydaje mi się nierealny, jakbym nie ja to przeżyła. To się zdarzyło jakiejś Annie, którą chyba znam. Tak opowiem to ojcu. Zabawne, że tak dobrze wiem, co będzie robić, o czym rozmyśla. Oczywiście o mojej

matce i pogrzebie, który nas czeka. Musiał ją cholernie kochać. Nigdy tego nie zrozumie. Po tylu latach ona tkwi w nim, jest jak drzazga zbyt głęboko wbita, wokół jątrzy się ciało, cieknie ropa, a on smaruje ranę, zamiast wyciągnąć to białe świństwo. Oczywiście, że była uroczą. Wiem. Potrafiła czarować. Wiem, zaznałam. Impulsy. Histeria, a nie impulsy. Spontaniczna i wyrachowana. Dosyć. Wycieraczki na szybie mojego samochodu rozmazują brud, father na siedzeniu obok mruczy: i jak ty chcesz dalej jechać, stań, trzeba nalać płynu do spryskiwacza. Chyba przysnęłam. Pierwsza jazda z ojcem po otrzymanym prawie jazdy. Klótnia. Ciekawe, czy on się bał, że ja wyjadę do matki i nie wrócę? Czy raczej wiedział, że czeka mnie rozczarowanie i dlatego tak bardzo nie chciał, żebym jechała? Zapytam. Wiem, że będzie kręcił, on zawsze na początku ściemnia, ale w końcu i tak się dowiem, o co chodzi. Jest okropnie nieporadny w swoich małych kłamstwach. Nie, on właściwie nie kłamie, tylko tak kręci, żeby się nie wydało. Chodziłam do szkoły, kiedy wreszcie mi powiedział, że się rozwiedli i ona nie wróci. Rozumiem, nie chciał, żebym płakała. Wtedy już nie tęskniłam, listy od niej były coraz rzadsze, paczki były fajne, tyle pamiętam i to jak stękał mój ojciec, kiedy wyduszał z siebie tę prawdę, że się rozwiedli. A ja to już wiedziałam, od Monisi. Moja niania uważała, że powinnam wiedzieć i nie bajdurzyć w szkole niestworzonych rzeczy. Konkret, miała rację, tak myślę. Nienawidziłam mojego ojca, kiedy ją odprawił, moją Monisię. Widływałyśmy się, ale to już nie było to. Wiem, że mnie kocha, a ja ją, i to bardzo.

Zatrzęsło jak diabli! Jakies turbulencje. Już pojawił się napis „proszę zapiąć pasy”. Stewardesa powtarza to głośno przez mikrofon, budzi tych, którzy nadal śpią. Małe zamieszanie, rozmowy. Znowu nami rzuciło, ale to głupie uczucie. Mój wieloryb zrobił się niespokojny. Nie lubię latać. Nie boję się, ale nie lubię. Czuję teraz dziwne napięcie, które krąży od pasażera do pasażera, łączy nas, chwilowych znajomych, w komunii lęku. Ojciec na pewno by to zlekceważył. Wypadków samochodowych jest więcej, tak by powiedział, a przecież nie boisz się jeździć i prowadzić? Jasne. Nie boję się. On się trochę bał w czasie naszej pierwszej wspólnej jazdy. Widziałam, że kiedy zbyt blisko nadjeżdżałam na tego przede mną, naciskał nieistniejący przed jego stopą hamulec. Nic nie powiedział, dopiero przy tych wycieraczkach coś mu się zamruczało. Pierwsza zasada: nie denerwować kierowcy. Jak chce to potrafi się powstrzymać przed rzucaniem słusznych uwag. Staram się tego nauczyć. Znowu polecieliśmy odrobinę w dół. O czym myślałam? O tym, że nie należy denerwować kierowcy. Moja matka uwielbiała doprowadzać Eda do szewskiej pasji. Jazda z nimi była próbą dla mocnych nerwów. Im bardziej ona mu dogryzała, tym częściej on skręcał w niewłaściwy zjazd, znowu nas wyrzucało w innym kierunku niż ten pożądanym. Czterdzieści minut opóźnienia, no trudno, jak nie ten film to jest inny, nie róbcie problemu, moja matka śmiała się, była rozbawiona naszym napięciem i złością. Przecież to drobiazg, zawołała,



głupstwo! Głupstwo ma nas denerwować, psuć nam wieczór? Bawmy się! Braliśmy głęboki oddech i rzeczywiście byliśmy na luzie, film był nijaki, ani dobry, ani zły, dalo się obejrzeć. Wracaliśmy. Ona prowadziła bez napięcia, żartując, bezbłędnie wybierając kierunki, ani razu nie zgubiła się na obłądnych ślimakach, rozjazdach, a potem leciutko zawadziła o otwartą bramę, w której zmieściłyby się dwie ciężarówki.

Ed tylko stęknął i nic nie powiedział. Otarcie było niemal niewidoczne.

Myślę, że to była kolejna próba. Sprawdzała nas. Egzamin wypadł pomyślnie. Siedzieliśmy w kuchni, stół błyszczał, Tosty zostawiały okruszki, sałata była świetnie przyprawiona, krążyły żarty i zabawne opowieści, doprawdy każdy się starał, żeby było miło.

Próbuję się rozluźnić, nie myśleć o tych turbulencjach, zupełnie jakbyśmy jechali po kocich łbach, matka zażyczyła sobie być pochowaną w Warszawie, czy to znaczy, że jednak chciała wrócić? Kiedy ona pisała swój testament? Pięć, dziesięć lat temu? Nie zapytałam prawnika. Nieważne. Ten zapis jest zupełnie odjazdowy. Wyobrażam sobie minę ojca, ale będzie główkować. Ułoży sobie kolejną bajkę o niewiernej żonie, pięknej kochance, o tym, że ma przechłapanie. Przecież wiem, że już teraz siedzi i roztrząsa po raz któryś swoje życie. Jego problem.

Jestem zdenerwowana. Nie, nieszczęśliwa, nie rozpaczam, choć jest mi smutno. Jakie to głupie, że muszę się zastanawiać, co mi jest. Chce mi się rzygać, po prostu. Nie mnie jednej. Chyba się uspokoiło. Znów jestem w brzuchu wielkiego wieloryba. Zanurzona i bezpieczna. Ciężkie fale z chłupotem wylewają się na brzeg, ocean mruczy, wieloryb śpiewa. Czarna, oleista woda nanosi na plażę wodorosty, połamane deski, plastikowe kubki, strzępy czegoś, co przetrawione przez sól, stało się bezkształtną masą. Gwiazdy i sierp księżycza oddzielają niebo od wody. Chłód, bardzo miły. Wtedy czuje się własną skórę. W upale, przypieczoną słońcem, też. Normalnie człowiek nie wie, że ma skórę. Nie myślałam, że będę cały czas, tam, u nich, czuć własną skórę. To były, tak teraz sądzę, ekstremalne warunki. Może się myłę. Ed tak bardzo się starał, żeby było nam miło. Co ona wtedy powiedziała?

– Miło i przyjemnie, prawda? Trzeba się napracować, żeby tak było.

Uśmiechnęła się, pogłaskała mnie po ramieniu, pierwszy raz mnie dotknęła, drugiego dnia po moim przyjeździe, miała ciepłą dłoń, przestałam być trędowata, niedotykalna.

Kiedys mnie nawet pocałowała. Śmieszne, jak dobrze to pamiętam. To musi zrównoważyć tę resztę, którą poznałam.

Lubię kiedy zgadzają się strony równania. Dodają do siebie cząsteczki, zachodzi reakcja, kocham moje laboratorium.

Stół jest z przyciemnionego szkła. Siedzę przy nim, staram się nie trzymać na nim rąk, palce zostawiają ślady, które potem długo się wyciera, dobrze że nie trzeba zakładać rękawiczek, jak w sali operacyjnej. Moja matka – pielęgniarka, wie, że najważniejsza jest higiena. Sterylna czystość zapewnia długie i zdrowe życie. Nie musiała tego mówić, zrozumiałam to, gdy weszłam do jej domu.

Najważniejszy jest stół – powiedział mój ojciec, kiedy do naszego nowego mieszkania wnoszono meble. Musi być duży, drewniany, ma razem z nami jeść i trawić, ma nie bać się wylanej herbaty i tego, że kapnie na niego oliwa. Od niego zaczyna się dom. Podoba ci się? – zapytał. Jasne, teraz też mi się podoba. Te dwa stoły powinny mi od razu wytłumaczyć, dlaczego nie mogli być razem, ale może wtedy była inna?

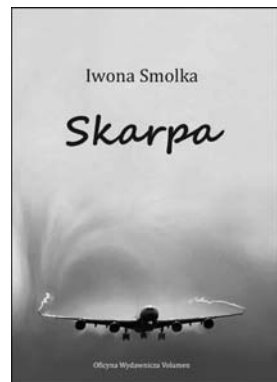
Spontaniczna, piękna, czuła – tak o niej mówił, kiedy jeszcze byłam mała, póki się nie rozwiedli.

– Opowiedz o mamie – prosiłam, nie chcę bajki na dobranoc, opowiedz mi o niej.

Opowiadał. Nie wiem, czy zmyślał, matka zamieniała się w postać z bajki, była księżniczką, którą spotkał na leśnej drodze, a ja byłam tym skarbem, który wspólnie odnaleźli. Dobrze to pamiętam. Teraz mogę zasnąć. Uspokoilo się, odpinam pasy.

*Iwona Smolka*

Iwona Smolka, *Skarpa*, Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 2015, stron 320, oprawa twarda, format 13 x 21 cm. ISBN: 978-83-64708-07-7.



---

**Andrzej Sobol-Jurczykowski**

## **Parabola o kotach, kobietach i o prawie autorskim**

Od niepamiętnych czasów człowiek podejmował próby wytresowania swojego kota, ale zawsze kończyło się to tak, że to kot wytresował swojego człowieka. (Analogicznie George Bernard Shaw zauważył, że nawrócenie Murzyna z Kongo na wiarę Chrystusa jest nawróceniem wiary Chrystusa na Murzyna z Kongo\*).

Przy odrobinie cierpliwości można nauczyć człowieka czterech rzeczy, jakie mają dla kota zasadnicze znaczenie: chodzi o dobór jadłospisu, ustalenie godzin posiłków (najwygodniejsza jest zasada *meals at any time*), wybór miejsca, gdzie nie wolno zakłócać kociego spokoju i gdzie kot może się zadumać nad własnymi sprawami i nad marnością tego świata (wygodna poduszka, najlepiej na szafie lub antresoli) oraz lokalizacja kuwety zgodnie z zasadami Feng Shui.

Na ogół kotom udaje się to wszystko osiągnąć, toteż są zdania, że podjęły właściwą decyzję, opanowując ludzkie domostwa i podbijając ludzkie serca. Godzą się z tym, że skazane są na wspólność z człowiekiem przy studni, ognisku i owocach, jak mawiał Nietzsche\*\*. Wśród ludzi koty mają zapewniony darmowy wikt, zakwaterowanie, opierunek, opiekę lekarską oraz zaspokojenie wszelkich innych potrzeb materialnych i duchowych. W zamian za to przez pięć minut dziennie udają sympatyczne: pozwalają się głaskać i mruzcą. (Kiedy kot ociera się policzkiem, nie znaczy to wcale, że kocha: koty mają na policzkach gruczoły wydzielające substancje zapachowe niewyczuwalne dla człowieka i nie dla niego przeznaczone. Chodzi o poinformowanie innych kotów, że przesiąknięty tym zapachem człowiek ma już swojego pana i że nikomu nie wolno go oblaskawiać).

W swoim ailurocentryzmie\*\*\* koty posunęły się do tego, że, parafrazując Borgesa, spreparowały taki oto aforyzm: „Koty zostały stworzone po to, żeby je kochać, i bez miłości usychają jak róże bez dżdżu”\*\*\*\*.

Kobiety posługują się kocimi metodami bezprawnie, naruszając kocia własność intelektualną i kocie prawa autorskie.

---

## Przypisy

- \* W rzeczywistości Shaw powiedział: *The conversion of a savage to Christianity is the conversion of Christianity to savagery* (zob. *Man and Superman. A Comedy and a Philosophy*. By Bernard Shaw, Constable and Company Ltd., London 1929, *The Revolutionist's Handbook, Maxims for Revolutionists, Stray Sayings*, s. 242).
- \*\* Zob. Fryderyk Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*, przeł. Waclaw Berent, Nakład Jakuba Mortkowicza, Warszawa 1905, Część II, *O bołocie*, s. 110.
- \*\*\* Ailurocentryzm – pogląd filozoficzny, ku któremu skłania się przytłaczająca większość kotów; zgodnie z nim koty są najważniejszym elementem bytu pojmowanego jako *owóża* tak, jak używają tego terminu Arystoteles i Platon, a więc nie tylko w sensie ontologicznym, ale również epistemologicznym, aksjologicznym, eschatologicznym, aporetycznym, holistycznym i kilku innych.
- \*\*\*\* Koty zostały stworzone po to, żeby je kochać – w rzeczywistości ten aforyzm nie jest parafrazą powiedzenia samego Borgesa, ale jego młodszej siostry Norah. Kiedy rodzeństwo zwiedzało w dzieciństwie ogród zoologiczny, przed klatką z tygrysami Norah powiedziała: „Są stworzone po to, żeby je kochać”.

## Janusz Wasylkowski

## Cud na przednówku

Jest koniec stycznia, do stypendium kilka dni, a w kieszeni dziura, jak stąd do Winnik – tak się we Lwowie inteligentnie mawiało. Gorzej, żadnej walówki nie ma, nawet herbata się skończyła, nie mówiąc już o kawie czy cukrze.

W moim sublokatorskim pomieszkaniu wprawdzie ciepło, ale w żołądku burczy, jest niedziela, więc i obiadu w stołówce akademickiej nie ma.

Co robić?

Wszyscy koledzy są, jak mi wiadomo, w podobnej sytuacji, o pożyczeniu jakiegokolwiek grajcara nie ma mowy.

Jedna nadzieja w Wieśku. Wiesiek, przyjaciel jeszcze z szóstej klasy ze Zbąszynka, studiował we Wrocławiu weterynarię i zawsze był lepiej sytuowany od innych kolegów, gdyż i od rodziców dostawał comiesięczną solidną paczuszkę pełną domowych wiktuałów, i sam był młodzieńcem nader obrotowym, i tu, i ówdzie umiał parę groszy dorobić.

Telepię się więc do Wieśka. I tu przykra niespodzianka. U niego też kłapa, w dodatku zimno w pokoju, w którym pomieszkiwał i był zobowiązany ogrzewać go, starając się na własną rękę o opał, czyli drewno i węgiel.

Rozpacz. Klęska. Jak żyć? A raczej: jak przeżyć najbliższe dni? – oto dylemat. Niemal hamletowskie: Być albo nie być! I pomyśleć, że jest karnawał, ludzie się cieszą i bawią.

Wiesiek, po namyśle, powiada:

– Jedyna nadzieja w panu Kaziu. Pamiętasz, on już kilka razy zapraszał nas do siebie?

Wyteżyłem pamięć. Pan Kazio, rzeczywiście... Ale najpierw była Grażyna, narzeczona Wieśka, z dwutygodniowym wypowiedzeniem – jakby powiedział mój ulubiony pisarz – Kornel Makuszyński. Grażyna coś tam studiowała, ale rzuciła studia, miała się przenieść na inny wydział. Na razie przeniosła się z akademika do Haliny, starszej siostry, tancerki, czy wręcz primabaleriny opery, która zamieszkiwała z panem Kaziem w charakterze etatowanej narzeczonej, z małżeńskimi, jak się można było domyślić, obowiązkami. Pan Kazio natomiast był wyznania handlowego, jak mawiał z kolei, wiele lat później, jeden z bohaterów filmu „C.K. Dezerterzy”, miał niewielki handelek z czapkami naprzeciwko Dworca Nadodrze, czyli był, o zgrozo, prywaciarzem, dysponował trzypokojowym, ze służbówką w dodatku, stylowo urządzonej, według dawnych mieszczańskich wzorów, mieszkaniem obok swojego sklepiku. Był ponadto osobą towarzyską i lubił – jak powiedział – młodzież, w dodatku

z artystycznych środowisk. Byłem wtedy szefem Studenckiego Teatryku Satyry, autorem wielu tekstów, a Wiesiek był naszym kierownikiem organizacyjnym. Można powiedzieć: bohema, w studenckim, choć prowincjonalnym wydaniu. Ale zawsze bohema...

Wygrzebaliśmy zatem parę groszaków na telefon z wątpliwą nadzieją, że pana Kazia i jego harem zastaniemy w domu. Szczęście nam jednak sprzyjało. Byli. I siedzieli, nudząc się, telewizji jeszcze wtedy, na szczęście, nie było. I serdecznie zapraszają na kolację. Wiesiek oczywiście certował się, że zadzwoniliśmy tylko po to, by dowiedzieć się, co słyhać, kopiąc go po kostkach zmusilem do szybkiego zaakceptowania zaproszenia. Ostatecznie mieliśmy się stawić za pół godziny, choć do lokalu pana Kazia najwyżej pięć minut drogi. Wiesiek jednak rozsądnie tłumaczył, że miłym gospodarzom, a zwłaszcza gospodyniom, trzeba dać trochę czasu na godne przyjęcie naszych głodnych, choć szanownych zapewne, osobistości.

Rzeczywiście. Kiedy wkroczyliśmy do gościnnego salonu, stół był już zastawiony. Naszym zgłodniałym oczom i nie tylko oczom, widok szynki, baleronu, kabanosów, marynowanych grzybków, nie mówiąc już o dwóch karafkach wypełnionych tajemniczymi substancjami, które ongiś nazywano nalewkami, sprawił nie tylko estetyczne zadowolenie, a soki trawienne w żołądkach, z konieczności ostatnio bezrobotne, ożywiły się i zaczęły się domagać kulinarnych pieszczot.

Natychmiast przystąpiliśmy do zdecydowanej konsumpcji, nieco dystygowanej, by nie wypaść z roli znawców sztuki i stołu. Serwując towarzystwu lokalne anegdoty i opowiadania ze studenckiego żywota artystycznego, nie pomijając też i politycznych aluzji, ale bez przesadnego akcentowania osobistych poglądów.

Około godziny dwudziestej drugiej, pan Kazio, wznosząc kolejny toast, powiedział:

– Dosyć się nasiedzieliśmy! Idziemy potańczyć!

Nasze nieśmiałe protesty skwitował:

– Zapraszam! Niech się dziewczyny trochę rozerwą!

Czego się nie robi dla pięknych, jakby nie było, kobiet, chociaż nie naszych, Wiesiek wprawdzie coś tam skorzystał z niewątpliwych uroków apetycznej Grażynki, ale pan Kazio nie musiał o tym wiedzieć, a może udawał, że nie wie.

Knajpa była niezbyt daleko, przy placu, pozał się Boże, Engelsa. Otoczona wianuszkami dobijających się bezskutecznie upierdliwych pijaczków, których cerber odpędzał jednoznacznym stwierdzeniem:

– Miejsc nie ma!

Jednak na widok naszej gromadki, z panem Kaziem na czele, skłonił się nisko.

– Szacunek dla pana prezesa! Miejsca, jak zwykle, zarezerwowane.

O żadnej rezerwacji, oczywiście, mowy nie było, ale natychmiast dwaj kelnerzy, porzucając swoje zatłoczone rewiry, przytaszczyli z zaplecza stolik i pięć krzeseł, ustawili je tuż przy orkiestrze, innej wolnej przestrzeni, poza niewielkim kręgiem tanecznym nie było, stolik w mgnieniu oka nakryty został śnieżno-białym obrusem, bez jakiegokolwiek naszej inicjatywy pojawiły się na nim kieliszki i butelka zamrożonej „Wyborowej”. Pan Kazio, nie zwracając na nasze nieśmiałe wątpliwości, zadysponował tatara, oczywiście z sardynką i żółtkiem (lub odwrotnie), bulion z litewskimi, rzecz jasna koldunami, no i moje ulubione zrazy zawijane z kaszą gryczaną i buraczkami. To dla nas i pana Kazia, dziewczyny zadowolily się tatarem i herbatą.

Tańczymy. To znaczy ja i Wiesiek obtańcowujemy na zmianę obie panielki. Pachną znakomitymi, zagranicznymi zapewne perfumami, o ich cenę woleliśmy nie pytać, które kojarzą się (ceny i perfumy) z niewątpliwymi rozkoszami, dla mnie niestety, niedostępnymi. Tymi perfumami marynarka moja pachniała jeszcze dwa dni, z lubością wchłaniałem te wonie, mając wrażenie, że jest to zapach ciała Grażynki lub Halinki, ale Grażynka, jako młodsza, bardziej mojemu sercu, i nie tylko sercu, bliska była.

Pan Kazio nie tańczy, nie umie, czy nie chce... Pan Kazio obserwuje. Zdajemy sobie sprawę, że mamy prawo być zadowoleni, uśmiechnięci, ale dziewcząt zanadto przytulać nie należy, one zresztą delikatnie dają nam to do zrozumienia. Doskonale rozumiemy sytuację, nie nasz towar, nie nasze pieniądze... Ile lat ma pan Kazio? Trzydzieści parę czy pięćdziesiąt? Ma zmęczoną twarz, posiwiałe włosy, nic o sobie nie mówi, o nic nie pytamy, swoje zapewne przeżył. Dobrze w ogóle, że przeżył.

Soki żołądkowe przestały się już w naszych żołądkach awanturować o przydział, jesteśmy pełni optymizmu, życie jest piękne, karnawał...

O drugiej w nocy kolejna dyspozycja pana Kazia, z entuzjazmem przyjęta przez pleć piękną.

– Jedziemy do „Monopolu”!

Pan Kazio dyskretnie reguluje rachunek, dostrzegam tylko, że kelnerzy klaniają się w pas, przed restauracją czekają dwie taksówki, jedziemy, można powiedzieć, z fasonem.

„Monopol”. Jedyne reprezentacyjny hotel i restauracja ówczesnego Wrocławia. Francja-elegancja, wytworność. W następnym roku w tygodniku „Poglądy” opisałem afery, związane z tym przybytkiem. Znacznie później natomiast dowiedziałem się, że lokal ów naszpikowany był informatorami i ubekami, gdzie inwigilowano przybywających tam gości, zwłaszcza z zagranicy, a przy tym wszystkim był instytucją, w której dobrze, a nawet znakomicie czuli się różnej maści geszefciarze, waluciarze, gnębiona przez władzę inicjatywa prywatna, no i towarzyszące tam grupom społecznym, jeśli można tak

powiedzieć, kobiety, a nawet damy (damy, nie damy), żadne przygód i finansowego ekwiwalentu.

O „Monopolu” krążyły legendy, coś tam w pamięci pozostało, o zamożnym szwecu, szyjącym szykowne obuwie notablom miasta, na którego wejście do lokalu orkiestra przerywała graną akurat melodię i intonowała modną wówczas piosenkę „Oj, szewczyku...” czy coś koło tego. Opowiadano, że księżniczką czy wręcz królową upojnych nocy w tym lokalu (a chyba i poza nim) była dama, która pojawiając się w towarzystwie nowego, powiedzmy, adoratora, pełniła wobec niego rolę gwaranta, jej obecność przy boku danego osobnika znaczyła, że osobnik ów ma się dobrze (od strony finansowej), jeśli go stać na jej towarzystwo i nie tylko towarzystwo, co w interesach, jakie tu prowadzono, mimo obecności ubeków, a może właśnie dzięki nim, była rękojmią stabilności, wypłacalności i czegoś tam jeszcze, o czym ja, ani Wiesiek nie mieliśmy zielonego pojęcia.

Pan Kazio znów jest witany z szacunkiem godnym rangi ważnego prezesa, jeszcze ważniejszej, choć nieistniejącej firmy. Drzwi, niedostępne dla innych śmiertelników, same się przed naszym towarzystwem otwierają.

Staruszek szatniarz z nabożnym szacunkiem bierze do rąk futerka naszych towarzyszek, mam wrażenie, że dyskretnie dłonią ocenia gładkość włosów, potem starannie rozwiesza te cenne okrycia, na osobnych wieszakach zarezerwowanych, jak widać dla lepszych gości, podobnie czyni z szubą pana Kazia, nasze natomiast mizerne paltociki, jesioneczki wyleniale, z wyraźną niechęcią, by nie powiedzieć, że z obrzydzeniem chwyta za wszarz, za kołnierz, znaczy się i wbija na hak... Niech mu tam! Bohema nie dba o takie drobiazgi.

Znowu coś jemy, żremy, trzeba powiedzieć. Jakiś chateaubriand... Czy ja coś takiego jadłem w swoim życiu? Na pewno nie w czasach studenckich, w przedstudenckich tym bardziej. Jest i alkohol w niezbyt nam znanych butelkach. Pan Kazio elegancki, pod krawatem, dziewczyny, jak to dziewczyny, w atrakcyjnych sukienkach z dekolcami, ale niezbyt przesadnymi, tylko my dwaj w wymiętych spodniach i wytartych marynarkach nie za bardzo pasujemy do wystroju lokalu, do złotych czy pozłacanych żyrandoli, kinkietów, wyfraczonej obsługi, ale nikt nam złego słowa nie mówi, być może dlatego, że jesteśmy gośćmi pana Kazia.

Biesiadujemy, tak to trzeba wytwornie powiedzieć, jak w dawnych czasach bywało (znamy te czasy, niestety, tylko z literatury), rozmawiamy o sztuce, o naszych planach artystycznych i życiowych, o premierach w operze, na których nie byliśmy, ale recenzje w dziennikach, wszystkich dwóch, jakie wychodziły we Wrocławiu, chyba przeczytaliśmy. Tańczymy spokojnie, z należyty dystansem do partnerek, orkiestra jest tu o dwie klasy lepsza niż w poprzedniej knajpie (podobno najlepsza w mieście), gra głównie tanga i slov-foksy, bywalcy tego lokalu są raczej wiekowi i opasłymi brzuchami lgną do chętnych danserek.



Pan Kazio pali zagraniczne papierosy, zaciąga się z lubością, odpowiada na ukłony, mamy wrażenie, że ustawicznie patrzy na swoje partnerki, z nami tańczące, już nie bardzo wiem, czy pilnuje, czy cieszy się, że dziewczyny podobają się i dobrze się bawią.

Koniak, kawa... Uff!

O piątą nad ranem taksówka uwozi pana Kazia z paniami w siną dal... Decydujemy się na spacer. Jest mroźno, czujemy jak paruje nam z głów, żołądki są pełne, mało, są przepelnione, warto zalec teraz na wielogodzinny spoczynek z nadzieją, że nie jest źle, jeszcze z głodu nie pomrzemy, w każdym razie w najbliższym czasie, życie, studenckie, oczywiście, jeszcze przed nami...

Idziemy Świdnicką, przez Rynek, Kuźniczą, mijamy Uniwersytet, przez barierki mostu siusiamy obficie na zamrożoną tafłę Odry, mróz szczypie w zaczerwienione, nie tylko z emocji, pyski. Skręcamy w ulicę Cybulskiego i nagle, prawie na środku jezdni, potykamy się o drewniany płot, właściwie spory kawał płotu, który przewrócił się lub został przez kogoś przewrócony, a który miał osłaniać ruiny, a raczej gruzy, zbombardowanej przed laty kamienicy.

– A w chałupie nie ma czym palić! – poskarżył się Wiesiek.

Pusta ulica, jeszcze był zmrok, latarnie skąpo oświetlały teren. Decyzja zapadła jednomyślnie.

– Bierzemy!

Podnieśliśmy ten płot, trochę gwał się, trzeszczał, wymykał ze zgrabiących rąk, z trudem wtargaliśmy go przez bramę kamienicy, w której Wiesiek mieszkał.

Wieśkowe lokum było, na szczęście, na parterze, trzymetrowe płocisko zajęło całą długość przedpokoju, byłem jeszcze w sieni, gdy Wiesiek wchodził do swej rezydencji. Nagle usłyszałem łomot i krzyk!

– O Boże! Cud! Cud!

Zdezorientowany, nieco przestraszony, o ile po wspomnianym obzarstwie i jak by nie było wytwornym pijaństwie, można być przerażonym, porzucam, drzewnianą, jakby powiedział pan Kazio, zdobycz, która oparła się o ścianę przedpokoju, blokując wejście do kuchni i łazienki, wpadam do wieśkowego sublokatorium i co widzę...

Wiesiek kłęczy i wznosi ręce do góry, jak do modlitwy. Na stole na białym obrusie (skąd, u licha, ten obrus? – pierwsza moja refleksja), leżą na talerzach owe pęta kielbasy, poleć szynki z obszerną smugą bielutkiego tłuszczu, kilka jajek, jak na wielkanocne święcone, oselki masła i twarogu, jakieś ciasto, makownik chyba i sernik, no i na dodatek, clou tego całego sezamu, butelka jarzębiaku.

Stoję oniemiały, Wiesiek kłęczy, patrzymy na to wszystko jak zahipnotyzowani.

Po dłuższej chwili zaczęliśmy działać, plot zaciągnęliśmy do pokoju, Wiesiek hrymnął do łóżka, ja w ubraniu zległem na kozetce przykryty dwoma kocami i tak smakowicie chrapnęliśmy, że było późne popołudnie, zanim raczyliśmy się obudzić.

I wtedy dopiero gospodarze Wieśka poinformowali go (i mnie, przy okazji), że kiedy wyszliśmy na wyzerkę do pana Kazia, zjawiała się jakaś kolejna Wieśkowa narzeczona (miał ich wiele, skubany, zawsze mu zazdrościłem, on mi zazdrościł później, kiedy się ożenił, a ja pozostałem swobodnym ptakiem), mieszkająca gdzieś pod Świdnicą, a która była przejazdem we Wrocławiu i swemu znakomitemu, jak się mogłem domyślić, kochasiowi, a biednemu żakowi, postanowiła sprawić niespodziankę i przywiozła furę żarcia. Żartowałem, że kiedy wcześniej u niego bywała, nie miała się, biedaczka, czym pożywić, poza miłością, która – jak wiemy – jest do życia potrzebna, ale niewystarczająca.

I jak tu nie wierzyć w cuda? Nawet na przednówku, bo dla chudych akademików tydzień przed stypendium był przednówkiem. Tylko kto dzisiaj wie, co to jest przednówek?

A plot? No, cóż. Jako dowód rzeczowy naszego przestępstwa przestał istnieć już następnego dnia, przekształcając się w rozkoszne ciepelko. Nasz czyn, natomiast, uległ już, jak sądzę, przedawnieniu, ponadto był to plot państwowy, a państwo nie zadbało o właściwe jego zabezpieczenie, nie mówiąc już o tym, że w owych latach wszystko, co państwowe, było nasze, czyli niczyje...

*Janusz Wasylkowski*

## Z przekładów

Danuty Gałęckiej-Krajewskiej

**Gabriel Garcia Marquez**

**Spotkanie z Hemingwayem**

Szedł z żoną, Mary Welsh, bulwarem St. Michel w Paryżu pewnego deszczowego, wiosennego dnia 1957 roku. Poznałem go natychmiast. Szedł po przeciwnej stronie ulicy w kierunku Ogrodów Luksemburskich, w starych znoszonych kowbojskich spodniach i baseballowej czapce.

Jedyną rzeczą, która jak gdyby nie należała do niego i nadawała mu przedwcześnie wygląd człowieka starego, były małe okrągłe, druciane okulary. Miał 59 lat, lecz był jeszcze okazałym mężczyzną, może nawet rzucającym się w oczy. Wąskie biodra i wychudłe nogi wystające z masywnych butów, jakie noszą drwale, pozbawiły jego postać, wbrew własnemu pragnieniu, cech brutalnej siły. Było w nim jednak tyle życia, gdy szedł tak wśród straganów ze starymi książkami i strumieniem sorbońskiej młodzieży, iż nie sposób było wyobrazić sobie, że pozostawały mu zaledwie cztery lata życia.

Przez ułamek sekundy, jak zwykle w takich sytuacjach, poczułem, że zmagają się we mnie dwie pokusy. Nie wiedziałem, czy mam prosić go o wywiad czy też podejść do niego, aby wyrazić mój niekompetentny podziw. Niestety każda z tych ewentualności była jednakowo kłopotliwa. W tym czasie mój angielski był równie ubogi jak dziś, a nie byłem zbyt pewny, czy zrozumiem jego hiszpański – język używany przez „bullfighterów”. W rezultacie nie zrobiłem żadnej z rzeczy, które mogły popsuć tamtą chwilę, natomiast przyłożyłem dłoń do ust i jak Tarzan w dżungli, ryknąłem poprzez ulicę: „Maestro!”.

Ernest Hemingway zrozumiał, że wśród tłumu studentów nie mogło być innego mistrza, więc odwrócił się, uniósł rękę i krzyknął do mnie po kastylijsku, bardzo dziecięcym głosem: „Adiooos, amigo!”. Nigdy więcej go nie widziałem.

Byłem wówczas 28-letnim dziennikarzem, mającym jedną opublikowaną powieść i kolumbijską nagrodę literacką, lecz w Paryżu byłem bierny, nie miałem określonego celu. Moimi wielkimi mistrzami byli dwaj północno-amerykańscy pisarze, którzy zdawali się mieć ze sobą bardzo niewiele wspólnego. Przeczytałem wszystko co napisali do tamtego czasu, ale nie jako lektury uzupełniające się – wręcz przeciwnie, jako dwie odrębne i niemal naturalnie wykluczające się formy pojmowania literatury.

Jednym z nich był William Faulkner, którego nigdy nie widziałem na oczy i którego mogłem sobie tylko wyobrazić jako farmera bez marynarki, drapiącego się w ramię, w towarzystwie dwóch małych, białych psów, na słynnym portrecie Cartiera-Bressona. Drugim był ten efemeryczny człowiek, który przed chwilą przesłał mi pozdrowienie z przeciwnej strony ulicy, pozostawiając wrażenie, że coś się stało w moim życiu i stało się nieodwracalnie.

Nie wiem, kto powiedział, że pisarze czytają powieści innych pisarzy po to tylko, aby przekonać się, jak są one napisane. Wierzę, że to prawda. Nie zadowolają nas sekrety wyjawione na powierzchni strony: zbliżamy się do książki, aby odnaleźć w niej „szwy”. W pewnym sensie nie da się tego wytłumaczyć, rozbijamy książkę na części podstawowe i gdy już zrozumiemy tajemnicę jej mechanizmu, składamy ją ponownie.

Przy książkach Faulknera wysiłek jest zniechęcający, ponieważ wydaje się on nie mieć jakiegoś organicznego systemu pisania, zamiast tego posuwa się na oślep przez swój biblijny wszechświat jak stado kóz rozpuszczonych w sklepie pełnym kryształów. Nawet jeśli uda się „rozebrać” jego stronę, ma się uczucie nadmiaru sprężyn i śrubek, którym nie można przywrócić ich pierwotnego miejsca.

Hemingway, przeciwnie, pisząc z mniejszym natchnieniem, mniejszą pasją i szaleństwem, lecz z doskonałą ostrością, zostawił śrubki całkowicie odsłonięte, jak na odkrytych wagonach pociągu towarowego. Być może dlatego Faulkner jest pisarzem, który ma najwięcej wspólnego z moim rzemiosłem – nie tylko z powodu swoich książek, ale także zdumiewającej wiedzy na temat mistrzostwa w sztuce pisarskiej.

W swoim historycznym wywiadzie z Georgem Plimptonem, w „Paris Review”, wykazał raz na zawsze (sprzecznie z romantycznym wyobrażeniem o twórczości), że ekonomiczny komfort i dobre zdrowie sprzyjają pisaniu; że jedną z głównych trudności jest właściwy dobór słów; że jeśli pisanie staje się mozolne, dobrze jest powtórnie przeczytać własne książki w celu uzmysłowienia sobie, iż zawsze było ono trudne; że można pisać gdziekolwiek, byle tylko nie przychodzili goście i nie odzywał się telefon i wbrew temu, co się mówi, że to nieprawda jakoby dziennikarstwo wykańczało pisarza, pod warunkiem jednakże iż w porę się je porzuca.

„Gdy już raz pisanie stało się głównym nalogiem i największą przyjemnością” – powiedział – „tylko śmierć może położyć temu kres”.

I wreszcie dokonał on odkrycia, że całodzienna praca powinna być przerywana tylko wtedy, gdy wie się, od czego zacząć ją następnego dnia. Nie sądzę, aby kiedykolwiek została udzielona na temat pisania bardziej pożyteczna rada. Jest to ni mniej, ni więcej tylko absolutne lekarstwo na najstraszniejsze widmo pisarzy; poranną agonię nad pustą kartką.

Cały dorobek Hemingwaya pokazuje, że jego talent był genialny, lecz krótkotrwały. I to jest zrozumiałe. Przy tego rodzaju wewnętrznym napięciu, podporządkowanym tak silnej dominacji techniki, nie może być utrzymane na obszarze tak ogromnego i ryzykownego zasięgu powieści. Była to jego natura i błąd polegał na próbie przekroczenia własnych, wspaniałych możliwości. Dlatego też wszystko, co zbędne, jest u niego bardziej zauważalne niż u innych pisarzy.

Jego powieści są jak nadmiernie rozbudowane nowele, które zawierają zbyt wiele. Z jego opowiadaniem sprawa wygląda zupełnie inaczej. Ich największą zaletą jest to, że stwarzają wrażenie, jakby czegoś w nich brakowało, co nadaje im tajemniczość i piękno. Jorge Luis Borges, jeden z największych pisarzy naszych czasów, ma takie same ograniczenia, ale ma zmysł niewychodzenia poza nie.

Pojedynczy strzał do lwa, lecz oddany przez Francisca Macombera, jest wielką lekcją sztuki polowania, ale również kwintesencją sztuki pisarskiej. W jednym ze swych opowiadań Hemingway napisał, że lew z Lirii, musnąwszy pierś matadora, zawrócił jak „kot skracający za róg domu”.

Wierzę, z całą pokorą, że to spostrzeżenie jest jednym z owych natchnionych ułamków absurdu, które można znaleźć tylko u najświetniejszych pisarzy. Dorobek Hemingwaya pełen jest takich prostych i zarazem oszałamiających odkryć, ukazujących miejsca, gdzie zastosował on definicję swego pisarstwa, które jest jak góra lodowa: tylko wtedy jest dobrze ugruntowane, gdy wspiera je siedem ósmych objętości.

Owa świadomość techniki jest bez wątpienia przyczyną, dla której Hemingway nie zdobędzie uznania za swoje powieści, ale która przyniesie sukces w wypadku jego bardziej zdyscyplinowanych opowiadań. Mówiąc „Komu bije dzwon”, powiedział, że nie miał z góry ustalonego planu książki, a raczej wymyślał ją na gorąco każdego dnia, w miarę jak powstawała. Nie musiał wcale tego mówić – to przecież oczywiste.

Zupełnym przeciwieństwem są jego, wymyślane na poczekaniu, opowiadania, którym nic nie można zarzucić. Jak na przykład te trzy, napisane pewnego majowego popołudnia w madryckim pensjonacie, kiedy w czasie święta San Isidoro, burza śniegowa spowodowała odwołanie walki byków. Te opowiadania to, jak sam powiedział Georgowi Plimptonowi: „Zabójcy”, „Dziesięciu Indian” oraz „Dzisiaj jest piątek” – wszystkie trzy są mistrzowskie. Spośród tych wersji, opowiadanie, które skupia jego potęgę w największym stopniu, to jeden z jego najkrótszych utworów „Kot na deszczu”.

Niemniej jednak, nawet jeśli zdaje się to być ironią jego własnego losu, wydaje mi się, że najbardziej zachwycającym utworem jest ten, który nie przyniósł mu sukcesu: „Za rzekę, w cień drzew”. Jest to, jak sam wyznał, coś, co zaczęło się jako opowiadanie i zagubiło się w mangrowej dżungli powieści.

Trudno zrozumieć skąd tyle strukturalnych pęknięć i tak wiele błędów sztuki pisarskiej u tak świadomego technika – dialog tak sztuczny, a nawet wydumany u jednego z najwspanialszych mistrzów w historii piśmiennictwa.

Kiedy książka ta została opublikowana w 1957 roku, krytyka przyjęła ją bardzo surowo, ale była skierowana w złą stronę. Hemingway czuł się najbardziej dotknięty tam, gdzie sam zadał najdotkliwszy cios i bronił się, przesyłając z Hawany gniewny telegram, który wydawał się niegodny autora tej klasy. Była to nie tylko jego najlepsza powieść, ale także najbardziej osobista, bowiem napisał ją o brzasku, jakiejś niepewnej jesieni, ogarnięty nostalgią za latami, które bezpowrotnie przeminęły i dojmującym przeczuciem, że pozostało mu zaledwie parę lat życia.

W żadnej ze swoich książek nie zostawił wiele ze swojej osobowości ani też nie znalazł – mimo całego piękna i ciepła – właściwego sposobu wyrażania najistotniejszego odczucia jego pracy i życia: bezużyteczności zwycięstwa. Śmierć jego bohatera, pozornie tak spokojna i naturalna, była ukrytą zapowiedzią jego własnego samobójstwa.

Gdy ktoś tak długo zajmuje się pracą pisarską i robi to z taką intensywnością, to w końcu nie jest w stanie odróżnić fikcji od rzeczywistości. Spędziłem wiele dni, czytając w kawiarni na placu St. Michel, którą on uważał za dobrą do pisania, ponieważ robiła wrażenie przyjemnej, czystej i przyjaznej, i zawsze miałem nadzieję spotkać w niej śliczną dziewczynę, którą ujrzał tam pewnego szalonego, zimnego i wietrzystego dnia. Dziewczyna była piękna, a włosy jak wronie skrzydło, opadające ukośnie na twarz, nadawały jej wyraz świeżości.

„Ty należysz do mnie i Paryż należy do mnie”, napisał do niej, z właściwą swemu pisarstwu siłą bezlitosnej zaborczości. Wszystko, o czym pisał i każda chwila, którą przeżył, należy zawsze do niego na zawsze. Zawsze, gdy mijam paryską ulicę Odeon 12 i patrzę na księgarnię, zresztą wyglądającą teraz zupełnie inaczej, wyobrażam go sobie jak rozmawia z Sylwią Beach, zabijając w ten sposób czas do szóstej wieczorem, kiedy to może wpaść James Joyce.

Zobaczywszy na kenijskiej prerii bawoły i lwy, stał się ich właścicielem, a także posiadał najbardziej intymne sekrety polowania. Zawładnął także torreadorami i zdobywcami nagród, artystami i opryszkami, postaciami, które istniały tylko w chwili, gdy były jego własnością. Włochy, Hiszpania, Kuba – pół świata jest wypełnione miejscami związanymi z jego osobą tylko dlatego, że gdzieś o nich napomknął.

W Cojimar, małej wiosce w pobliżu Hawany, gdzie żył samotny rybak z opowiadania „Stary człowiek i morze”, znajduje się płyta pamiątkowa, przypominająca jego bohaterskie czyny, i pozłacane popiersie Hemingwaya. W Finca de le Vigia, na Kubie, gdzie schronił się na krótko przed śmiercią, ocieniony drzewami dom stoi nietknięty, a w nim bogata kolekcja książek, trofea z polowań, pulpit przy którym pisał, jego ogromne buty, niezliczone

dowody życia z całego świata, które należały do niego póki żył i żyją nadal, ponieważ magicznie tchnął w nie życie tylko dlatego, że był ich właścicielem.

Kilka lat temu wsiadłem do samochodu Fidela Castro, zamilowanego czytelnika literatury – na siedzeniu dostrzegłem małą książkę oprawioną w czerwoną skórę. „To mój mistrz Hemingway” – powiedział Fidel Castro. Rzeczywiście, w dwadzieścia lat po śmierci Hemingway nie przestaje zjawiać się tam, gdzie się go najmniej spodziewamy, niezmienny choć efemeryczny, jak tamtego, chyba majowego ranka, gdy powiedział „Do widzenia, amigo” z drugiej strony Bulwaru St. Michel.

*Tłumaczyła z angielskiego Danuta Galecka-Krajewska*

## Z przekładów Anny Bańkowskiej

## Alfred Tennyson

## Pani z Shalott

## I

Z obu stron rzeki żyzna ziemia,  
Tutaj lan żyta, tam jęczmienia  
Nieba na horyzoncie sięga,  
A pośród pól – gościńca wstęga  
Wiedzie do Camelot.

Liczni wędrowcy i przechodnie  
Podziwiać mogą lilie wodne,  
Kwitnące wokół wyspy cichej,  
Zwanej przez lud – Shalott.

Bieleje wierzba, drży osika,  
Wieczornej bryzy dreszcz przenika  
Wyspę, co pośród toni rzecznej  
Omywa fala, dążąc wiecznie  
Pod miasto Camelot.

Czworobok murów, cztery wieże  
Patrzą na kwietny ten kobierzec,  
Ale najpiękniej wyspę zdobi  
Ona – Pani z Shalott.

Gdzie wierzb woal ponad brzegiem,  
Konie wloką tam szeregiem  
Ciężkie barki; nieco dalej  
Łódź żaglowa pruje fale  
W drodze do Camelot.

Czy-li znak komu dawała?  
Czy przy oknie kiedy stała?  
Czy zna ją lud w okolicy –  
Panią z wyspy Shalott?

[Tylko żęicy]



Tylko żeńcy wczesną porą,  
Nim brodaty jęczmień zbiorą,  
Słyszą pieśń, co echem dzwoni  
Od przejrzystej rzecznej toni  
    Hen, po wieże Camelot.  
Pod księżycą sierpem złotym  
Żniwiarz słabnie, spływa potem  
I szepcze, stawiając snopy:  
    „To nimfa! Pani z Shalott!”

### II

Na zamku dniami i nocami  
Magiczną snuje tkan barwami;  
Zna wieść, że klątwa nad nią wisi,  
Gdy się ośmieli oczy sycić  
    Widokiem Camelot.  
Lecz jaka klątwa? Kto ją rzucił?  
Nie wie i wcale się nie smuci,  
Tylko tka pilnie na swych krosnach  
    Pani z wyspy Shalott.

Przez cały czas ma tuż przed sobą  
Zwierciadło z taflą kryształową.  
Cienie w nim widać spoza rzeki,  
Kędy gościniec niedaleki  
    Zmierza ku Camelot.  
Na dole fala w wiry wpada,  
Górami parobków zaś gromada,  
Dziewki w czerwonych chustkach goniąc,  
    Biegnie obok Shalott.

To ślicznych panien widać wianek,  
To mnich w pogodny drepce ranek  
Albo pastuszek kędzierzawy  
Czy paż w szkarłatach krokiem żwawym  
    Śpieszy ku Camelot.  
Czasem przez gładką tafłę bieży  
Na rącznych koniach dwóch rycerzy,  
Lecz żaden rycerz za swą damę  
    Nie obrał pani z Shalott

W magicznej tkani nićmi snuje  
 To, co się w lustrze ukazuje;  
 Bywa, cichymi tam nocami  
 Kondukt z muzyką, pod piórami,  
     Ciągnie do Camelot.  
 Lub nocą, kiedy księżyc wschodzi,  
 Przechodzą oblubieńcy młodzi.  
 „O, jakże zbrzydły mi te cienie!”  
     Wzdycha pani z Shalott.

## III

O rzut oszczepem od jej wyspy,  
 Gdzie jęczmień chyli się złocisty,  
 W słońcu świecącym poprzez liście,  
 Nagolenniki lśnią ogniście –  
     To jedzie Lancelot!  
 Wzór rycerskich cnót przed damą  
 Zgina wieczyste kolano  
 Na tarczy, która wśród zboża  
     Błyska przy wyspie Shalott.

Na uździe drogie lśnią kamyki,  
 Jak gwiazdy złotej galaktyki,  
 Co ukazują się nocami,  
 I dźwięczy uprzęż dzwoneczkami  
     W drodze do Camelot.  
 U boku, na ozdobnym pasku  
 Trąbka się nurza w srebrnym blasku,  
 Stalowej zbroi chrzęst się wdziera  
     W ciszę wyspy Shalott.

Pod lazurowym niebem w górze  
 Błyszczą klejnoty w siodła skórze,  
 Hełm z pióropuszem w słońcu płonie,  
 Urasta w wielki, jasny płomień,  
     W pędzie do Camelot.  
 Tak, gdy fioletem noc nabrzmiewa,  
 Spod gwiaździstego często nieba  
 Meteor ciągnie światła smugę  
     Tuż nad cichym Shalott.

[Wysokie czoło]

Wysokie czoło bielą błyska,  
Ziemia spod kopyt końskich pryska,  
Spod helmu kruczoczarny lok  
Zwiewa mu wiatr, gdy pędzi w skok  
    Drogą do Camelot.  
Nad rzeką jechał, kiedy nagle  
Pani ujrzała go w zwierciadle.  
„Tiralla li” – radośnie śpiewał  
    Mężny sir Lancelot.

A ona tkań przestaje pleść,  
Do okna kroków robi sześć;  
Widzi u brzegu lilie białe,  
Helm z pióropuszem, konia w cwale  
    Patrzy ku Camelot!  
Tkań z okna wnet szybuje w dół,  
Zwierciadło z trzaskiem pęka w pół,  
„Kłątwa, ach, kłątwa na mnie już!”  
    Wola pani z Shalott.

#### IV

Zły, wschodni wichur sztormy miecie,  
Wyblakły żółte barwy w lesie,  
Burzy się, huczy nurt szeroki  
Gdy deszczu z niskich chmur potoki  
    Zlewają Camelot.  
A ona ku przystani pędzi,  
Pod wierzbą łódkę na uwięzi  
Znajduje i na dziobie pisze  
    Te słowa: „Pani z Shalott”.

Przez bezmiar wód nieujarzmiony –  
Jak prorok w transie nawiedzony,  
Co z losu godzi się wyrokiem –  
Patrzy uparcie szklistym wzrokiem,  
    Patrzy ku Camelot.  
U schyłku dnia, gdy zmierzch zapada,  
Na dnie swej łodzi się uklada,  
Odczepia łańcuch... Już w dal mroczną  
    Prąd znosi panią z Shalott.

Biała ją szata przyodziewa,  
 Z burt obu wietrzyk faldy zwiewa,  
 I liście cicho nań padają,  
 I szepty nocy ją żegnają;  
     Płynie do Camelot.

Gdy lódź przebija się przez fale  
 Wśród pól, pagórków, byle dalej,  
 Pieśń się rozlega – już ostatnia –  
     Pani z wyspy Shalott.

Solenny, silny głos żalobny  
 Długo na rzece brzmiał – samotny –  
 Aż krew przestała w żyłach krążyć  
 I wzrok powoli jął się mącić,  
     Utkwiony w Camelot.  
 Unosi łódkę nurt spieniony;  
 Gdzie pierwsze Camelotu domy,  
 Z pieśnią na ustach tam skołała  
     Pani z wyspy Shalott.

Pod wieżą, wysokim kruzgankiem,  
 Pod murem, oknami, pod gankiem,  
 Samotna postać na głębinie  
 Śmiertelnie blada cicho płynie,  
     Przez miasto Camelot.  
 Wylegli wszyscy na nabrzeże,  
 Pospólstwo, damy i rycerze,  
 Napis na dziobie oglądają  
     I szepczą: „Pani z Shalott”...

Kim była? Skąd się tutaj wzięła?  
 W pałacu trwoga wszystkich zdjęła,  
 Ucichły śmiechy i rozmowy,  
 Krzyż kreślą, pochylają głowy  
     Rycerze w Camelot.  
 Lancelot naprzód się wysunął.  
 „Śliczne ma lica – rzekł z zadumą. –  
 Dobry Bóg przyjął do Swej chwały  
     Panią z wyspy Shalott”.

*Z angielskiego przełożyła Anna Bańkowska*

Przekład z czeskiego

Katarzyna Boruń-Jagodzińska  
**Anastaz Opasek OSB (1913-1999)**

**Pomnik Jana Palacha w Rzymie**

Jasne niebo i gorące dni  
mocny podnózek z kamienia  
taką modrość nieba wymalował Bóg  
do niego unoszą się twoje ręce  
końcami palców dotykasz błękitu

ty chcesz żyć w żarze swej miłości  
dlatego przeprowadziłeś się na południe  
rosną tu pinie i wznoszą się cyprysy  
kołyszą się palmy  
w tym gorącym powietrzu swego ciała  
potrzebujesz wokół siebie przestrzeni

Rzymianie dali ci ją w podarunku  
dlatego, że cię kochają  
i pięknotki i włóczący się żebracy  
to miejsce swobody dała włoska ziemia  
a rzeźbiarz swymi dłońmi  
głosi słowa o wolności która płonie  
bo ty jedyny jesteś umarłym żywym  
w tych dniach przytłaczającej żaloby  
i stale płoniesz  
albowiem życie w niewoli  
niczym więcej niż wegetacją

---

Autorem wiersza jest sławny „opat-chuligan”, arcyopat klasztoru benedyktynów na Brzewnowie w Pradze, więzień i emigrant za czasów komunizmu, duchowny, pisarz, działacz opozycji. Ze zbioru „Obrazy”, opublikowanego w emigracyjnym wydawnictwie Křesťanská akademie Řím w 1974 r.

Konrad Sutarski

## Poezja węgierska od II wojny światowej do dziś

*(fragmenty przygotowywanej antologii)*

Trzydzieści lat temu, w wydanej wtedy, w krakowskim „Wydawnictwie Literackim”, w moim wyborze (w 1985 roku), antologii współczesnej krajowej poezji węgierskiej, noszącej tytuł „Przepowiednia czasu twego”, napisałem w nocie-posłowiu:

„Dzisiejsza poezja węgierska znana jest w Polsce wycinkowo. Tymczasem stanowi jedno z najistotniejszych i najbardziej barwnych w swoim zróżnicowaniu zjawisk kulturowych Europy. Fenomen ten jest o tyle fascynujący, iż droga do nowoczesności wiodła lirykę naszych naddunajskich przyjaciół raczej z dala od drogowskazów stawianych na innych obszarach językowych przez nowatorskie nurty, „izmy” XX stulecia.... Okresy szerszego styku z uniwersalizmem Europy i reszty świata przypadają na rzadkie w węgierskiej historii czasy względnego spokoju politycznego i względnej stabilności społeczno-gospodarczej. Przykładów takich dostarczają zarówno trzy dziesiątki lat sprzed Wiosny Ludów, jak i dziesięciolecia z przelomu XIX oraz XX wieku. Świadcami najnowszego, twórczego otwarcia na osiągnięcia zrodzone poza barierą językowo-kulturową i stapiania ich z wartościami tradycyjnie węgierskimi jesteśmy obecnie, od sześćdziesiątych lat począwszy. Widocznym rezultatem powstającej oryginalnej syntezy jest rosnące zainteresowanie zagranicą węgierską liryką, jak również całą węgierską twórczością i działalnością kulturalną”.

Była to pierwsza powojenna prezentacja współczesnej liryki węgierskiej, obejmująca 144 wiersze 36 poetów, jako wspólna praca translatorska dziewięciu tłumaczy.

Wówczas nie było mi danym zaznaczenie, że obok poezji krajowej podobnie różnorodna i fascynująca jest węgierska poezja spoza granic: istniejąca na oddzielonych od państwa węgierskiego po I wojnie światowej, a potem ponownie po II wojnie światowej – na rzecz innych państw (głównie małej ententy) – większości terenów Niecki Karpackiej, przy czym bogata i pasjonująca jest także węgierska poezja emigracyjna, jako – wspólnie – wynik twórczości członków pięciomilionowej rzeszy Węgrów pozbawionych ojczyzny. Tę część posłowania wydawnictwo mi usunęło – bez mojej wiedzy i zgody, aby jak później łaskawie wyjaśniono, „nie drażnić (socjalistycznych) sąsiadów”.

Zbulwersowany tym stanowiskiem dokonałem wyboru i opisu (a przykładów razem z Bohdanem Zadurą) owej, źle widzianej w owych czasach, poezji, na próżno jednak zamierzało – w okolicach 1986/87 roku – zestaw

ten opublikować krakowskie „Pismo Literacko-Artystyczne” (także w postaci osobnej nadbitki), a potem w Warszawie, w 1998 roku, „Poezja” nawet oficjalnie zapowiedziała tę publikację. Cenzura i w jednym i w drugim przypadku stanęła na przeszkodzie.

Dopiero w 1991 roku mógł ukazać się ów niewielki wybór poezji (20 wierszy siedemnastu poetów) książkowo, pt. „Jak daleko, jak blisko/Míly távol, mily közel”, dwujęzycznie (w polskim przekładzie i węgierskim oryginale), nakładem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Węgierskiej w Krakowie, dając wstępne wyobrażenie o kolorycie tej poezji. Zawarłem tam, we wprowadzeniu, także pierwszą w Polsce informację o złożonym charakterze węgierskiej poezji, którą całościowo określa się jako powszechną, a na którą składa się, obok krajowej, także „pozagraniczna”: a więc autochtoniczna (czyli też rodzima) – powstająca na pozostałych obszarach Niecki Karpackiej – oraz emigracyjna. Pozagraniczne obszary autochtoniczne, które w okresie międzywojennym dzieliły się na trzy części: czechosłowacką (Górne Węgry), rumuńską (Siedmiogród i Partium) oraz jugosłowiańską (Wojwodina, po węgiersku Délvidék), po II wojnie światowej powiększyły się o czwartą: Zakarpacie (w nomenklaturze węgierskiej Podkarpacie, jako że znajduje się w obrębie Niecki Karpackiej), ponieważ zwycięski Związek Radziecki przyłączył do swojego państwa bezpośrednio wschodnią część ziem, które po I wojnie stały się częścią Czechosłowacji. Po rozkładzie ZSRR i rozpadzie Czechosłowacji oraz Jugosławii znajdująca się tam rodzima ludność węgierska żyje obecnie na Słowacji, na ukraińskim Za-(Pod-)karpaciu, w należącym nadal do Rumunii Siedmiogrodzie (w skład którego wliczane jest teraz i Partium), a z państw pojugosłowiańskich najwięcej jest ich w północnej Serbii (Wojwodinie).

Zbiorek poezji „Jak daleko, jak blisko” poszerzyłem piętnaście lat później (znów dwujęzycznie) do 28 poetów i 60 wierszy, przy czym uzupełniających przekładów dokonałem ponownie wspólnie z Bohdanem Zadurą oraz dodatkowo i ze Szczepanem Woronowiczem. Tom ten opublikowany został w 2007 roku przez budapeszteńskie wydawnictwo „Magyar Napló”, otrzymując skrócony tytuł „Jak blisko / Míly közel”. Ze względu na miejsce wydania książki, ilość egzemplarzy, które dotarły do Polski, była niewielka.

Trzy lata później (w 2010 roku) ukazała się w warszawskim wydawnictwie „Studio Emka” autorska antologia współczesnej poezji węgierskiej Jerzego Snopka, nosząca tytuł „Dojść do słonecznej strefy”. Składa się na nią ponad 150 wierszy dwudziestu ośmiu poetów, urodzonych – jak podaje wewnętrzna część okładki – w latach 1940-1977, a więc reprezentujących pokolenie średnie. Tom ten jest niejako kontynuacją – po dwudziestu pięciu latach „Przepowiedni czasu twego”, przy czym znalazło się w nim miejsce także dla kilku poetów z nienależących już do Węgier terenów Niecki Karpackiej (pozagranicznych).

Najnowsza antologia współczesnej węgierskiej poezji ukazała się niedawno, w 2013 roku. Wydana przez lubelski „Akcent”, współpracujący od lat z pisarzami oraz pisarzami Węgier. Tomik nosi tytuł „Jeszcze bliżej”, a podtytuł: „antologia nowej liryki węgierskiej”. Opracowana została przez Bogusława Wróblewskiego i zawiera ponad 50 wierszy dwanaściorga poetów jeszcze młodszego pokolenia, a więc trzydziesto- i zaledwie czterdziestolatków, urodzonych nie wcześniej jak w 1971 roku.

Przegląd ten wskazywałby na pierwszy rzut oka, że polski miłośnik literatury powinien – na podstawie dotychczas opublikowanych tomów – mieć dość dobre pojęcie o stanie dzisiejszej węgierskiej poezji, tym bardziej, iż każda antologia zaopatrzona została wstępem i dalszymi informacjami. Poza tym ukazały się i inne tomy, które pozornie również mogą taki stan sugerować. Wszak w 1975 warszawski PIW wydał „Antologię poezji węgierskiej” – od zarania do do czasów nam współczesnych, w wyborze i układzie Istvána Csaplárosa, Gráicii Kerényi i Andrzeja Sieroszewskiego oraz poetyckiej redakcji Mieczysława Jastruna, w której znalazło się również kilku ówczesnych młodych (najmłodszy z nich urodzony w 1930 roku). W 1983 roku, w redakcji Szczepana Woronowicza i Bohdana Zadury ten sam PIW opublikował antologiczny zestaw współczesnej poezji węgierskiej „13 poetów”, których większość urodziła się w czasach do końca I wojny światowej i działała w okresie międzywojennym, a rok urodzenia najmłodszego z tych poetów to 1930. I istnieje jeszcze jedna pozycja książkowa: „Węgierskie lato”, opublikowane we Wrocławiu w 2010 roku, będąca autorską antologią Bohdana Zadury, zawierającą, podobnie jak „13 poetów” taką samą liczbę liryków, tyle że urodzonych w jeszcze większej rozpiętości czasowej, bo od 1878 do 1949, z których tylko siedmiu debiutowało po ostatniej wojnie. Poza tym w 2000 roku Stołeczny Samorząd Mniejszości Polskiej w Budapeszcie wydał tam – w języku polskim – moją autorską powszechną antologię poezji węgierskiej – od romantyzmu począwszy, a na ówczesnej młodej skończywszy, zawierającej obok poetów krajowych i tych spoza granic, razem sześćdziesięciu sześciu autorów reprezentowanych przez ponad 150 wierszy. Niestety, niewiele egzemplarzy tego tomu dotarło do Polski.

Przeprowadzając niniejsze analityczne rozważania, utwierdzam się w przekonaniu, że 70 lat po zakończeniu II wojny światowej potrzebne jest nowe, całościowe spojrzenie na węgierską poezję tego okresu, ponieważ wymienione powyżej tomy spójne są ze sobą jedynie w niewielkim stopniu. Po pierwsze – z biegiem dziesięcioleci wzbogacała się twórczość poetów dziś już starszych, bądź nawet zmarłych, a prezentowanych po polsku za ich młodości. Po drugie – potrzebne jest krytyczne spojrzenie na wybory dokonywane do roku 1990, a więc w czasach panowania ciężącej nam ideologii komunistycznej, tym bardziej że nurty węgierskiej poezji krajowej i spoza granic zaczęły się zbie-



gać i łączyć właściwie dopiero po odzyskaniu przez nasze kraje pełni niepodległości. W rezultacie syntetyczny całokształt poetyckiej twórczości naszych węgierskich przyjaciół jest obecnie odmienny od przedstawianych dotychczas. Odzwierciedlenie tej pełni w polskim układzie antologicznym dopiero musi (powinno) nastąpić, a warto nadmienić, iż brak jej także na węgierskim obszarze językowym, w jej rodzimym języku.

Dla przykładu, czym jest ta poezja, przytaczam kilka wierszy, w tym w przekładach Jerzego Snopka i Tadeusza Nowaka, by dały o niej pewne pojęcie. Powinny one – wraz z wieloma innymi, równie ciekawymi i ważnymi tekstami poetyckimi – znaleźć się we współczesnej nam powszechnej antologii węgierskiej liryki, jeśli antologia taka zostanie w Polsce stworzona.

*Konrad Sutarski*

**Vilmos Kovács** (1927-1977, Czechosłowacja, potem ZSRR, obecnie Ukraina/Za/Pod/karpacie)

### Verecke

To ojczyzna... Ta kraina,  
która w góry się tu wcina.  
I ta droga... co w zapłatę  
ludy wiodła na zatrąę.  
I mnie ona tu przywiodła,  
tysiąc lat jak zsiadłem z siodła  
krwiąznaczony prawnik Hunów...

Jednak klątwy szczęlych ludów  
nadal duszą, niby zmora.  
Co więc dadzą moje spory?  
Świerki szumią, wiatr je pieści:  
obca strzała w mojej piersi,  
nad urwiskiem: rwące rany,  
kurz na drodze: tętent koni,  
wojska przeszły, ja-m zaś grobem...

Nad mym ciałem świerki nowe,  
tam gdzie oko, światło błyszczycy,  
gdzie zaś usta, wicher świszczycy.  
Pochowajcie mnie pod skałą,  
obok siodło choć zbutwiałe,

a przy nogach końskie kości –  
tak jak niegdyś, w pradawności,  
wszak ta droga co w zapłatę  
ludy wiodła na zatrąte,  
kogoś znów tu przyprowadzi,  
by go skazać, by go zgładzić.

*Przełożył Konrad Sutarski*

**Elemér Horváth** (ur. 1933, Węgry, od 1956 na emigracji, USA)

### Zwężka klepsydry

Jedynie ja miałem uszy nie zatkanie woskiem  
kiedy się to liczyło a więc kiedy moje więzy Posejdon  
zapory minowe usunięto  
płynęło się stylem dowolnym i pieśń oszalała coraz bardziej  
kto zwraca wtedy uwagę na jawory quo vadis domine  
i na dziewczynę I TY? syrenie gardła coraz bliżej  
zbliżająca się rozkosz w śródziemnych białych koronkach  
abym kości mógł nazwać po imieniu  
powódź Uccella błękitny klasztor Vasarięgo  
this is going to be seminal for my poems  
i z każdym uderzeniem ramion o wodę coraz pewniejsze że tu już  
[spokój] czeka

los jest drugą twarzą mego charakteru  
zapiszę to na pinii blaszkowatej  
i pojawię się w warunkach stałą krytych  
1978 habemus poetam to już nawet nie wymaga zaliczki  
ta wyspa to płonące miasto kochająca syrena  
pulsująca zwężka klepsydry na zwałach piszczele  
młodości i naszych pokonanych szeregów  
o brzmiałś przebrzmiała muzyko czy śnić może tylko

wkrótce uwolnią mnie ci z woskiem w uszach i popłyniemy dalej  
ojczyzna to tylko kwestia czasu wiem  
podwórzec zamieciony już wyszorowano kamienie  
nastąpi milczące rozliczenie się naostrzonymi nożami  
tam zostaną i będę panować póki czas się przesypuje [lecz według

lecz według znanego mi mędrca  
i najnowszej mapy nastąpi to już za słupami Heraklesa

*Przełożył Konrad Sutarski*

**Árpád Tózsér** (ur. 1935, Czechosłowacja, obecnie Słowacja)

### Szczęście

lilie wodne  
zapuszczają korzonki w ryby  
co rano  
rozpachniają się  
snami karpi  
na brzegu nigdy jeszcze nie były  
staw morzem nazywają  
i są zadowolone  
lecz najszczęśliwsze są przed zachodem słońca  
malutkie cienie wtedy  
i im się wykluwają

*Przełożył Konrad Sutarski*

**Mezei Katalin** (ur. 1943, Węgry)

### Przepis

Siedzmy przed ekranem  
do chwili śmierci  
i podziwiamy najnowszą modę.  
Jeśli szczęście będzie nam sprzyjać,  
huragan wylamie  
nie nasze drzwi,  
zaś inteligentna rakietą  
skręci nie ku narożnikowi  
naszego domu,  
a zapuka  
do któregoś z sąsiadów.  
Do chwili śmierci  
będzie zatem czas,  
abyśmy to zobaczyli.

*Przełożył Konrad Sutarski*

János Sziveri (1954-1990, Jugosławia, obecnie Serbia)

### Przestroga dla ocalałych

Spalą nas kiedyś jak się im znudzimy  
 W popiół nas zmieniają jak tanie cygara  
 Przestrzegam cię więc póki tu siedzimy  
 Nie dbaj tak o siebie radzę ci mój stary

Mówię tak jak gdybym był gdzieś bliżej żłobu  
 Wiedz jednak że ogień najpierw mnie spopieli  
 Zanutuj me słowa zatem tu znad grobu  
 Choć życia oszczędziłem diabli wszystko wzięli

Czy kto kiedy zgłębi tajemnicę ciała  
 Czemuż właśnie moje tak przedwcześnie ginie  
 Zamieniłbym je ale go nie chciano  
 Ani w Budapeszcie ni w mojej krainie

Spalą nas kiedyś bo się im znudzimy  
 W popiół nas zmieniają jak tanie cygara  
 Kto zaś ocaleje to jak zobaczymy  
 Wcale nie dlatego że się głupiec starał.

*Przełożył Konrad SutarSKI*

András Petőcz (ur. 1959, Węgry)

### Przyrosty i malenia (I)

Piszę właśnie 14 linijek.  
 Piszę właśnie 14 linijek piszę.  
 Piszę właśnie 14 linijek piszę sobie.  
 Piszę właśnie 14 linijek piszę sobie właśnie.

Spoglądam wstecz.  
 Spoglądam wstecz i poważnieję.  
 Spoglądam wstecz i poważnieję i weseleję.  
 Spoglądam wstecz i poważnieję i weseleję i patrzę w przód.

kontynuacja zdania mi niepotrzebna:  
 kontynuacja zdania mi:  
 kontynuacja zdania:

[W następstwie

W następstwie użytkowania słowa mogą tracić swoje znaczenia.  
W następstwie użytkowania słowa mogą odrzucać swoje przeznaczenia.  
W następstwie zmian pożytku słowa mogą gubić swoje oznakowania.

*Przełożył Konrad Sutarski*

**János Lackfi** (ur. 1971, Węgry)

### **Miasto sobowtórów**

W mieście sobowtórów  
nikt nie jest taki sam.  
Gdy zwracasz się do znajomych,  
śmieją się dziwnie, wzruszają ramionami.  
Łatwo weźmiesz za pomocnika sklepowego  
menela stojącego w bramie,  
publiczność – za aktorów.  
Nie dasz głowy, czy ktoś, kto akurat zamiata biura,  
to nie dyrektor,  
czasem sanitariusza kładą pośpiesznie na nosze,  
strażak jest podpalaczem,  
policjanci buńczucznie czepiają się wszystkich,  
szklarz wybija kamieniami szyby, elektrycy kradną kabel.  
Kiedy idziesz na pogrzeb, nie możesz być pewien,  
czy nie składasz kondolencji zmarłemu.  
W mieście sobowtórów strzeż się mocno,  
bo możesz łatwo w coś się wkręcić,  
na ulicy mogą cię wziąć za złodzieja,  
kieszonkowca, może ojcobójcę  
ujrzy w tobie ktoś idący z naprzeciwka.  
Może się nawet zdarzyć, choć to jest znacznie rzadsze,  
że ze łzami w oczach uściśnie ci  
dłoń protegowany, którego nigdy nie protegowałeś.  
To niebezpieczne miejsce, idź tam tylko wtedy,  
kiedy już sam nie bardzo wiesz, kim jesteś.

*Przełożył Jerzy Snopek*

Sándor Csoóri (ur. 1930, Węgry)

### Obcy, przyjaciel

Polska: Chrystus na krzyżu strzaskany przez grom,  
koło twoich czerniejących ran  
krąży lipcowe słońce  
i roje much cerują znowu twoje kości.  
Porażony twym widokiem,  
jakbym leżał w gnojnjej komórcie z toporem wbitym w ciemię  
i w gęstym zwierciadle żuru  
próbował dojrzeć goździk.  
Mógłbym być dla ciebie młodziutkim Rakoczym,  
studentem wspartym plecami o kościół,  
żołnierzem tulaczem w miodnym zapachu lip,  
który dopiero teraz powraca z wiecznej wojny,  
a jego najbliżsi leżą nadzy w ziemi;  
nad nim jaskółki, pod nim czerwie  
i z miast spalonych aż do nieba kapelusz dymu –  
więc kim jestem dla ciebie mgielny kraju wielkiej wiary?  
Obcy, przyjaciel, zgrzebny Madziar  
łażący po twych miastach w herbach,  
w samo południe o smaku jagód,  
szukający w twojej żalobie  
kochanki dla siebie pośród twoich dziewczyn,  
bo chce wszystkiego dotknąć,  
bo chce przytulić,  
bo pragnie z tobą szaleć w muzyce świetlnych liści,  
nozdrzami wdychać z warzywnych sklepów  
smrodliwy zapach ćwikły  
i znosić wszystko aż do bólu  
i stać w kolejce po najdzikszą z nadziei.

*Lipiec 1981*

*Przełożył Tadeusz Nowak*

## Z przekładów Grzegorza Walczaka

Miloš Crnjanski (1893-1977)

### Sumatra

Swobodni, beztroscy jesteście teraz.  
Pomyślmy – jakże są ciche w śniegach  
szczyty Uralu.  
Czy zasmuci nas czyjeś blade oblicze,  
które znikło w wieczór mglisty.  
Wiemy, zamiast niego gdzieś potok o świcie  
poniesie rubinowe błyski!  
Ta sama miłość, ranek, na obczyźnie,  
że aż coś w sercu ściska, dławi  
wiecznym spokojem mórz niebieskich,  
co się czerwieni od koralu,  
jak kiedyś moja ręka od czereśni.  
Obudzimy się w nocy i się uśmiechniemy  
do Księżycy, co już w łuk wygięty  
i głoszczemy dalekie szczyty  
i góry lodowe bierzemy do ręki.

*Z cyklu „Przymiśnienia” („Prividjenja”)*

Desanka Maksimović (1898-1993)

### Niebo rodzinnych stron

Nigdzie nie ma piękniejszego nieba niż w mym kraju.  
Słońce się budzi nad lasem i w twarzy wieśniaka;  
gwiazdy się rodzą, ale jeszcze trwają  
poblyski słońca na bukach, które wiatr zamiata.  
Księżyc, nasz kapłan, co zawisł nad światem,  
całą noc czuwa w swej zlocistej komży,  
i swą mszę odprawia ponad każdym dachem,  
nad każdą polaną i łąką zakraży.  
I nigdzie nie ma tak złowieszczej burzy,  
co w ciemnościach nagłych kłębi się i wije

i chmur czarniejszych i bardziej ponurych  
 i błyskawic, które tną niebo jak żmije.  
 A ikona błyszczy.  
 I jak rumiane oczy,  
 wino, które biała ręka wznosi,  
 prowokują mnie białych piersi szczyty,  
 a między nimi rany  
 Twojej Bogurodzicy.  
 Jedyna ukochana, przed którą klęczę,  
 by na niej nie mogły moje  
 pożądlive oczy smętne  
 zostawić śladu.  
 I znikąd tyle pociechy nie spływa  
 jak z nieba, pod którym dziad się mój urodził  
 i pradziadowie wszyscy, matka moja i ja,  
 i skąd dusza ojca mego ogląda mnie co dzień.

*Z tomu: „Dubovni zavičaj” („Nebo u zavičaju”)*

## Radomir Andrić

### Bicz i bęben

Na dnie nieba bije bęben  
 bez dna studnia  
 ginie dźwięk w niej  
 Głębia studni się otwiera  
 rozognionym  
 biczem śpiewa  
 ciszę przezwycięża  
 granie  
 Różga w hafcie  
 nie ustaje  
 Przed wszystkimi  
 ofiarami  
 studnia chciałaby  
 przywabić  
 do ciemności swej  
 studniarza  
 by odbicie

[jego twarzy



jego twarzy  
gdy pochyła się  
tak nisko  
dać najmłodszym  
topielczykom.

### Dragan Mraović

#### Śpiewacy niemi

Okowy słów daremnie nasz głos cisną.  
Gęste kraty myśli nie wstrzymają.  
Zakopane w ziemię czarną, czystą,  
z czasem pieśnią wolną rozkwitają.  
Sen podobny do kwiatu lotosu.  
Postanawiam: będę sikał z wiatrem.  
Inny zamiast mnie niech śni bez głosu.  
Ja na przemiał oddam ciało własne.  
Mózg wykopię zamiast futbolówki,  
porwę sieci w sercu zaciągnięte  
i uwierzę – chyba jestem głupi –  
że idioci zamilkną nareszcie.

### Radomir Miciunović

#### Święty okruh

Wszystko jest w ziarnie żyta,  
w koszulce tego ziarna,  
i słońce, kiedy świta,  
i ziemia czarna.  
I wszystko jest w ludzkiej męce,  
i nienasytne usta,  
i skrzyżowane ręce,  
i radość, gdy ją widzisz,  
a gdy jej nie ma – pustka.  
Święty jest okruh chleba  
I krzyż, i skrawek nieba.

**Duško M. Petrović****Wstyd**

Rozdziawiła się ziemia  
pożera dom, podwórza  
Jak Serbia szeroka  
urwiska i wielka próżnia  
Rozwarła się ziemia  
gdy Serb na Serba  
wstydliwie zerka  
Otwórz się przede mną  
Wstyd mój zakryj, ziemi

**Milovan Vitezović****Poetyckie uchwycenia**

Magnetyczna igła  
południa, północy  
gdzie nas zaprowadzi  
– do dnia czy do nocy?  
Mnożą nas i dzieła.  
Kto nas dziś policzy?  
Siedliśmy za stołem  
skryci buntownicy.  
Zło, co nam gotują,  
czeka, by nas dopaść.  
Wszystko to spisala  
poetycka strofa.  
Kiedyś, gdzieś, daremnie,  
szepty najtajniejsze.  
Pojmiesz je, poeto,  
zapisz nowym wierszem.

---

Przekłady pochodzą z tomu: Grzegorz Walczak (wybór i tłumaczenie), *Nigdzie nie ma piękniejszego nieba*, Antologia współczesnej poezji serbskiej, Wydawnictwo Książkowe IBiS, Warszawa 2016.

## Z przekładów Ryszardy Grzybowskiej

Howard Phillips Lovecraft

## Kolor z przestworzy

*(fragment)*

Na zachód od Arkham wznoszą się dzikie wzgórza, a doliny porastają głębokie lasy, których jeszcze nigdy nie tknęła siekiera. Są tam też mroczne, ciasne wąwozy, a w nich fantastycznie pochylone drzewa i sączące się wąskie strumyki, gdzie nigdy nie dociera słońce. Na łagodnie opadających zboczach przycupnęły farmy – stare, kamienne, omszałe chaty – i pod osłoną ogromnych występów skalnych dumają wieczyście nad prastarymi tajemnicami Nowej Anglii wszystkie są teraz opustoszałe, szerokie kominy się kruszą, a wyłożone gontem ściany groźnie wypaczały się pod niskimi dwuspadowymi dachami.

Dawni mieszkańcy wynieśli się stąd, a nowy przybysze z innych stron nie mają ochoty się tutaj osiedlić. Próbowali już Kanadyjczycy francuskiego pochodzenia, próbowali Włosi, pojawili się też Polacy, ale odeszli. Dzieje się tak nie z powodu czegoś, co tu widać, słyszać czy też czego można dotknąć, ale z powodu czegoś, co mieści się tylko w sferze wyobraźni. Miejsce to właściwie nie pobudza wyobraźni, ale też nie zapewnia nocą spokojnych snów. Chyba to właśnie zraża przybyszów z obcych stron, bo stary Ammi Pierce nigdy jeszcze słowem nie wspomniał im o tym, co pamięta z tych dziwnych dni. Tylko Ammi, od lat już niezbyt sprawny umysłowo, wciąż tutaj mieszka i tylko on jeden mówi czasem o tamtych dziwnych dniach, a ma odwagę mówić, bo jego dom stoi w pobliżu otwartych pól i uczęszczanych dróg wokół Arkham.

Niegdyś droga wiodła przez wzgórza i doliny, tam gdzie teraz rozciąga się przekłete wrzosowisko, jednakże ludzie przestali z niej korzystać i zbudowano nową, skracającą daleko na południe. Nawet teraz można znaleźć ślady starej drogi pośród porastającego tu na nowo gąszczu, a część z nich trwać jeszcze będzie wtedy, gdy połowę dolin pokryje zbiornik wodny. Wtedy zostaną wycięte mroczne lasy, a przekłete wrzosowisko będzie drzeć głęboko pod błękitną, rozmigotaną taflą wody, w której przeglądać się będzie niebo. Tajemnice owych dziwnych dni zjednoczą się z tajemnicami głębi wodnych i z tajemną wiedzą starego oceanu oraz wszystkimi sekretami pierwotnego świata.

Kiedy wybierałem się pomiędzy te wzgórza i doliny, żeby zbadać teraz przeznaczony na nowy zbiornik wodny, powiedziano mi, że jest to wrogie miejsce. Powiedziano mi to w Arkham, a ponieważ jest to bardzo stare miasto,

w którym krążą rozliczne legendy o czarownicach, uznałem, że owa złowrogość wiąże się z tym, co w ciągu stuleci opowiadały dzieciom babki. Określenie „przeklęte wrzosowisko” wydało mi się bardzo dziwne i teatralne. Zastanawiałem się, w jaki sposób znalazło się w purytańskim folklorze. A potem zobaczyłem to mroczne, biegnące na zachód kłębowisko wąwozów i urwisk skalnych i przestałem się nad tym zastanawiać, pochłonięty jedynie jego starą tajemnicą. Był ranek, kiedy je ujrzałem, ale mrok zalegał tam zawsze. Drzewa rosły gęsto, a ich pnie były tak ogromne, że nie sposób by spotkać im podobne w zdrowych lasach Nowej Anglii. W mrocznych prześwitach między drzewami panowała zbyt wielka cisza, a podłoże było zbyt grząskie od wilgotnego mchu i nawarstwiającego się w przeciągu niezliczonych lat rozkładu.

Na otwartych przestrzeniach, głównie wzdłuż starej drogi, widniały drobne farmy na zboczach wzgórz; były to albo skupiska kilku budynków, albo tylko jeden czy dwa, a bywało, że sterczał zaledwie samotny komin czy przysypana ziemią piwnica. Królowały tu chwasty i krzaki róży polnej, a w zaroślach rozlegał się szelest jakichś tajemniczych stworów. Wszystko dokoła spowijały opary niepokoju i smutku; wszystko wydawało się nierealne i groteskowe, tak jakby jakieś istotne ogniwo perspektywy czy światłocieni zostało skierowane na opak. Nie dziwiłem się, że przybysze z obcych stron nie chcieli się tu zatrzymywać. Bo sen tutaj był prawie wykluczony. Aż nadto przypominało to scenę Salvatora Rosi, groźny drzeworyt z opowieści niesamowitej.

A jednak to wszystko nie było jeszcze tak przerażające jak przeklęte wrzosowisko. Przekonałem się o tym w tym momencie, kiedy znalazłem się w głębi rozległej doliny; żadne inne określenie nie pasowałoby do tego miejsca, tak jak żadne inne miejsce nie pasowałoby do tego określenia. Mogło się wydawać, że poeta stworzył ową frazę ujrawszy ten właśnie region. Rozejrzawszy się dokoła pomyślałem, że wszystko chyba tutaj strawił ogień; ale dlaczego nic nowego nie wyrosło na owych pięciu akrach szarego pustkowiecia rozciągającego się pod gołym niebem, które pośród tych lasów i pól wyglądało jak spalone jakimś kwasem? Siegało ono daleko na północ wzdłuż dawnej drogi, ale wdzierało się też i na drugą jej stronę. Ogarnęła mnie dziwna niechęć na samą myśl, że mam tam pójść, ale przecież musiałem, bo tego wymagała moja misja. Na całej tej rozległej przestrzeni nie było żadnej roślinności, jedynie mialki szary pył czy popiół, którego chyba jeszcze nigdy nie tknął wiatr. Pobliskie



drzewa były schorzone i karłowate, a wiele uschłych pni sterczało w górę albo leżało mursząc na brzegu tego pustkowiecia. Kiedy przechodziłem obok nich w pośpiechu, zauważyłem po prawej stronie rumowisko cegieł i kamieni, pozostałość po starym kominie i piwnicy, a także ziejącą czernią otchłań porzucanej studni, z której unosiły się stęchłe opary, tworząc w promieniach słońca najdziwniejsze kształty. Nawet długie, mroczne lesiste urwisko wznoszące się za tym pustkowieciem wydawało się przez kontrast bardzo przyjemne; przestały mnie już teraz zdumiewać bojaźliwe szepty mieszkańców Arkham. W pobliżu nie było żadnego domostwa ani nawet ruin; i dawnymi czasy to miejsce chyba też musiało być bezлюдne i odosobnione. O zmierzchu, drząc przed powtórny przemierzaniem tego złowieszczonego miejsca, wróciłem do miasta już określną drogą, skręcającą na południe. Marzyłem skrycie, aby na niebie pojawiły się chmury, gdyż dziwny lęk wdarł się do mej duszy z powodu rozciągającej się nade mną głębokiej próżni nieba.

Wieczorem pytałem różnych starych ludzi w Arkham o przeklęte wrzowisko, a także, co znaczy określenie „dziwne dni”, które tak wielu spośród nich niejasno wymieniało. Nie otrzymałem jednak jasnej odpowiedzi poza tym, że tajemnica wcale nie jest tak dawna, jak sobie wyobrażałem. Nie wiązało się to z jakąś starą legendą, ale z czymś, co miało miejsce jeszcze za życia tych, z którymi rozmawiałem. Zdarzyło się to w latach osiemdziesiątych, kiedy to pewna rodzina zniknęła czy też została zamordowana. Ludzie, z którymi rozmawiałem, nie byli co do tego zgodni, a ponieważ wszyscy mi doradzali, abym nie zwracał uwagi na szalone opowieści starego Ammiego Pierce’a, odnalazłem go nazajutrz rano, dowiedziawszy się, że mieszka samotnie w wiekowej, rozpadającej się chacie, na skraju leśnej gestwiny. Była to bardzo stara chata, z której zaczynała się już dobywać woń rozkładu, tak charakterystyczna dla zaniedbanych domów. Tylko natarczywym pukaniem mogłem wyciągnąć z łóżka tego starca, a kiedy doczłapał się zalekniiony do drzwi, najwyraźniej nie był ucieszony moją wizytą. Nie był tak słaby, jak myślałem, ale oczy dziwnie mu się zapadły, a niedbały ubiór i biała broda nadawały mu wygląd człowieka steranego życiem i posępnego.

Nie wiedziałem, w jaki sposób najlepiej byłoby go nakłonić rozmowy, stworzyłem więc pozory interesu; zwierzyłem mu się z mojej inspekcji terenu i zadałem mu kilka mało znaczących pytań odnośnie okolicy. Miał żywszy umysł i był o wiele bardziej inteligentny, niż przypuszczałem, a nim się spostrzegłem, pojął równie dużo, jak każdy człowiek, z którym zdarzyło mi się rozmawiać w Arkham. Był całkiem inny niż ci wszyscy wieśniacy, jakich poznałem na wydzielonych obszarach, przeznaczonych pod zbiornik wodny. Nie protestował z powodu zniszczenia wielu mil starych lasów i farm, choć zapewne protestowałby, gdyby jego dom znajdował się na terenie przyszłego jeziora. Znać po nim tylko było, że doznał ulgi; ulgi z powodu lasu, jaki miał

spotkać prastare mroczne doliny, po których wędrował przez całe życie. Wolał, żeby zalała je woda – żeby było zalała je zaraz po tych dziwnych dniach. Jego ochryply głos przycichł, pochylił się cały do przodu, a palcem prawej ręki z drżeniem zaczął wskazywać kierunek, co robiło na jego rozmówcy wstrząsające wrażenie.

Wtedy właśnie usłyszałem tę opowieść, a kiedy snul ją ochryplym, to znów ściszoną do szeptu głosem, coraz to wstrząsał mną dreszcz, choć był to dzień w pełni lata. Często musiałem go przywoływać z tej chaotycznej plątaniny, dobierać naukowe zwroty, które zachował jeszcze w osłabionej już, papuziej pamięci z zasłyszanej rozmowy profesorów, wypełniać luki, w których przerywała się ciągłość i zatracal się sens logiczny. Kiedy skończył, przestałem się dziwić, że jego umysł uległ zachwianiu albo że ludzie z Arkham nie chcą wiele mówić o przeklętym wrzosowisku. Jeszcze przed zachodem słońca pośpieszyłem do hotelu, żeby nie widzieć rozblyskujących nade mną gwiazd na pustym niebie. Następnego dnia wróciłem do Bostonu, aby złożyć rezygnację z mojej posady. Nie mogłem już powrócić do tego mrocznego chaosu starego lasu i wzgórz ani spojrzeć raz jeszcze na spopielale przekłete wrzosowisko, gdzie czarna studnia obok rumowiska cegieł i kamieni zieje otchłanią. Wkrótce powstanie tam zbiornik wodny i wszystkie stare tajemnice zostaną ukryte na zawsze w jego głębinie. Ale nie sądzę, abym kiedykolwiek jeszcze miał ochotę odwiedzić to miejsce nocą, a już na pewno nie wtedy, gdy niebo będzie usiane złowieszczymi gwiazdami, i za nic w świecie nie napiłbym się wody w Arkham.

Wszystko zaczęło się, jak powiedział stary Ammi, od meteorytu. Dawniej, od czasu jak sądzono czarownice, nie opowiadano tu żadnych niesamowitych legend, ale nawet wtedy owe lasy nie budziły takiego lęku, jak maleńka wysepka w Miskatonic, gdzie diabeł miał swój dwór koło dziwnego kamiennego ołtarza pamiętającego dni jeszcze sprzed czasów Indian. Nie było tu lasów, w których straszło, a ich fantastyczny mrok nie przerażał nikogo, aż do owych dziwnych dni, kiedy to w południe pojawiła się na niebie biała chmura, rozległa się seria grzmotów, a z doliny, w głębi lasu, uniósł się kłęb dymu. Jeszcze przed nastaniem nocy całe Arkham usłyszało o wielkiej skale, która spadła z nieba i wbiła się w ziemię przy studni Nahuma Gardnera. Dom jego położony był w miejscu, które miało się stać przeklętym wrzosowiskiem – schludny, biały dom Nahuma Gardnera wśród urodzajnych ogrodów i sadów.

Nahum wybrał się do miasta, by opowiedzieć ludziom o tym kamieniu, a po drodze wstąpił też do Ammiego Pierce'a. Ammi miał wtedy czterdzieści lat i wszystkie te niezwykle zdarzenia mocno mu się wyryły w pamięci. Następnego dnia rano udał się z żoną i trzema profesorami z Uniwersytetu w Miskatonic, aby obejrzeć tego „nieziemskiego przybysza” z nieznanymi gwiazdnych przestworzy, i wszyscy się zdziwili, dlaczego Nahum mówił wczoro-

raj, że jest tak ogromny. Skurczył się, wyjaśnił Nahum, wskazując na wielki brązowy kopiec sterzący nad rozwaloną ziemią i spaloną trawą, tuż przy starej studni z żurawiem na frontowym podwórku Nahuma; mądrzy profesorowie orzekli jednak, że kamienie się nie kurczą. Bez przerwy wydobywał się z niego żar, a Nahum dodał, że w nocy bil z niego blask. Profesorowie stuknęli w kamień geologicznym młotkiem i okazało się, że jest zdumiewająco miękki, tak jakby był z plastyku. Wydrążyli raczej niż odlupali kawałek tego okazu, aby zabrać do college'u dla celów badawczych. Włożyli go do starego wiadra pożyczonego od Nahuma, bo nawet ten mały kawaleczek wciąż był gorący. W powrotnej drodze zatrzymali się na krótki odpoczynek u Ammiego i byli niepomniernie zdziwieni, gdy pani Pierce doniosła im, że odłamek kamienia coraz bardziej się zmniejsza i wypala dno wiaderka. Rzeczywiście nie był duży, ale uznali, że musieli wziąć mniejszy, niż im się wydawało.

Następnego dnia – a działo się to w czerwcu roku 1882 – profesorowie wybrali się ponownie do Nahuma wielce zafascynowani. Po drodze znowu wstąpili do Ammiego i opowiedzieli mu o dziwnym zachowaniu tego okazu i o tym, że zniknął bez śladu, gdy włożyli go do szklanej probówki. Probówka też zresztą zniknęła i uczeni napomknęli coś o dziwnym pokrewieństwie tego kamienia z krzemem. Zachowywał się wprost niewiarygodnie w ich dobrze wyposażonym laboratorium; podgrzewany węglem drzewnym nie wykazywał żadnej reakcji ani nie wydzieliał gazów, dawał reakcję ujemną z boraksem, nie ulatniał się w żadnej możliwej do osiągnięcia temperaturze, nawet w tlenowodorowej dmuchawce. Na kowadłku okazał się wysoce elastyczny, a w ciemności wyraźnie świecił. Nie było sposobu, aby go ochłodzić, co wprowadziło cały college w stan wielkiego zdumienia; natomiast przy podgrzewaniu pod spektroskopem roztaczał błyszczące kręgi o barwach zupełnie niespotykanych w normalnym spektrum. Wywołało to zapierające dech dyskusje o nowych elementach, dziwacznych optycznych właściwościach i wielu innych cechach, o których zaskoczeni ludzie nauki mają zwyczaj rozprawiać, kiedy się zetkną z nieznanym.

*Przekład z języka angielskiego Ryszarda Grzybomska*

\*

### O Autorze i Tłumacze

**Howard Phillips Lovecraft** (ur. 20 sierpnia 1890 w Providence, zm. 15 marca 1937 tamże) – pisarz amerykański, autor fantastyki i opowieści grozy (*weird fiction*), składających się na tzw. mitologię Cthulhu. Jest jednym z prekursorów fantastyki naukowej, opowiadania utrzymane w tej konwencji wprowadzają znaczną część

istot znanych z jego mitologii (zwanej potocznie „mitologią Lovecrafta” lub „mitologią Cthulhu”).

(...) *Pierwszą książką Lovecrafta, jaką przeczytałem, była jednocześnie pierwszym polskim wydaniem (nie licząc opowiadań w Przekroju i jakichś klubówek) jego prozy. Zew Cthulhu (Czytelnik 1983) to bardzo dobry zbiór. Siedem zawartych w nim opowiadań reprezentuje główny nurt twórczości Lovecrafta (...) – pisze krytyk ukrywający się pod blogerskim pseudonimem „Ziuta się dziwi”.*

*Pierwszą poważną tłumaczką Lovecrafta w Polsce była Ryszarda Grzybowska – jej przekłady wznawia się do dziś (...) Jest tłumaczką wszechstronną, o czym świadczy fakt, że prócz Lovecrafta tłumaczyła książki m.in. Williama Goldinga, a nawet... Lucy Maud Montgomery (Mateusz Kopacz, „Czas Fantastyki” nr 2/2010).*

\*

Wydany przez SW Czytelnik w 1983 roku zbiór opowiadań określany jest jako książka kultowa i legendarna. Od tamtego czasu utwory H.P. Lovecrafta ukazywały się po polsku w różnych zestawieniach. Na świecie i u nas wzrosły popularność i poważne traktowanie tej niepospolitej literatury grozy. Twórczość amerykańskiego fantasty była inspiracją dla ilustratorów i muzyków, pożywką dla autorów kolejnych naśladownictw. Tworzone były filmy, komiksy, fankluby, strony internetowe. Również w Polsce znalazły zagorzałych wielbicieli gry fabularne, komputerowe i planszowe opierające się na kosmicznej mitologii „wielkich przedwiecznych”. W internecie krążą pirackie e-booki i audiobooki, o czym nawet autorka przekładów nie wie.

Tłumaczka legendarnego zbioru „najlepszych opowieści” – Ryszarda Grzybowska (ur. 1930), wieloletnia redaktorka w wydawnictwie Czytelnik, tłumaczka m.in. takich książek jak „Spadkobiercy” Williama Goldinga czy „Posłaniec” L.P. Hartleya, wspomina:

*Przedwcześnie zmarły Marek Wydmuch – pisarz, tłumacz, krytyk i redaktor w Czytelniku, był naszym przyjacielem i wielbicielem moich przekładów. Mówił, że „Pannę na nieboskłoncie” Thomasa Duncana zna na pamięć. Przyszedł i powiedział, że jest taki wspaniały pisarz – Lovecraft i zaproponował, żebym to ja go tłumaczyła. Dokonał wyboru najlepszych opowiadań i napisał wstęp.*

*W swojej pracy zawsze przeżywałam każdy przekład, dbano wtedy aby wiernie oddać myśl i styl autora a jednocześnie, aby tłumaczenie było dobrą literaturą polską. Często tłumaczyłam książki nocami, w dzień pracowałam na etacie w Czytelniku, a w domu miałam, jako żona i matka, normalne obowiązki.*

**Opowiadanie „Kolor z przestworzy” Howarda Lovecrafta** *przeżywałam w sposób szczególny, bo szalenie mnie denerwowało, że opisywani ludzie zachowują się biernie, dotknięci postępującym zniszczeniem z powodu upadku tajemniczego meteorytu, nie uciekają, nie opuszczają swoich siedzib. Opowiadanie to według mnie jest bardzo wizjonerskie, zrobiło na mnie największe wrażenie. Odbierałam je z dziecięcą naiwnością, byłam dużo młodsza. Lovecrafta też tłumaczyłam po nocach i w dodatku w tragicznych okolicznościach, kiedy umierała moja mama.*



## Z przekładów Andrzeja Sobol-Jurczykowskiego

Juan José Arreola

Konfabularz totalny

*(fragment)*

## Parturient montes

... *nascetur ridiculus mus.*  
Horatius, *Ad Pisones*, 139.

Wśród moich przyjaciół i wrogów rozeszła się wieść, że znam nową wersję porodu góry. Wszędzie proszono, abym ją wyjawiał, dając dowody niecierpliwości, które znacznie wykraczały poza zainteresowanie podobną historią. Z całą uczciwością odesłałem raz i drugi publiczną ciekawość do tekstów klasycznych i do modnych wydawnictw. Ale nie zadowolilo to nikogo: wszyscy chcieli usłyszeć ją z moich ust. Od serdecznego nalegania przechodzili, zależnie od temperamentu, do gróźb, wymuszeń, przekupstwa. Kilku flegmatyków udawało tylko brak zainteresowania, by zranić do żywego moją miłość własną. Działania bezpośrednie musiały nadejść prędzej czy później.

Wczoraj zostałem napadnięty na środku ulicy przez grupę rozżalonych osobników. Zastępując mi drogę ze wszystkich stron, zażądali z krzykiem początku opowiadania. Wiele przechodzących w roztargnieniu osób zatrzymało się również, nie wiedząc, że mają uczestniczyć w zbrodni. Zainteresowani zapewne moim wyglądem szarlatana, chętnie przyłączyli się do reszty. Wkrótce zostałem otoczony przez zbitą ciżbę.

Osaczony i bez wyjścia, mobilizując całą energię, postanowiłem skończyć z moim prestiżem narratora. A oto rezultat. Głosem wpadającym ze wzruszenia w falset, stojąc na policyjnym podium do kierowania ruchem, które ktoś podstawił mi pod stopy, zaczynam deklamować te same co zawsze słowa, z tymi co zawsze gestami: „Pośród wstrząsów ziemi i wybuchów, z wielkimi oznakami bólu, wyrывая z korzeniami drzewa i roztrzaskując skały, nadchodzi gigantyczne wydarzenie. Czy ma zrodzić się wulkan? Rzeka ognia? Czy uniesie się na widnokręgu jakaś nowa, pogrążona jeszcze gwiazda? Panie i Panowie: Góry zaczynają rodzić!”

Dławi mnie zaskoczenie i wstyd. Podczas kilku sekund wygłaszam nadal przemówienie posługując się jedynie pantomimą, jak dyrygent przed milczącą orkiestrą. Fiasko jest tak realne i oczywiste, że kilka osób się wzrusza. „Brawo!”, słyszę jak wołają, zachęcając mnie, bym wypełnił lukę w opowiadaniu. Instynktownie podnoszę ręce do głowy i ściskam ją z całych sił, pragnąc przyśpieszyć zakończenie opowiadania. Widzowie odgadli, że chodzi o legendarną mysz, ale udają chorobliwy niepokój. Słyszę wokół jakby jedno bijące serce.

Znam reguły gry i w gruncie rzeczy nie lubię nikogo rozczarowywać sztuczkami prestidigitatora. Nagle zapominam o wszystkim. O tym, czego uczyłem się w szkole, i o tym, co czytałem w książkach. W moim umyśle panuje pustka. W dobrej wierze i z najlepszymi zamiarami zaczynam szukać myszy. Po raz pierwszy

zapanowało pełne szacunku milczenie. Słychać jedynie, jak niektórzy słuchacze wprowadzają świeżo przybyłych we wcześniejsze etapy dramatu. Jestem rzeczywiście w transie i szukam na wszystkie strony rozwiązania, jak ktoś, kto stracił rozum.

Przeszukuję kieszenie jedna po drugiej i wywracam je na zewnątrz, na widok publiczny. Zdejmuję kapelusz i odrzucam go natychmiast, odrzucając wraz z nim myśl o wyczarowaniu królika. Rozwiązuję krawat i posuwam się dalej, zagłębiając się w koszuli, aż moje dłonie zatrzymują się z przerażeniem na pierwszych guzikach spodni.

Już mam paść zemdłony, gdy ratuje mnie twarz jakiejś kobiety, która nagle zapala się pełnym nadziei rumieńcem. Pokrzepiony na moim piedestale, kładę w niej całą nadzieję i podnoszę ją do kategorii muzy zapominając, że kobiety mają szczególną słabość do obsceniów. Napięcie dochodzi w tym momencie do szczytu. Kim była ta litościwa dusza, która, zorientowawszy się w moim stanie, zatelefonowała na pogotowie? Syrena ambulansu na horyzoncie stanowi preludium do ostatecznego zagrożenia.

W ostatniej chwili mój uśmiech ulgi powstrzymuje tych, którzy bez wątpienia zamierzali mnie zlinczować. Tutaj, pod lewym ramieniem, we wgłębieniu pachy, pojawia się nagle ciepło gniazda... Coś tu ożywa i porusza się... Pozwalam, aby moje ramię opadło delikatnie wzdłuż ciała, z dłonią zgiętą jak łyżka. I zdarza się cud. Poprzez tunel rękawa przesuwają się w dół delikatny okruszek życia. Podnoszę rękę i wysuwam do przodu triumfalną dłoń.

Wzdycham, a tłum wzdycha wraz ze mną. Nie zdając sobie sprawy, ja sam daję sygnał do aplauzów. Owacje też nie każą na siebie czekać. Szybko organizuje się dziwna defilada przed nowo narodzoną myszą. Znaczący podchodzą i oglądają ją ze wszystkich stron, upewniają się, że oddycha i się porusza, nigdy nie widzieli czegoś takiego i gratulują mi z całego serca. Zaledwie odchodzę na kilka kroków, a już zaczynają się obiekcje. Powątpiewają, wzruszają ramionami i kręcą głową. Czy nie ma tu oszustwa? Czy to prawdziwa mysz? Aby mnie uspokoić, kilku entuzjastów proponuje ponieść mnie na ramionach, ale na propozycji się kończy. Większość widzów rozchodzi się pomalutku. Wycieńczony wysiłkiem i pozostawiony niemal sam, gotów jestem oddać stworzenie pierwszemu, kto mnie o to poprosi.

Kobiety niemal zawsze obawiają się tego rodzaju gryzoni. Ale ta, której twarz rozblysła pośród wszystkich innych, zbliża się i prosi nieśmiało o ten cenny owoc fantazji. W najwyższym stopniu zaszczycony natychmiast jej go ofiarowuję i moje zmieszanie nie ma granic, gdy ona umieszcza go sobie miłośnie na piersi.

Zegnął się ze mną i dziękując, wyjaśnia jak umie swoje postępowanie, aby nie było nieporozumień. Widząc jej zmieszanie słucham z zachwytem. Ma kota, mówi, i mieszka z mężem w luksusowym apartamencie. Chce po prostu sprawić im drobną niespodziankę. Nikt tam nie wie, co to jest mysz.

*Przełożył Andrzej Sobol-Jurczykowski*

Juan José Arreola, *Confabulario total*, © Fondo de Cultura Económica, México 1961, © for Polish translation: Andrzej Sobol-Jurczykowski.

**POEZJA cd. ze str. 2**

**Piotr Müldner-Nieckowski**  
Cztery drogi do nieba . . . . . 134

**Krzysztof Piechowicz**  
Jakub walczący, Kolysanka  
Matki Boskiej, Tryptyk  
w bieli, Pierwszy śnieg . . . . . 136

**Krzysztof Rudziński**  
Dziura . . . . . 141

**Agnieszka Stabro**  
\*\*\* . . . . . 144

**Agnieszka Syska**  
wraca Arka . . . . . 145

**Jerzy Śleszyński**  
Film, Ciszka . . . . . 146

**AFORYZMY**

**Janusz Wasylkowski** . . . . . 148

**PROZA**

**Zbigniew Zbikowski**  
Strażnik z Beauregard . . . . . 149

**Krzysztof Beśka**  
Rikszą do nieba . . . . . 153

**Frank Jaszuński**  
Powrót do Kopenhagi . . . . . 160

**Anna Nasiłowska**  
Dyskont słów . . . . . 164

**Piotr Müldner-Nieckowski**  
Osservatore d'amore . . . . . 165

**Wiesława Oramus**  
O godności . . . . . 168

**Jacek Pankiewicz**  
Aż tyle . . . . . 172

**Krzysztof Rudziński**  
Mistrz Haftowanego Listowia . 176

**Iwona Smolka**  
Szarpa . . . . . 180

**Andrzej Sobol-Jurczykowski**  
Parabola o kotach, kobietach  
i o prawie autorskim . . . . . 186

**Janusz Wasylkowski**  
Cud na przednówku . . . . . 188

**PRZEKŁADY**

**Danuta Gałęcka-Krajewska**  
Gabriel Garcia Marquez . . . . . 194

**Anna Bańkowska**  
Alfred Tennyson . . . . . 199

**Katarzyna Boruń-Jagodzińska**  
Anastaz Opasek OSB . . . . . 204

**Konrad Sutarski**  
Poezja węgierska od II wojny świa-  
towej do dziś . . . . . 205

**Konrad Sutarski**  
Vilmos Kovács, Elemér  
Horváth, Árpád Tózsér,  
Mezei Katalin, János  
Sziveri, András Petőcz . . . . . 208

**Jerzy Snopek**  
János Lackfi . . . . . 212

**Tadeusz Nowak**  
Sándor Csoóri . . . . . 213

**Grzegorz Walczak**  
Miloš Crnjanski, Desanka  
Maksimović, Radomir  
Andrić, Dragan Mraović,  
Duško M. Petrović,  
Milovan Vitezović . . . . . 214

**Ryszarda Grzybowska**  
Howard Phillips Lovecraft . . . 218  
O Autorze i Tłumaczcze . . . . . 222

**Andrzej Sobol-Jurczykowski**  
Juan José Arreola . . . . . 224



Stowarzyszenie  
Pisarzy Polskich  
Oddział Warszawa



Rys. Grzegorz Gortat

**Franz Kafka**